ATTYLA



ZEMSTA ARYMANA

Między Hemingwayem a Berią


FIKCJE I FAKTY

FIKCJE I FAKTY

Pod koniec grudnia 1988 roku znalazłem się w ulubionym domu wczasowym, który już kilkakrotnie zmieniał nazwę, jak sądzę, w zależności od trendów politycznych i nastrojów wczasowiczów.

Pod koniec lat pięćdziesiątych, gdy przyjechałem do N. pierwszy raz, nad głównym wejściem wisiał napis: „Wczasowa dola" i żywili tu przeważnie kaszanką. W latach siedemdziesiątych, gdy z woli rządzącej ekipy przejadałem, nie wiedząc zresztą o tym, pożyczki zaciągane na Zachodzie, dom nosił nazwę „Wczasowa radość" – podawali nóżki w galarecie, dorsze i czasami okrawki szynki.

Teraz, gdy zjechałem tu znowu po latach, ze zdumieniem spostrzegłem nowy szyld „Wczasowa zgoda". Żywią, jak się rychło miałem przekonać, naleśnikami z serem (tzn. że nadal do mnie dopłacają), wątróbkami z drobiu oraz pierogami z kapustą, kaszą z gulaszem i ciastem własnego wypieku, co świadczy o większym niż dawniej urozmaiceniu, a nawet w pewnym sensie kulinarnym wyrafinowaniu. Jak się wkrótce zorientowałem, skład społeczny i polityczny mieszkańców „Wczasowej zgody" nie odbiegał od składu naszego społeczeństwa: partyjni, wśród których zaobserwowałem dwa odłamy: konserwatywny i postępowy, umiarkowana opozycja różnych odcieni, studenci, przedstawiciele rządzącej klasy czyli robotnicy i jeden rolnik, zwany przez młódź studencką „żywicielem", artysta grafik z kochanką, trochę inteligencji, nauczyciele, pani magister farmacji i księgowa z deficytowych zakładów przemysłu kluczowego.

Właściwie, to życie w tym domu wczasowym przebiegało banalnie: wieczorek zapoznawczy, posiłki, spacery, flirty i romanse. Anemiczne dyskusje toczyły się przeważnie wokół kursu dolara, inflacji i drożyzny. Nie zdarzyło się nic takiego, co by podgrzało atmosferę, ożywiło wymianę zdań. We „Wczasowej zgodzie" posiłki wyznaczały rytm życia. A ponieważ każdego dnia po kolacji na tablicy ogłoszeń pojawiało się menu na dzień następny, nie mogliśmy liczyć na żadne niespodzianki i zaskoczenia. Odnosiłem wrażenie, że wczasowicze umówili się, że nie będą się nawzajem denerwować, przyjechali wypocząć, nabrać sił, zrzucić z siebie stresy.

Aż tu pewnego dnia student z Krakowa przeglądając „Odrodzenie" podskoczył ożywiony w wygodnym fotelu i zakomunikował zebranym w salonie telewizyjnym, że pojutrze będziemy mogli obejrzeć nareszcie w naszej ludowej telewizji zakazany owoc pt. „Doktor Żywago". Wiadomość podana do publicznej wiadomości ożywiła nieco naszą wczasową społeczność. Ktoś sobie nawet przypomniał melodię z filmu, która w pewnym okresie naszej historii była również zakazana, działo się to mniej więcej w tym samym czasie, gdy pewien pan nakazywał pisać nie o zamku królewskim tylko o „zamku warszawskim".

Mnie wiadomość o emisji filmu nie zbulwersowała, ponieważ oglądałem go dwukrotnie: pierwszy raz w kinie, a drugi raz z kasety video. Postanowiłem obejrzeć go po raz trzeci, ciekawiła mnie bowiem reakcja osób, z którymi los nakazał mi przez trzy tygodnie dzielić wspólny stół, spacery itp. Szczególnie ciekawiła mnie reakcja na film przedstawicieli klasy, w imię której dzieło pt.„Doktor Żywago" trafiło na mały ekran z wieloletnim opóźnieniem.

Wspomniałem już, że zapowiedź emisji wprowadziła w nasz mały wczasowy światek lekkie ożywienie emocjonalne i polityczne. Przedstawiciele umiarkowanej opozycji komentowali wydarzenie z pewną rezerwą, jako sztuczkę ze strony władzy dla odwrócenia uwagi od ważnych problemów, namiastkę demokracji. Nie wiedzieliśmy jeszcze wówczas, że władza palców w zakupie filmu nie maczała, a emisję zawdzięczamy znanej firmie „Uniwersal", której hojności w dziele likwidowania białych plam przecenić nie sposób.

I oto nadszedł ten wieczór, na małym ekranie pierwsze ujęcie sławnego filmu „Doktor Żywago". Obserwowałem widownię składającą się niemal ze wszystkich mieszkańców domu „Wczasowa zgoda". Sądziłem, iż w czasie projekcji zbiorowej posłyszę krótkie i celne komentarze; jakże się zawiodłem. Film oglądano w milczeniu. Odniosłem wrażenie, że mniej wypalono papierosów niż zwykle. W połowie projekcji zasnął artysta grafik. Widocznie popołudniowy długi spacer nadwyrężył jego siły. Zresztą artysta grafik nie lubi melodramatów nawet z czasów rewolucji. Nie przemawiają do niego absolutnie. Stalin to była postać, twierdzi artysta, za jego panowania wszystko było proste i jasne. Świat miał barwy graficzne: czarne i białe. A teraz? Pojawiły się jakieś białe plamy...

Po skończonej projekcji na sali nie zawrzało. Studenci patrzyli na nas starszych ze zdziwieniem. Jeden z nich zapytał wprost – panowie, o co tu chodzi, dlaczego film potępiono i zakazano?

Pytanie mnie nie zdziwiło. Młodzi ludzie nie pamiętają bowiem czasów, gdy o książce Borysa Pasternaka mówiło się tylko w gronie ludzi zaufanych, a sczytane egzemplarze książki czytało się w ciągu jednej nocy i jednym tchem.

Sam autor poddany został ostrej i „pryncypialnej" krytyce, a jak się to skończyło dla poety pisał nie będę, bo donosiła o tym nie tak znów dawno prasa codzienna i tygodniki. Pozwolę sobie zauważyć, że dociekliwy czytelnik nie znajdzie wyczerpującej informacji w polskich encyklopediach.

W ósmym tomie Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN, wydanej w 1966 roku można przeczytać: „W 1954 roku Pasternak ukończył powieść „Doktor Żywago", która spotkała się z krytyką i nie została w ZSRR wydana; 1958 przyznano mu Nagrodę Nobla, z której przyjęcia zrezygnował". To samo wydawnictwo wypuściło na rynek w roku 1985 czterotomową encyklopedię, w której o Borysie Pasternaku (1890-1960) czytamy: „... jest też autorem... opowiadań i powieści m.in. „Doktor Żywago"(1957 Nagroda Nobla 1958, nieprzyjęta)". Każdy czytelnik porównując obie encyklopedie zauważy, że w wydaniu późniejszym pojawiła się biała plama w naukowej informacji. Nie pierwsza i nie ostatnia. Tak to bywa, gdy encyklopedię redaguje się zgodnie z wytycznymi zaściankowych polityków, a wbrew obiektywnej prawdzie.

Wracam jeszcze do reakcji trójki studentów, która nie dopatrzyła się w filmie niczego ani zdrożnego, ani antysocjalistycznego. Ot, pisarz w sobie właściwy sposób spojrzał na rewolucję, pokazał jej różne strony i różne ludzkie charaktery. Przecież to normalne.

Dzisiaj, gdy nad Newą i Moskwą powiało nowym duchem jawności i przebudowy, wiele spraw oceniamy jako oczywiste i normalne. Słowem świat normalnieje i można go widzieć w nieskończonej ilości kolorów i nie tylko w barwach zatwierdzonych przez zwierzchność.

Jako normalną przyjąłem więc reakcję naszych pań.

Panie, jak zwykle, mniej interesowała polityczna strona filmu. Swoją uwagę skupiły na futrze głównej bohaterki, które na tle rewolucji lśniło wspaniałym blaskiem.

Jeżeli chodzi o mnie, to najbardziej podobały mi się w tym filmie wyjące wilki.



rys. Marek Płoza-Doliński

JANUSZ GAZDA

Między Hemingwayem a Berią

Przypowieść wstępna

Był taki dramaturg. Władimir Kirszon. Jego sztuki nie przedstawiają dziś żadnej wartości, choć nazwisko figuruje w Encyklopediach Powszechnych PWN. Kiedy w roku 1930 wyklinano książkę ,,Dialektyka mitu'' wielkiego uczonego rosyjskiego Aleksego Łosiewa (w Encyklopediach PWN go nie ma), wydaną zaledwie w 500 egzemplarzach, Władimir Kirszon powiedział z trybuny XVI Zjazdu WKP(b): ,,Pracownik Głównego Zarządu Wydawnictw, który przepuścił tę książkę, uzasadniał konieczność jej wydania tym, że stanowi ona pewien odcień myśli filozoficznej. A ja uważam, że nam to wcale nie przeszkadza stawiać za takie odcienie pod ścianę''. (Oklaski, śmiech – taka adnotacja znajduje się w tym miejscu w stenogramie Zjazdu). W roku 1938 postawiono pod ścianę Kirszona. Został rozstrzelany. Takie historie, jak ta opisana pod koniec 1988 roku w tygodniku ,,Moskowskije nowosti'', nie należały do rzadkości w latach trzydziestych.

Don Miguel

Był taki dziennikarz Michaił Kolcow. Najpopularniejszy dziennikarz radzieckiki tamtych lat. Nieśmiertelność zapewnił mu Ernest Hemingway, czyniąc jednym z bohaterów powieści ,,Komu bije dzwon'' (pod nazwiskiem Karkow): ,,...Karkow, przysłany przez ,,Prawdę'' i mający bezpośredni kontakt ze Stalinem, był w tej chwili jednym z trzech najważniejszych ludzi w Hiszpanii''. Relacjonując sądy głównego bohatera powieści, amerykańskiego pisarza Roberta Jordana, Hemingway pisze: ,,Karkow podobał mu się... Karkow był najinteligentniejszym człowiekiem, jakiego w życiu spotkał... miał więcej rozumu, wewnętrznej godności i zewnętrznego zuchwalstwa, i humoru niż którykolwiek ze znanych mu ludzi... Nigdy nie miał dość rozważań na temat przypadku Karkowa''.

W grudniu 1938 roku Karkow-Kolcow został nagle aresztowany.

A wydawał się dotąd dzieckiem szczęścia. Wokół padały głowy, nawet czołowych działaczy partyjnych, a on ciagle piął się w górę. Na bankiecie z okazji święta Pierwszego Maja, w obecności Stalina, toast za jego zdrowie wznosił Kliment Woroszyłow, ludowy komisarz spraw wojskowych. Znany dramaturg Wsiewołod Wiszniewski, mówił publicznie: ,,Daliśmy Hiszpanii czołgi. Daliśmy Hiszpanii samoloty. Daliśmy Hiszpanii – Kolcowa''. A Ilja Erenburg pisał w książce ,,Ludzie, lata, życie'': ,,Trudno sobie wyobrazić pierwszy rok wojny w Hiszpanii bez Kolcowa... Dla Hiszpanów był nie tylko świetnym dziennikarzem, ale także politycznym doradcą... Niski, ruchliwy, mądry do tego stopnia, że jego własny umysł przysparzał mu wielu kłopotów, potrafił natychmiast zorientować się w sytuacji, dostrzegał wszelkie słabości i nie szukał pociechy w iluzjach''. Kiedy wracał z Hiszpanii, na Dworcu Białoruskim witały go tłumy rozentuzjazmowanych czytelników, była tam także cała intelektualno-artystyczna ,,śmietanka'' ówczesnej Moskwy.

Wieczór 12 grudnia 1938 roku spędził Michaił Kolcow na wychwalaniu niedawno wydanego ,,Krótkiego

kursu WKP(b)''. Wygłaszał na ten temat referat w Domu Pisarza. Jak wspomina jego brat Borys Jefimow[1], po zebraniu Kolcow zrezygnował ze wspólnego pójścia na herbatę, gdyż musiał udać się jeszcze do redakcji ,,Prawdy'', w której pracował.

Relacja Borysa Jefimowa:

Wcześnie rano 13 grudnia obudził mnie dzwonek telefonu. Podniosłem słuchawkę i usłyszałem głos kierowcy, który odwoził wczoraj Kolcowa do redakcji.

– Czy to Borys Jefimowicz? Tu Kostia dzwoni, Dieriewienskow. Borysie Jefimowiczu... No, wiecie... Wy nie wiecie o tym?

– Wszystko zrozumiałem, Kostia.

Relacja Wali Jonowej, sekretarki Kolcowa z ,,Prawdy'', przekazana Jefimowi:

– Michaił Jefimowicz wszedł do swego gabinetu, zdjął palto, poprosił, by mu ,,zorganizować gorącej i mocnej herbaty'' i usiadł za biurkiem. Wtedy rozległ się dzwonek od Rowińskiego, który tego dnia był redaktorem dyżurnym numeru. Poprosił, by do niego przyjść. Michaił Jefimowicz poszedł do Rowińskiego, ale bardzo szybko wrócił, wziął palto i znowu wyszedł. Wyskoczyłam za nim na korytarz i zawołałam:

– Michaile Jefimowiczu! Gdzie idziecie? Na długo? A herbata?

Zatrzymał się i popatrzył na mnie z roztargnieniem. Zwróciłam uwagę, że był bardzo blady.

– Co mówisz, Waleczka? – zapytał – Herbata? Nie wiem... Może to potrwa dłużej.

Nie jest wykluczone, że po wysłuchaniu tej opowieści Borys Jefimow przypomniał sobie scenkę, opowiedzianą mu półtora roku wcześniej przez brata. Kolcow został wówczas na krótko wezwany z Hiszpanii. M.in. składał szczegółowy raport Stalinowi (obecni byli przy tym jedynie Mołotow, Kaganowicz, Woroszyłow i Jeżow). Pod koniec Stalin zaczął jakby ż a r t o w a ć . Stanął przed Kolcowem, przycisnął dłoń do serca, i wykonał ukłon niczym grand hiszpański:

– Jak powinno się do was zwracać po hiszpańsku? Pewnie ,,Miguel'', tak?

– ,,Migel'', towarzyszu Stalin – odpowiedział Kolcow.

– No więc, Don ,,Migel''. My, szlachetnie urodzeni Hiszpanie, wyrażamy swą wdzięczność za ciekawy referat. Do widzenia, Don ,,Migel''. Wszystkiego najlepszego.

– Służę Związkowi Radzieckiemu, towarzyszu Stalin!

Gdy Kolcow był już przy drzwiach, nagle Stalin zawołał go znowu i zadał dość dziwne pytanie:

– Czy macie rewolwer, towarzyszu Kolcow?

– Tak jest, towarzyszu Stalin – odpowiedział zdziwiony.

– Ale chyba nie macie zamiaru zastrzelić się?

– Oczywiście że nie – odparł Kolcow z jeszcze większym zdziwieniem – Nigdy mi to nawet nie przyszło do głowy.

– No i wspaniale – powiedział Stalin – Wspaniale! Jeszcze raz dziękuję, towarzyszu Kolcow. Do widzenia Don ,,Migel''.

Olbrzym zmiażdży pigmejów

Ostatni rok Kolcowa na wolności dałoby się skrótowo przedstawić tak:

Oto wraca samolotem z Hiszpanii i lecąc nad Wisłą daje upust swej propagandowo ukształtowanej wyobraźni: ,,W mroku i jesiennym chłodzie leżą polskie wioski, bezrobotna, ponura Warszawa. Państwo polskie ma osiemnaście lat – a co swojemu narodowi dał ,,rząd pułkowników''? Żadne układy z Niemcami, żadne kombinacje finansowe, żadne fortele nie wystarczą, żeby poruszyć tryby maszyn, ożywić zamarłe warsztaty, dać pracę i kawałek chleba bezrobotnym. W przygnębiającym odrętwieniu czekają ludzie, wioski i miasta, kiedy skończy się ta nieustanna męka...''

Po przelocie nad granicą, ,,w sowieckiej części świata'', wszystko jest inne. ,,Jaśnieją światła w strażnicach granicznych, świąteczna krzątanina panuje w kołchozowych domach''. A w Moskwie, na Arbacie ,,dziecięce, radosne twarze, tak szczęśliwe, tak zdrowe, jakimi jeszcze nie prędko stanie się chudziutka i głodna dzieciarnia spod okien Madrytu. A jeszcze dalej, na Wozdwiżence, na placu Maneżnym, widzę was, czerwoni żołnierze, dowódcy, robotnicy, starzy bolszewicy, pionierzy, dziewczęta moskiewskie, milicjanci, studenci – widzę was z najświeższą ,,Prawdą'' w rękach. Widzę was wspaniale! A jeszcze dalej – ciągle młodzi, wierzchem na koniach, galopują we dwójkę, jak w latach bojowych, Woroszyłow z Budionnym, i orkiestry grają powitalnego marsza i rozbrzmiewa na całą stolicę czerwonoarmijskie ,,urra...'' (tak się kończy ,,Dziennik hiszpański'' Kolcowa).

Jeszcze parę tygodni przed aresztowaniem zdąży napisać w tygodniku ,,Litieraturnaja Gazieta'': ,,Jestem zawsze w szeregu! Jestem zawsze na służbie!''.

Jeszcze zdąży wydrukować w ,,Prawdzie'': ,,Naprzód kroczy komunizm nad światem i nikomu nie uda się wstrzymać jego pochodu. Olbrzym zmiażdży pigmejów, wielki Marks będzie jaśniał wiecznie, oświetlając ludzkości drogę postępu''.

I wyląduje w celi więziennej. Nie wiadomo, czy jako olbrzym, czy też jako jeden z pigmejów?

Dlaczego nie uciekł?

Ludzie z innego czasu i z innej kultury politycznej będą zadawać sobie pytanie: dlaczego nie uciekł? dlaczego nie został za granicą? A był jednym z nielicznych, którzy mieli po temu okazje. Kiedy przebywał w Hiszpanii, odbyły się dwa wielkie procesy moskiewskie, w wyniku których skazano na śmierć 33 niedawnych działaczy partyjnych (w tym Zinowiewa i Kamieniewa oraz Piatakowa i Radka). Pod koniec kwietnia 1937 roku powrócił na krótko do Moskwy, a w kilka dni po ponownym przybyciu do Hiszpanii ukazał się komunikat o rozstrzelaniu marszałka Tuchaczewskiego i innych wybitnych dowódców wojskowych. W listopadzie został znów wezwany do Moskwy, a za cztery miesiące skazano na śmierć m.in. Bucharina i Rykowa. Wokół ginęli ludzie, odbywały się masowe aresztowania i zsyłki, o których nie mógł nie wiedzieć. Latem 1938 roku przebywał w Czechosłowacji. Była to jego ostatnia szansa, z której jednak nie skorzystał.

Czyżby nie przeczuwał niebezpieczeństwa?

Odpowiedź na to pytanie dają wspomnienia brata. Kiedy Kolcow opowiadał mu scenkę ze Stalinem, a było to w maju trzydziestego siódmego, zdradzał wyraźny niepokój:

– Czy wiesz – powiedział – co wyczytałem, i to bardzo wyraźnie, w oczach g o s p o d a r z a, gdy odprowadzał mnie do drzwi?

– Co?

– Wyczytałem w nich: jesteś z a b a r d z o ż w a w y.

Ponad rok później zaniepokoiło go, że nie został zaproszony na oficjalne przyjęcie z okazji pobytu w Moskwie pewnego generała hiszpańskiego. Było to w tym samym czasie, kiedy ze stanowiska ,,narkoma'' spraw wewnętrznych usunięty został Jeżow (i wkrótce rozstrzelany). Borys Jefimow skomentował ten fakt:

– I proszę, Jeżowa już nie ma. Skończyła się ,,jeżowszczyzna''.

– No, wiesz – zareagował bez entuzjazmu Kolcow – Nie jest wykluczone, że teraz podejrzani staną się ci, których nie ruszył Jeżow.

Jak twierdzi Borys Jefimow,

---

[1]Relacje Borysa Jefimowa zostały zaczerpnięte z jego artykułu w tygodniku ,,Ogoniok'' (nr 34, 1987r.) oraz z jego wspomnień, zawartych w książce ,,Michaił Kolcow, kakim on był'' (1965, Moskwa, wyd. ,,Sowietskij pisatiel'').

jeszcze przedtem Kolcow miał mu wygłosić, podczas spotkania w cztery oczy (w gabinecie „Prawdy"), taki oto monolog:

– Myślę i myślę... i niczego nie mogę zrozumieć. Co się dzieje? Jak to się stało, że nagle w kraju tylu ludzi okazało się wrogami? I to kto? Osoby, które znaliśmy całe lata i darzyliśmy szacunkiem, z którymi pracowaliśmy razem i obok których żyliśmy. Najwyżsi dowódcy wojskowi, pełnomocni przedstawiciele, ludowi komisarze, bohaterowie wojny domowej, starzy członkowie partii, leninowcy. No i dlaczego, gdy tylko znajdą się za kratkami, natychmiast przyznają się, że są zamaskowanymi wrogami ludu, szpiegami, agentami obcych wywiadów. Że zamierzali zwrócić ziemię obszarnikom, a fabryki kapitalistom... Na czym to wszystko polega? Czuję, że tracę równowagę umysłową. A przecież, odpowiednio do mojej pozycji – jako członek kolegium redakcyjnego „Prawdy" i deputowany do Rady Najwyższej – powinienem, wydawać by się mogło, umieć wyjaśnić ludziom sens tego, co się dzieje, przyczyny tak masowych demaskacji i aresztowań. A tymczasem ja, jak najostatniejszy, przestraszony mieszczuch, o niczym nie wiem, niczego nie rozumiem, czuję się zagubiony, pozbawiony busoli, błądzę we mgle.

Dalej Kolcow opowiadał bratu, jak był u Mechlisa (sekretarza Stalina, a później szefa Zarządu Politycznego Armii Czerwonej) i zauważył na jego biurku gruby zeszyt z zeznaniami aresztowanego niedawno naczelnego redaktora gazety „Izwiestija", Tala. „Wybacz, Misza – powiedział Mechlis – nie mam prawa, chyba to rozumiesz, dać ci do przeczytania. Ale, jak chcesz, popatrz na j e g o rezolucję". Kolcow popatrzył. Napisane było czerwonym ołówkiem: „Towarzysze Jeżow i Mechlis! Przeczytać wspólnie i aresztować wszystkich wymienionych tu szubrawców. J.S.".

– Czy ty rozumiesz? – komentował swemu bratu Kolcow – Ludzie, o których mowa, są jeszcze na wolności. Pracują, być może drukują się w gazetach, razem z żonami składają wizyty u znajomych, chodzą do teatru, wybierają się na urlop gdzieś na południe. Nawet nie podejrzewają, że są „szubrawcami", że zostali już skazani, a w istocie rzeczy zlikwidowani jednym pociągnięciem czerwonego ołówka. Jeżowowi pozostały jedynie szczegóły techniczne: wszcząć „dochodzenie" i wypisać nakazy aresztowania.

Tak wspominał po latach słowa Kolcowa jego brat. Kolcow zdawał sobie sprawę z zagrożenia. A jednak nie skorzystał z okazji, nie pozostał za granicą. W podobny sposób postępowali i inni. Bucharin, usunięty już ze wszystkich stanowisk, w roku 1936, przebywając za granicą, informował swych przyjaciół we Francji i w Holandii, co go czeka, jak przypuszcza, po powrocie do Moskwy. A jednak powrócił. Było to zjawisko typowe, jak typowe było przyznawanie się do nie popełnionych win i wygłaszanie, niemal tuż przed wejściem na szafot, pochwalnych mów na cześć systemu i jego wodza. Historycy zastanawiali się nad przyczyną tego zjawiska i dawali różne wyjaśnienia. Jeden z nich sformułował to tak: jeśli ktoś zdecyduje się na emigrację, pozostanie za granicą i potępi system, przekreśli tym samym całe swoje życie, wszystko co dotąd reprezentował i głosił.

Czwarty rodzaj broni

Michaił Kolcow był współtwórcą czwartego, obok wojsk lądowych, lotnictwa i floty, rodzaju broni w swym państwie. Tym czwartym rodzajem broni nazwano – p r o p a g a n d ę. Był założycielem i redaktorem naczelnym tygodników „Ogoniok"(1923-1938) i „Krokodił" (1934-1937), szefem partyjnego koncernu prasowego. Przez prawie dwadzieścia lat, regularnie, dwa lub trzy razy w tygodniu, pisał felietony i artykuły w „Prawdzie".

Encyklopedie nazywają go pisarzem i dziennikarzem. Tymczasem był on żołnierzem owego „czwartego rodzaju broni". Jako „pisarz i dziennikarz" popełniał najcięższe grzechy wobec elementarnych zasad profesjonalnych. Nie dawał właściwego rozeznania rzeczywistości. To zadziwiające z jaką przenikliwością i pasją, pisząc o zagranicy, przeciwstawiał się przemocy, faszyzmowi i dyktaturze, a obok siebie pochwalał właśnie przemoc i nie dostrzegał dyktatorskiego charakteru rządów.

Gdy przebywał za granicą, wpadały mu prawdopodobnie do rąk korespondencje z Moskwy, donoszące o „faszyzacji ustroju radzieckiego i nazywające Stalina dyktatorem. Prawdziwy „kult jednostki" rozpoczął się w grudniu 1929 roku, gdy po raz pierwszy zorganizowano uroczyste obchody pięćdziesiątej rocznicy urodzin Stalina. Po XVI Zjeździe partii (lato 1930 r.) pisał amerykański dziennikarz Louis Fischer: „Codziennie płyną doń setki tysięcy depesz przepełnionych iście bizantyjskimi pochwałami: „Tyś największy Wódz", „najwierniejszy uczeń Lenina" itp. Jego imieniem nazwano trzy miasta, niezliczoną ilość wsi, kołchozów, szkół, fabryk i urzędów". XVII Zjazd (styczeń 1934 r.) zyskał miano „Zjazdu zwycięzców" (co zresztą w niczym nie przeszkodziło, jak podają w lipcu 1988 roku „Moskowskije nowosti", że na 139 wybranych przez ten Zjazd członków KC, 98 zostało w latach późniejszych rozstrzelanych). Pisał o tym Zjeździe korespondent prasy polskiej Jan Otmar Berson: »...całkowity sukces Stalina zdaje się nie ulegać wątpliwości: wybitni ongiś opozycjoniści spieszą z wiernopoddańczymi deklaracjami, nazwisko wodza widnieje nieraz przeszło stukrotnie na normalnej gazetowej stronicy, po raz pierwszy nazwisko to ukazuje się ze stałym epitetem i brzmi obecnie pleno titulo: „Wielki Stalin"«.

Michaił Kolcow, jak w roku 1965 pisał Borys Jefimow (i słowa te usunął ze wspomnień z roku 1987), „szczerze, głęboko, nie boję się tego powiedzieć, fanatycznie wierzył w mądrość Stalina. Ileż to razy, po spotkaniu z „gospodarzem", brat w najdrobniejszych szczegółach opowiadał mi o jego sposobie mówienia, o konkretnych uwagach, powiedzonkach, żarcikach. Wszystko w Stalinie mu się podobało".

To był ten sam Kolcow, który jeszcze w 1933 roku potrafił nakreślić celny portret innego, zaczynającego dopiero sprawować władzę dyktatora: „Na nowy, trzydziesty czwarty rok państwo niemieckie pozbyło się swego dotychczasowego boga o bladych dłoniach i miękkiej, jedwabistej bródce, a otrzymało nowe, czerwonolice bóstwo w brązowej koszuli i z dwoma strzępkami wąsów pod nosem. Bóstwo spogląda surowym wzrokiem z oświetlonego portretu na czubku choinki, krzyczy i wymyśla ochrypłym głosem przez czarny lejek głośnika".

Dwa i pół roku później tak napisze o Stalinie i... wybitnym pisarzu francuskim „Spoglądał na Stalina, a silna dłoń naszego wodza, uścisnąwszy po przyjacielsku dłoń Romain Rollanda, przekazała tej osłabionej ze zmęczenia dłoni pisarza nowe ciepło, nową siłę, nową bojowość. Ta siedemdziesięcioletnia ręka nie rozstaje się z piórem i teraz pióro Romaina Rollanda stało się wspaniałym orężem obrony Związku Radzieckiego, obrony proletariatu, obrony kultury".

A przecież czasami potrafił wiele zobaczyć i wiele z tego, co zobaczył, zapisać. Oto obrazek prowincji radzieckiej, zanotowany w roku 1936: „... oni, kołchoźnicy, nie mają się czym zachwycać w miasteczku Kalazin, obwodu kalinińskiego (Kalinin to dawny Twer – przyp.J.G.). Ulice i chodniki (a raczej to, co powinno nazywać się chodnikami) zawalone czym się da, pełne śmieci, okna urzędów – zszarzałe od brudu, wywieszki przymocowane krzywo, na ukos, w Domu Kołchoźnika bród, smród i ubóstwo, w Barze Iskra, w odległości dwudziestu metrów od milicjanta,

leży pijak w tej samej pozie, w jakiej Taras Bulba zastał zapitego Kozaka przy wjeździe na Sicz Zaporoską''

Częściej jednak posługiwał się konwencją inną, jak w felietonie opublikowanym w ,,Prawdzie'' na pięć tygodni przed swoim aresztowaniem: ,,Niech mnie kule biją! Cóż za ciekawe i znamienne czasy! Nigdy nasz naród nie był wobec całego świata tak silny i spokojny jak dzisiaj, jak obecnie. (...) Nad wszystkimi częściami świata zawisły czarne chmury. A ten naród spogląda na Zachód, spogląda na Wschód, spogląda bez strachu i zwątpienia, nieugięty, niezwyciężony, bohaterski!''.

Od samego początku Michaił Kolcow popierał wszystkie przedsięwzięcia ,,generalnej linii'' i ,,wielkiego przełomu''. Głosił pochwałę tego, o czym pięćdziesiąt osiem lat później, w listopadzie 1988 roku, napisze tygodnik ,,Moskowskije nowosti'': ,,Rosja, ogarnięta strachem i jakimś egzaltowanym szaleństwem, łamie kręgosłup własnej gospodarce – odwieczne podstawy egzystencji wsi; wypędza się z ziemi miliony ciężko pracujących chłopów, burzenie gospodarki przedstawia jako budowę harmonijnego ustroju, w którym każdy otrzyma ,,tyle, ile zechce''. Podbechtuje się ludzi iluzją, że można żyć, ograniczając się jedynie do rozdziawiania gąb''.

Kolcow piórem popierał teorię o ,,zaostrzaniu się walki klasowej''. Pisał w roku 1935: ,,Otacza nas wrogi żywioł. Ocalały jeszcze w naszym kraju przeżytki straszliwej przeszłości (...). Potrzebna jest potężna broń, aby rozgromić je''. Wcześniej, w 1930 roku, gdy odbywał się, wyraźnie sfingowany proces tzw. Prompartii (sądzono jej ośmiu przywódców, a cała rzekoma ,,organizacja'' składała się, jak pisano oficjalnie, z osób czternastu, co stanowi iście karykaturalne proporcje), gazety z numeru na numer drukowały korespondencje Kolcowa. Przeczytać w nich można było patetyczne słowa pod adresem oskarżonych: ,,Nie ma dla nich przyszłości. Jest tylko przeszłość. Nie ma współczucia – rodzeni synowie zdrajców wyrzekają się ich i łamiącymi się głosami nastolatków wołają na cały kraj o karę śmierci dla własnych ojców''.

Uśmieszek Ulricha

Michaił Kolcow nie miał dzieci, które po jego aresztowaniu, chcąc być posłuszne wskazówkom ojca powinny zawołać ,,na cały kraj o karę śmierci'' dla niego. Miał tylko brata. Borys Jefimow opisuje, że trzy razy w miesiącu zachodził ,,na kręte, przechodnie podwórko łączące Most Kuźniecki z ulicą Puszeczną'', pokonywał ,,niepozorne drzwi, nad którymi wisiała tabliczka z bałamutnym napisem »Lokal nr 1«, a w tym ,,lokalu'' przez malusieńkie okienko wpłacał określoną sumę na nazwisko Kolcowa Michaiła Jefimowicza, podpisywał się i otrzymywał kwit. Przyjmowanie wpłat umacniało go w przekonaniu, że brat jeszcze żyje, a przedłużający się czas takiego stanu rzeczy pozwalał wierzyć, że ,,postanowiono wnikliwie rozpatrzyć sprawę Kolcowa i że bratu uda się odeprzeć oszczercze zarzuty''.

Chodził więc Jefimow na podwórko przy Moście Kuźnieckim, do ,,lokalu nr 1'', a między jedną wizytą a drugą wykonywał satyryczne rysunki dla gazety ,,Izwiestija''. Co to mogły być za rysunki? Styl ówczesnych karykatur dobrze charakteryzuje korespondent PAT-a i ,,Gazety Polskiej'' Jan Otmar Berson:

»,,Kapitalista'' występuje w żakiecie, cylindrze i białych getrach. Ma krogulczy nos i wystające kły, co mu zapewne ułatwia ,,wysysanie ostatniej kropli krwi z mas pracujących''. ,,Kułak'' szczerzy wilcze zęby, siedząc na workach z ,,ukrytem przed władzą sowiecką zbożem''. ,,Chuligan'' ma zawsze podwiązaną szczękę, ,,biurokrata'' z reguły w okularach i zarękawkach, żąda od niewiasty, która za chwilę (jak wynika z rysunku) ma zostać matką, ,,by przyniosła zaświadczenie, że istotnie jest kobietą''. Powyższe szablony ogląda się w prasie niemal codziennie. Zmienia się jedynie natężenie tych lub innych wrogów proletariatu w zależności od zmian sytuacji międzynarodowej i ,,zaostrzania walki klasowej''. (...) Ostrze karykatury skierowane jest wyłącznie przeciwko wrogom reżimu. Pewien wyjątek stanowi osoba komisarza Litwinowa, często figurująca w rysunkach Jefimowa, jednak w formie raczej panegirycznej, niż satyrycznej: albo dumnie kroczy poprzez oceany z Waszyngtonu do Rzymu lub też ze ,,wspaniałą ordynarnością''(wychwalaną przez Radka) wali w ,,kamienny łeb'' ,,twardogłowych'' polityków angielskich'«. Na początku lutego 1940 roku wpłaty od Jefimowa nie przyjęto, a w ,,malusieńkim okienku'' powiedziano mu, że ,,śledztwo w sprawie Kolcowa zostało zakończone''. ,,Zrozumiałem – wspomina – że nadeszły decydujące dni''. Znany moskiewski adwokat Ilja Braude radzi mu, by domagał się dopuszczenia do procesu obrońcy. Jefimow pisze więc list do przewodniczącego Wojskowego Kolegium Sądu Najwyższego, Wasyla Ulricha, z prośbą o audiencję. W odruchu rozpaczy decyduje się także na krok o wiele poważniejszy: z poczty głównej wysyła telegram w sprawie powołania adwokata, skierowany na nazwisko ... Stalina.

Ponieważ w ciągu kilku dni nie nadchodzi żadna odpowiedź, udaje się do kancelarii Wojskowego Kolegium. Dyżurny przebiega palcami po kartach grubej księgi:

– Kolcow Michaił Jefimowicz? Rok urodzenia 1888? Jest taki. Wyrok zapadł pierwszego lutego. Dziesięć lat obozu w odległej miejscowości bez prawa do korespondencji. Następny..

Tego samego dnia Borys Jefimow został zawiadomiony telefonicznie, że oczekuje go Ulrich. Oto jego relacja ze spotkania:

,,... W ogromnym gabinecie, zasłanym dywanem, stał przy biurku mały, łysy mężczyzna, o różowiutkiej twarzy i starannie przystrzyżonych wąsikach. Ulrich był ważną postacią w tamtych czasach. Przez wiele lat kierował Wojskowym Kolegium, przewodniczył składowi sędziowskiemu na wszystkich wielkich procesach politycznych lat dwudziestych i trzydziestych.

Przyjął mnie z protekcjonalną dobrodusznością, wyraźnie popisując się ,,naturalnym'' sposobem bycia i uprzejmymi manierami.

– A ja się czuję wspaniale, nie mam żadnego brata i w ogóle żadnych krewnych. Miałem wprawdzie ojca, ale i on niedawno umarł. Nie muszę się o nikogo bać i o nikogo troszczyć. Tak... No, cóż, a wam radzę spokojnie pracować i jak najszybciej zapomnieć o tej smutnej sprawie. Brat wasz, jak sądzę, znajduje się teraz w nowych obozach za Uralem. Zapewne właśnie tam''.

Borys Jefimow opisuje, że wychodząc zatrzymał się jeszcze w drzwiach gabinetu i zapytał:

– Wasylu Wasyljewiczu, czy pozwolicie za jakiś czas powrócić do tej sprawy i prosić o ponowne jej rozpatrzenie?

– Oczywiście, oczywiście. Za jakiś czas... – odpowiedział Ulrich, a ,,w jego wodnistych oczach zamajaczył uśmieszek''.

Tajemnicze spotkanie z Kolcowem

Z pewnością po rozmowie z Ulrichem Borys Jefimow w dalszym ciągu zastanawiał się, czy formuła „bez prawa do korespondencji" nie jest formą zakamuflowania innego wyroku. Wkrótce jednak zaczęły nadchodzić różne wiadomości o bracie. Trudno było nie wierzyć Michaiłowi Chrapkowskiemu, grafikowi z „Krokodyla", gdy opowiadał, że w lipcu 1942 roku, będąc także po wyroku, spotkał Kolcowa na punkcie etapowym w Saratowie.

Później kolejarz Paweł Gołubkow, dawny goniec z tygodnika „Ogoniok", twierdził, że widział Kolcowa przy wagonie-drukarni na workuckiej linii kolejowej. Dziennikarz Michaił Bieriestynski, po powrocie z podróży do Swierdłowska opowiadał, że naczelnik znajdujących się w tamtych stronach obozów karnych, będąc z jakiejś okazji w redakcji miejscowej gazety, „chwalił się" tym, że u niego w klubie pracuje znany autor „Dziennika Hiszpańskiego". Prawie w tym samym czasie nadchodzą wieści z Wysp Sołowieckich, że Kolcow znajduje się właśnie tam i komuś opowiadał w najdrobniejszych szczegółach o powieści, którą wymyślił, a nawet częściowo już napisał.

W czerwcu 1944 roku przebywał w Moskwie przewodniczący saratowskiego oddziału Związku Pisarzy, Aleksander Matwiejenko i relacjonował Jefimowi, że będąc służbowo w Kujbyszewie u szefa Zarządu Politycznego Nadwołżańskiego Okręgu Wojskowego, dowiedział się od niego, że Michaił Kolcow („Tak, właśnie ten. Ten, co był w Hiszpanii.") „jest tutaj, w 2-gim pułku oficerskim na rekonwalescencji po odniesionej ranie pod Briańskiem. Ma stopień starszego lejtnanta". Generał zaaranżował nawet rozmowę telefoniczną Matwiejenki z domniemanym Kolcowem, ale sprowadziła się ona do wymiany kilku banalnych zdań i po pytaniu „czy teraz coś piszecie?" rozległ się trzask odkładanej słuchawki.

Wkrótce potem znajoma Jefimowa, dziennikarka, po powrocie z delegacji służbowej z Kujbyszewa potwierdziła informacje Matwiejenki. Rozmawiała nawet z dowódcą 2-go pułku oficerskiego niejakim podpułkownikiem Łukianowem, który oświadczył, że w jego pułku, w 5-tym batalionie, służy starszy lejtnant Kolcow. Borys Jefimow natychmiast wysyła telegram do sztabu Nadwołżańskiego Okręgu Wojskowego, do podpułkownika Łukianowa. Po kilku dniach telegram zostaje zwrócony z adnotacją szefa poczty wojskowej okręgu: „... w wydziale kadr NADWOW podpułkownik Łukianow nie figuruje, także st. lejtnanta Kolcowa wydział kadr w swojej ewidencji nie znalazł, w NADWOW nie ma również 2-go pułku oficerskiego". Również pismo, wysłane specjalnymi kanałami, z nadrukiem „TAJNE", do dowódcy 2-ego pułku oficerskiego NADWOW i podpisane przez generała, kierującego wojskową gazetą „Krasnaja zwiezda", w której wówczas pracował Jefimow, wróciło z adnotacją: „W NADWOW nie ma takiej jednostki".

Ten wątek wydawał się zakończony, a jednak po prawie trzydziestu latach pojawił się znowu. W styczniu 1972 roku Borys Jefimow otrzymał list z Woroneża, podpisany przez Nikołaja Łukicza Iwanowa, „emerytowanego inżyniera-majora", który pisał m.in., że podczas wojny, mając dyżur w poczekalni dowódcy Zarządu Politycznego Nadwołżańskiego Okręgu Wojskowego otrzymał polecenie zamówienia przepustki dla Michaiła Kolcowa. List kończył się słowami: „Chciałbym zapytać, czy Wasz brat odbywał służbę w oddziałach Nadwołżańskiego Okręgu Wojskowego (w mieście Kinel)?".

Jefimow, oczywiście, mógł się odwzajemnić jedynie kolejnymi pytaniami. Po jakimś czasie Iwanow odpowiedział, że ani on, ani jego znajomi z okresu służby nie znają żadnego podpułkownika Łukianowa. „Rzeczywiście – pisał – zamawiałem przepustkę na nazwisko Michaiła Kolcowa. Bardzo wzruszony czekałem na jego przyjście... Kiedy przyszedł z podnieceniem przyglądałem się temu niezwykłemu gościowi, patrzyłem na jego wychudłą i bladą twarz. Miał stopień starszego lejtnanta... Niewysokiego wzrostu, sprawiał jednak wrażenie człowieka ruchliwego, energicznego... Było w nim coś ujmującego, co w połączeniu z jego wewnętrznym napięciem umacniało mnie w przekonaniu, że był to rzeczywiście Michaił Jefimowicz Kolcow. Jednakże... gdy przypomniałem sobie fotografie Kolcowa... ogarnęły mnie wątpliwości, choć myśl, że miał za sobą ciężkie przeżycia, które mogły zmienić wygląd zewnętrzny każdego człowieka, przywracała mi wiarę w prawdziwość mego pierwszego wrażenia .. Został przyjęty przez dowódcę ZP NADWOW. Rozmowa trwała około 30-40 minut, ale jej treść pozostała mi nieznana..." List Iwanowa kończył się znów pytaniem: „Co Wam wiadomo o dalszym przebiegu służby Michaiła Kolcowa?"

Krąg się zamknął. Tajemnica dziwnych wieści nigdy nie została rozwikłana. Tymczasem my, idąc ich tropem, zagalopowaliśmy się w czasie, pomijając jedno ważne wydarzenie wcześniejsze.

Gdzie jest mój brat?

W mroźny, grudniowy dzień 1954 roku Borys Jefimow otrzymał z rąk prokuratora wojskowego pismo takiej treści:

Informuję, że 18 grudnia 1954 roku Wojskowe Kolegium Sądu Najwyższego ZSRR na wniosek Prokuratury ZSRR uchyliło wyrok w sprawie Waszego brata KOLCOWA Michaiła Jefimowicza i postępowanie sądowe przeciwko niemu umorzyło z powodu braku znamion przestępstwa.

Celem uzyskania zaświadczenia o umorzeniu postępowania sądowego w sprawie KOLCOWA M.J. należy zwrócić się do Wojskowego Kolegium Sądu Najwyższego ZSRR.

Z-CA GŁÓWNEGO PROKURATORA WOJSKOWEGO
PUŁKOWNIK D.TIERECHOW

Już przedtem Jefimow bywał u tegoż pułkownika kilkakrotnie. Minął ponad rok od śmierci Stalina i rozstrzelania Berii, odbywały się rewizje niektórych procesów politycznych, ale można sobie wyobrazić, że atmosfera nie zmieniła się na tyle, by wezwanie do prokuratury wojskowej, nawet związane z ewentualną rehabilitacją brata, nie wywoływało uczucia strachu, nic więc dziwnego, że w czasie owych „przesłuchań" Jefimow nie zapytał nigdy, a być może należałoby powiedzieć, nie odważył się zapytać pułkownika, gdzie jest brat. Dopiero po otrzymaniu wspomnianego dokumentu...

„Może się to wydać nieprawdopodobne – opisuje tę chwilę Jefimow – ale proszę mi wierzyć, że biorąc ten papier nie spuszczałem oczu z drzwi, znajdujących się w głębi gabinetu prokuratora, niemal przekonany, że czeka mnie radosna niespodzianka, że drzwi się zaraz otworzą i wyjdzie z nich brat, przewieziony już do Moskwy

z odległego obozu... Jednak to się nie zdarzyło. Wówczas, wziąwszy powoli dokument z rąk prokuratora, zwróciłem się do niego:

– Towarzyszu pułkowniku! Mieliśmy kilka rozmów w trakcie rozpoznawania sprawy Kolcowa. Odpowiedziałem na szereg waszych pytań. Pozwólcie mi zadać tylko jedno pytanie.

– Proszę, słucham.

– Gdzie teraz jest mój brat?

Prokurator spojrzał gdzieś w bok i odpowiedział:

– A o tym poinformują was tam, gdzie będziecie odbierać oficjalne zaświadczenie o rehabilitacji. W Wojskowym Kolegium''.

I znów znalazł się Borys Jefimow w tym samym, co czternaście lat wcześniej gabinecie przewodniczącego Wojskowego Kolegium Sądu Najwyższego. Prawdopodobnie nie miał większych trudności z uzyskaniem audiencji. Teraz, w 1954 roku, był przecież jeszcze bardziej znanym, bo wsławionym dalszą praktyką całych czternastu lat karykaturzystą politycznym. W obszernym gabinecie nie urzędował już różowiutki Ulrich, co to radził, by jak najszybciej o sprawie zapomnieć, lecz nowy przewodniczący Wojskowego Kolegium, gen. Czepcow.

,,Siwy mężczyzna, ze złotymi, generalskimi naramiennikami, zwraca się do mnie uprzejmie:

– Prawdę mówiąc, nie musieliście się specjalnie fatygować. Dokument ten mogliśmy przesłać pod wasz adres domowy. Ale skoro już przyszliście... Cóż mogę powiedzieć? Z waszego brata chciano zrobić agenta prawie pięciu obcych wywiadów. Przeciwko osobom, które posługiwały się fałszerstwami w tej sprawie i w innych, trwa obecnie postępowanie sądowe, poniosą surowe kary. Zresztą, akta waszego brata są teraz u mnie i jeśli chcecie, możecie na nie spojrzeć. Na czytanie szczegółowe, jak sami rozumiecie, zgody wyrazić nie mogę.

– Chcę spojrzeć.

Generał nacisnął guzik dzwonka, a kiedy zjawił się jego adiutant, wydał odpowiednie polecenie i za kilka minut na stole znalazły się dwie grubachne teczki, przewiązane sznurkiem. Patrzyłem na nie z przerażeniem. Potem otworzyłem teczkę leżącą na wierzchu i od razu zobaczyłem nakaz aresztowania. Nie wiadomo dlaczego, nie był to blankiet drukowany, lecz nakaz wypisany na maszynie. Nie wiadomo także dlaczego, podpis nie znajdował się jak zwykle u dołu, lecz położony został po przekątnej przez cały arkusik cienkim, krwistoczerwonym ołówkiem: Beria.

Później zobaczyłem w teczce mnóstwo kartek drobno zapisanych swobodnym, eleganckim, bardzo dobrze mi znanym charakterem pisma mojego brata. Zgodnie z ostrzeżeniem, nie próbowałem nawet czytać, zamknąłem teczkę i milcząc, wyczekująco patrzyłem na przewodniczącego Wojskowego Kolegium. Podał mi dokument o rehabilitacji. Uścisnęliśmy sobie dłonie.

Po krótkiej pauzie, przemówił:

No... A jeśli chodzi o... Bardzo mi przykro...Rozumiecie sami...

Nagle poczułem ucisk w sercu.

– Co, towarzyszu generale? Co powinienem rozumieć? Ja nic nie rozumiem.

– No... Powinienem poinformować was... Krótko mówiąc...Wasz brat nie żyje. Od roku trzydziestego dziewiątego''.

Jefimow pisze, że w tym momencie zaniemówił. Od trzydziestego dziewiątego roku? Cóż więc znaczyły te wszystkie pogłoski, relacje świadków, niektóre z czterdziestego czwartego roku, stwierdzające, że Kolcow żyje? Przecież Chrapkowski nie mógł pomylić Kolcowa z kimś innym. Zapytany: ,,Jak Michaił wyglądał? Jak był ubrany?'', odpowiedział: ,,O czym pan mówi... Jak był ubrany... W pomieszczeniu, w którym znajdowaliśmy się – jakiś barak – było niesamowicie gorąco, duszno nie do wytrzymania, ludzie stłoczeni tak, że nie było gdzie wsadzić palca. Wszyscy byli zlani potem, brudni, pół nadzy... Michaił Jefimycz powiedział mi: ,,Jeśli pan zobaczy Borię, proszę mu powiedzieć.. Proszę mu powiedzieć, po prostu, że pan mnie widział. Że żyję. Trzymam się. Może się jeszcze zobaczymy. Chociaż... wszystko może się zdarzyć...'' Ta relacja dotyczyła lipca 1942 roku. A tu tymczasem: nie żyje od trzydziestego dziewiątego. Czyżby Chrapkowski kłamał? I te wpłaty pieniężne dla więźnia Kolcowa Michaiła Jefimowicza, przyjmowane do lutego 1940 roku..

– Nie, towarzyszu generale – zwraca się wreszcie Borys Jefimow do Czepcowa – to niemożliwe.

– Dlaczego?

– Głównie dlatego, że przez wszystkie te lata dochodziły o nim wiadomości. Z różnych miejsc, z obozów. Widziano go, rozmawiano z nim.

– Musicie zrozumieć – ciepłym głosem powiedział Czepcow – że czasami własne pragnienia bierzemy za rzeczywistość. Była u mnie niedawno żona Kosariewa[2]. Jej także mówiono, że on żyje, pracuje. Gdzieś w kopalni A tymczasem...

– Ja to rozumiem, towarzyszu generale. Ale jak to możliwe? W trzydziestym dziewiątym? Przecież sądzono go w czterdziestym! I był wyrok: dziesięć lat obozu.

– Kto wam to powiedział?

– Wasz, że się tak wyrażę, poprzednik. Ulrich.

– Ach, Ulrich – odrzekł generał z trudną do przekazania intonacją w głosie i machnął ręką.

Przypowieść końcowa

Być może machnięcie ręką generała byłoby najlepszą pointą tej historii. Powiedzieliśmy wszakże na początku, że nieśmiertelność Michaiłowi Kolcowowi zapewnił Ernest Hemingway. Sięgnijmy więc na koniec znów do powieści ,,Komu bije dzwon''. Pisarz wkłada w usta Kolcowa słowa, które trudno traktować jako fikcję literacką, gdyż znajdują potwierdzenie w wyrażanych na łamach gazet poglądach naszego bohatera: ,,Mamy wstręt i odrazę – powiada Kolcow-Karkow – do dwulicowości i łajdactwa takich morderczych hien, jak Buharinowscy rozłamowcy, i takich ludzkich szumowin jak Zinowiew, Kamieniew, Rykow i ich poplecznicy... Ale ma się rozumieć niszczymy i rozstrzeliwujemy takich łajdaków i ludzkie szumowiny, a także zdradzieckich psubratów – generałów...''.

Bohater nasz schodzi ze sceny wygłaszając przedtem pochwały zasad, które go z tej sceny usunęły. A jego brat, Borys Jefimow, pozostaje nadal czołowym karykaturzystą politycznym, wyróżniając się w 1974 roku w kampanii prasowej, potępiającej autora ,,Archipelagu Gułag''.

JANUSZ GAZDA

---

[2]Aleksander Kosariew – sekretarz generalny Komsomołu, rozstrzelany 23 lutego 1939

Christopher Leach

ODLOT

I

Kiedy pani Jardine zeszła na dół, by przygotować śniadanie, zobaczyła, że jakaś ciecz wypływa z kuchni do przedpokoju.

– Tibs, nieznośne kocisko! – zawołała. – Coś ty znowu zmajstrował?

Przykucnęła, wetknęła palec w sam środek kałuży i wsadziła do ust.

Spróbowała.

Myślała, że może sok buraczany lub nalewka z czarnej porzeczki, która z hukiem spadła w nocy, kiedy wszyscy spali.

Ale nie były to ani buraki, ani czarna porzeczka.

Wstała i oparła się o ścianę. Bicie jej serca rozległo się w całym domu. Spojrzała w dół. Cokolwiek to było, pozostawiło plamy na jej różowych kapciach.

Wyciągnęła drżącą rękę i przekręciła gałkę. Drzwi do kuchni przesunęły się o cal. I stawiły opór.

Pani Jardine uciekła na górę.

Pan Jardine wspinał się na Everest wraz z Tenzingiem. Tenzing miał wspaniałe piersi, a skórę bielszą i cieplejszą od śniegu, i szturchał go, uparcie go szturchał.

– No dobra – mruknął. – Daj spokój.

Ciepłe piersi i Everest rozpadły się w drobny mak, a na ich miejsce pojawiła się szarpiąca jego ramię ręka oraz stroskana twarz żony.

– Co... – wymamrotał.

– Och! Och!

Tylko raz widział ją w takim stanie. Kiedy to szczur...

– Co się dzieje? – spytał wzdychając do Everestu i swego ciepłego towarzysza.

– Och! – jęknęła siadając mu na nogach.

– Złaź! – krzyknął.

– Na dole, w kuchni!

– Ale co?

– Nie wiem.

– Znowu ten cholerny Tibs?!

– Sam pójdź i zobacz! – odpowiedziała. – No, idź!

Kiedy pan Jardine zszedł na dół, zobaczył, że jakaś ciecz wypływa z kuchni do przedpokoju.

– O co jej chodzi? – mruknął. – To przecież..

Spojrzał na rękę.

– Och, Boże! Tylko nie to!

Pchnął drzwi do kuchni. Przesunęły się o cal.

Oczy miała szeroko otwarte. Miętosiła w ręku ligninową chusteczkę.

– No i co? – spytała. Uśmiechnęła się nieco zawstydzona. – Ale ze mnie głuptas, tak wcześnie rano, byłam zaspana, musiało mi się coś przywidzieć.

– Bo ja wiem – odrzekł.

– Zajrzałeś?

– A ty?

– To ty przecież jesteś głową rodziny. Przynajmniej w teorii. Ja...

Usiadł na łóżku. Sięgnął po papierosa.

– Tibs? – spytała.

– Nie. Przyjrzałem się dokładnie. To coś więcej niż kot.

– Całe szczęście, że to nie Tibs!

– Nieźle się ten tydzień zaczyna – zauważył. – I to właśnie ten tydzień.

– Tak, smutno – odparła. – Dokąd idziesz?

– A jak myślisz?

– Obudzić Toma?

– Nie, dopóki nie... – Wrócił. – To na pewno nie mięso?

– Mięso. Nie. Wszystko wczoraj zjedliśmy. Zostało tylko trochę w zamrażarce.

Ale już go nie było.

Jardine przyklęknął obok kałuży w hallu. Upewnił się, że to krew. Westchnął.

Wstał. Obiema rękami chwycił za gałkę i lewym ramieniem naparł na białe drzwi. Szpara powiększyła się do trzech cali i ani trochę więcej. Zamknął oczy i stękając pchnął mocniej. Coś, co znajdowało się po drugiej stronie stawiało wyraźny opór.

Mocno wciągając brzuch wszedł do środka i otworzył oczy.

U jego stóp leżało ciało żołnierza. Miał na sobie utytłany w błocie mundur polowy. Z obszernego drelichu jednostajnie sączyła się krew, plamiąc czerń i biel kafelków. Głowa ze zmierzwionymi włosami opierała się o lodówkę, a tułów osunął się na drzwi, na których spoczywała także zgięta ręka. Za paznokciami tkwiły źdźbła trawy i grudki ziemi. Zęby miały kolor śliwkowy.

Raz jeszcze Jardine przykląkł bardzo ostrożnie. Dotknął twarzy żołnierza.

Wrócił do sypialni niosąc dwa kieliszki. Jeden podał żonie.

– Co to? – spytała.

– Wypij.

– Co tam jest?

– Wypij – powtórzył.

I wtedy jej powiedział.

– To chyba sen, jakiś zły sen. Za chwilę się obudzę – użalała się.

Zapadła chwila milczenia.

– Powtórz to jeszcze raz.

Opowiedział jej wszystko od początku.

– Ale jak się tu znalazł? – spytała.

– A skąd, do cholery, mogę to wiedzieć? Jest jeszcze ciepły. To musiało się stać niedawno.

Łyknął brandy i otarł usta.

– Do diabła! Coś takiego i do tego właśnie dzisiaj! – powiedział ze złością.

– Jutro wcale nie byłoby lepiej. A tak przynajmniej mamy przed sobą cały dzień.

– Tyle rzeczy sobie na dzisiaj zaplanowałem – westchnął. – Skąd on się tu wziął? Tylne drzwi są nadal zamknięte na klucz i na łańcuch. Nigdzie żadnej plamy krwi.

– Przestań, Bill!

– Zastanówmy się chwilę – powiedział. – Niczego nie zabrudził. Nigdzie nie ma błota, ani śladów wleczenia ciała. Trzeba przyznać, że w domu jest zawsze czysto. Podłoga błyszczy jak lustro. Tylko ten trup koło lodówki... A tylne drzwi zamknięte.

– Czy to Anglik? – spytała.

– No pewnie. Nie ma żadnego stopnia, ale to musi być jakiś pieprzony Anglik. Coś jeszcze?

– Co teraz zrobimy?

– Zbudzę Toma.

– Nie będzie zachwycony. Ani trochę – zauważyła. – Tak bardzo się cieszył na ten jutrzejszy dzień.

– A kto się nie cieszył? – spytał Jardine.

Podreptał korytarzem na koniec piętra i przekręcił gałkę u drzwi.

W pokoju panował mrok; jedynie przez szparę między grubymi zasłonami przedzierała się smuga dziennego światła.

Podszedł do łóżka i delikatnie potrząsnął zięcia za ramię.

Ten zamruczał.

– Tom! – wyszeptał Jardine. – Tom!

Głowa uniosła się ciężko.

– To ja – powiedział Jardine. – Wstawaj!

Tom mrużąc oczy spojrzał na budzik.

– Chyba żartujesz – obruszył się. – Są wakacje. Zapomniałeś? Spadaj!

– Szsz... na Boga. Wstawaj!

Poruszyła się córka.

– Chodź zaraz – powiedział Jardine. – Tylko cicho!

Przystanęli na piętrze.

– Obudziłeś się już? – spytał Jardine.

Tom przejechał ręką po włosach, podrapał się w szczękę, ziewnął. Wsadził dłonie pod pachy.

– Już? – powtórzył Jardine.

– Tak, tak.

– Posłuchaj! Słyszysz mnie? W kuchni leży trup żołnierza.

Tom spojrzał na teścia, ziewnął, skinął głową.

– Wal prosto z mostu.

– W kuchni leży martwy żołnierz.

– Rommel? – spytał Tom. – Monty? Patton? Nie wygłupiaj się...

Podeszła do nich pani Jardine.

– Nancy się obudziła? – spytała.

– Czuję brandy – rzekł Tom. – Nic dziwnego, że...

– Może ty mu powiesz? – zaproponował Jardine.

– Ja tego nie widziałam – odparła. – Ale krew jest...

Zasłoniła usta chusteczką.

Tom przetarł oczy, wzdrygnął się.

– No już dobra. Pójdę z wami. Prowadź, generale!

Pani Jardine czekała w przedpokoju przy schodach. Nowy dywan. Poszło na to aż piętnaście książeczek z kuponami. Takiej plamy nie da się wywabić. Nigdy.

Wrócili.

– Nic z tego nie rozumiem – mówił Jardine. – Nic a nic. Nie żyje, ale nie przestaje krwawić. Kuchnia wygląda jak jatka.

– A dywan? – spytała. – Spójrz tylko na dywan. I co z tym zrobimy?

– Pojedziemy do Hiszpanii. To właśnie zrobimy – odparł Tom.

– Ależ, Tom... – zaczęła.

– Ani myślę rezygnować z wyjazdu do Hiszpanii – stwierdził. – Chciałbym, żeby to było jasne.

– Wiem, ale...

Usiadł na drugim schodku.

– Niech no się trochę zastanowię. Nie, nie możemy zadzwonić po gliny.

– Niby dlaczego – spytała. – Przecież...

– Rusz trochę głową – powiedział Jardine. – Nigdy byśmy się z tego nie wykręcili. Będą pytać bez końca. A jak będziemy się tłumaczyć? – Spojrzał w górę. – No, Nancy już wstała. Trzymaj się na razie z daleka, póki czegoś nie wymyślimy.

Mężczyźni przyjrzeli się ciału. Krew płynęła nadal, jak gdyby żołnierz podłączony był do jakiegoś ogromnego, podziemnego zbiornika.

– No i co o tym sądzisz? – spytał Jardine.

– Od dziesięciu miesięcy czekam na te dwa tygodnie – odrzekł Tom. – Bilety załatwione, hotel. Wszystko opłacone, taksówka zamówiona. A teraz to.

– Wszyscy czekaliśmy – stwierdził teść.

– Pozostaje nam tylko jedno. Zgadza się?

– Co?

– Pozbyć się go.

– Zgadza się.

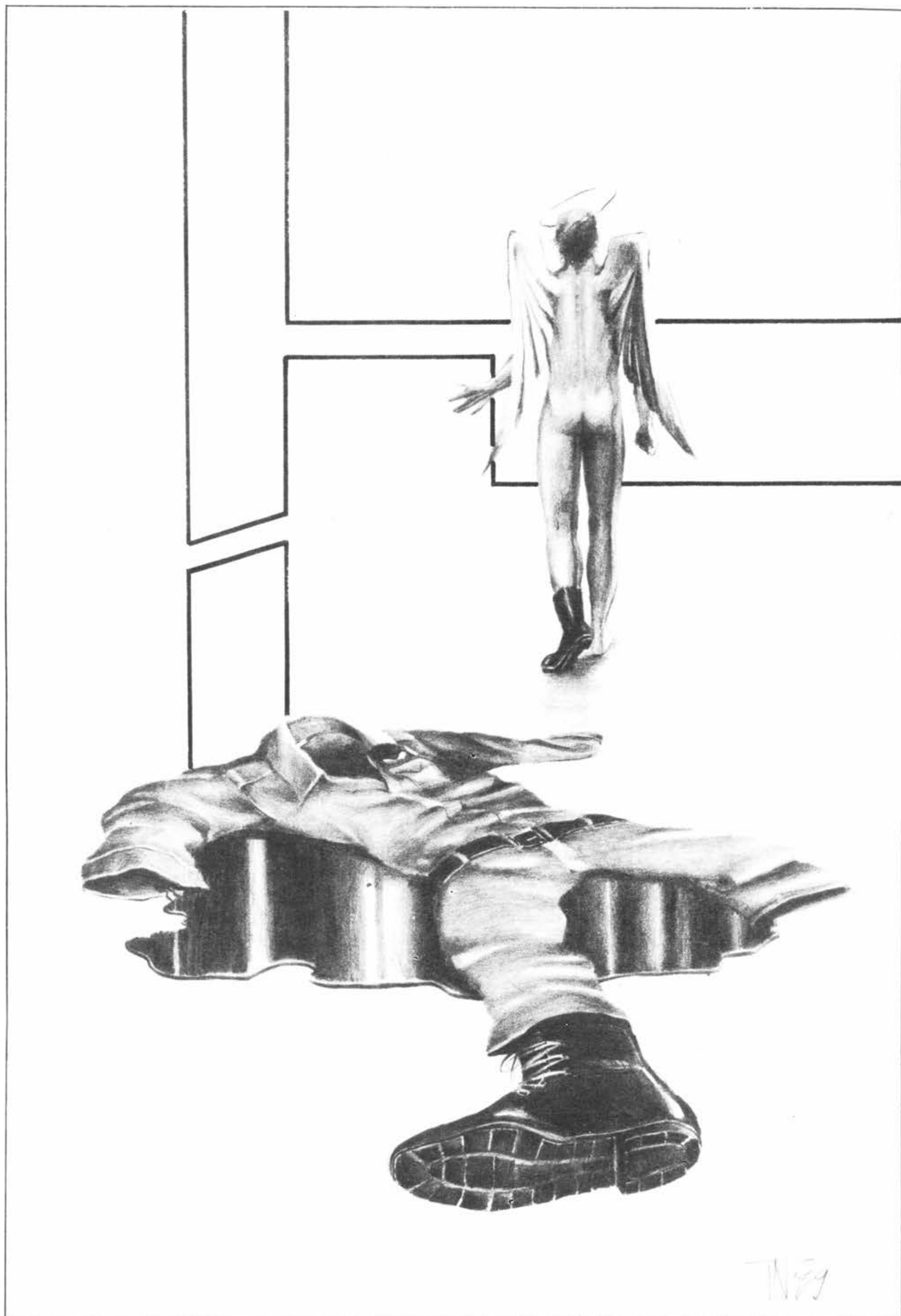
Odwrócili głowy i znów popatrzyli na żołnierza.

– Masz jakiś pomysł? – spytał Jardine.

II

Pani Jardine oraz podążająca za nią córka wyszły z salonu i zastukały do kuchni.

– Długo jeszcze? – spytała. – Marzymy o herbacie.



rys. Paweł Nowakowski

– Jeszcze chwilę – zawołał Jardine. – Już prawie skończyliśmy.

– Co oni tam robią? – dopytywała się Nancy. – Dlaczego nie możemy wejść? Czy to ma coś wspólnego z wyjazdem?

– Nie – odparła matka. – Ojciec...

– Widziałaś dywan? – spytała Nancy. – Spójrz, mamo, można go wyżymać. Co to jest?

– W porządku! – zawołał Jardine. – Wejdźcie!

– Ale bałagan – zdziwiła się Nancy patrząc na poplamioną podłogę. – Tato, co ty takiego robiłeś?

Pani Jardine rozejrzała się wokół.

– Gdzie on jest? – zapytała. Wszędzie leżały sterty zamrożonego jedzenia. – Chyba nie wsadziliście go...?

– A niby gdzie? – odpowiedział Tom.

– Kogo? – spytała Nancy.

– Do zamrażarki – upewniła się pani Jardine. – A te ścierki?

– Skończyły się nam papierowe ręczniki – odpowiedział mąż. – To się wypierze.

– A to co? – spytała Nancy.

– Krew – odparł Tom.

– To Tibs, prawda? Och...

– Nie, nie Tibs, kochanie – uspokoiła ją matka. – Nie martw się. Bill, trzeba jej powiedzieć.

– Nie wierzę – upierała się Nancy. – Robicie mnie w konia.

– Jest w zamrażarce – rzekł Tom. Podniósł białą pokrywę. – Chodź, zobacz.

– Jakoś nie mam ochoty, dziękuję.

– To dotyczy całej rodziny – powiedział Jardine. – Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Jeśli mamy jutro jechać do Hiszpanii, musimy działać razem. Zajrzyj tam, Nancy, i ty Em, też. No, dalej!

Podeszły do zamrażarki.

– Szsz... – syknęła pani Jardine. – Nie wygląda mi na Anglika. Bardziej już na Niemca, z tymi jasnymi włosami.

– Biedaczek – wzruszyła się Nancy.

– Wystarczy – rzucił Jardine. – Zamknij, synu.

Usiadł przy stole.

– Weźcie sobie taborety i chodźcie tu.

– Najpierw wstawię wodę – rzekła żona. – Umieram z pragnienia.

– Też bym się czegoś napił – zauważył Tom. – Aż mnie drapie w gardle. Przeczytasz im?

– Jak mama przestanie już rozbijać się po kuchni – powiedział Jardine.

– A oddychać wolno? – spytała żona. – Co znowu chcesz przeczytać?

– Nie ulega wątpliwości, że musimy się go pozbyć – zaczął Jardine. – I musimy to zrobić sami, sami wszystko zorganizować. Bo jeśli wezwiemy przedstawicieli prawa, czy kogoś takiego, możemy się pożegnać z Hiszpanią. Już to z Tomem omówiliśmy. Najpierw postanowiliśmy go obszukać.

Pani Jardine, zajęta filiżankami, skinęła głową.

– Świetny pomysł – przyznała.

– Chodziło nam o coś, po czym by go można zidentyfikować – dodał mąż.

– Tatusiu, jak mogłeś? – obruszyła się Nancy. – Masz jeszcze ślady krwi za paznokciami.

– Widziałem w życiu o wiele gorsze sceny – stwierdził Jardine. – Oszczędzę wam tych opisów. Każdy były żołnierz ma co wspominać. Ale nic nie znaleźliśmy, tylko ten list.

Między dwoma palcami trzymał zaplamioną kartkę.

– Od matki – dodał Tom.

– Em, zamierzasz usiąść, czy będziesz się tak cały czas kręcić? – spytał Jardine. – Przeszkadzasz w naradzie.

– Chyba wszyscy chętnie napiją się herbaty – rzekła. – I tak doskonale słyszę każde słowo.

,,Drogi Ralphie – czytał powoli Jardine. – Zanim pójdę do ciotki Alicji chcę, tak jak ci obiecałam, napisać choćby kilka słów. Czy dostałeś paczkę z książkami i pieniędzmi? Nic o tym nie piszesz. Czy pamiętasz panią Spencer, która straciła męża niecałe dwa miesiące temu? Zginęła wczoraj koło biblioteki. Podobno stało się to w mgnieniu oka. Taka była zawsze uśmiechnięta i nigdy się nie skarżyła. Nigdy nie dostała ani grosza odszkodowania od gazowni. Po tylu latach ciężkiej harówki! Ciotka Alicja nie czuje się dobrze. Znowu ma kłopoty z krzyżem. Robię jej prawie wszystkie zakupy i trochę sprzątam. Czy...''

Jardine odwrócił kartkę.

– ,,...dostałeś paczkę? Pani Stevens prosi, żeby cię pozdrowić. Z jej Rega zrobiła się straszna kanalia. Chce ją wygryźć z domu. Nie kiwnie nawet palcem. Ja bym się wstydziła. Peggy Allen urodziła następne dziecko. Uważaj na siebie. Nic mi już więcej nie przychodzi do głowy. Nigdy przecież nie umiałam pisać listów. Całuję. Mama.

PS. Któregoś dnia spotkałam Barbarę. Pytała o ciebie. Zachowałeś się wtedy jak głupiec. Cóż, takie jest życie. Muszę już kończyć, żeby złapać autobus.''

– Miły list – zauważyła pani Jardine.

– Biedaczek – westchnęła Nancy spoglądając na zamrażarkę. – Ciekawe, co się stało z Barbarą?

– Zobacz tato, jaki jest adres – rzucił Tom.

– 24 Kingston Road, Rayness Park – odczytał Jardine.

– Rayness Park? – zdziwiła się Nancy. – Ależ to...

– Wiemy – odparł Tom. – Dziesięć minut samochodem.

Pani Jardine napełniła dzbanuszek mlekiem.

– A, to co innego – powiedziała. – W takim razie może go mieć z powrotem. Co za ulga!

– Nie ma daty – zauważył Jardine. – Zabawne, niektórzy ludzie w ogóle nie pamiętają o tym, żeby pisać datę.

– Pewnie dostał go niedawno – rzekł Tom. – Przecież do niedawna sam był jeszcze ciepły.

– Nie to co teraz – stwierdził Jardine i roześmiał się.

Czajnik zaczął gwizdać.

– No cóż – podjął po chwili Jardine. – Może byś tak pojechał po nią?

– Dobrze – odparł Tom. – Tylko wypiję herbatę, zjem trochę płatków z mlekiem i jajka na bekonie.

Przy pomocy silnego, mocno rozreklamowanego detergentu pani Jardine wkrótce udało się ponownie doprowadzić podłogę w kuchni do połysku. Wyprostowała się i popatrzyła na rozmrażające się jedzenie.

– Trochę się tym martwię – rzuciła.

Jardine wychylił się zza porannej gazety i spojrzał na zegarek.

– Już niedługo – powiedział.

– A nic tam przypadkiem o tym nie piszą? – spytała i zaśmiała się cichutko. – Może gdzieś jest jakaś wojna?

– Zawsze gdzieś jest jakaś wojna – odrzekł Jardine. – I na tym właśnie polega tragedia ludzkości. Popatrz, Shacleton gra w sobotę w reprezentacji. To mi przypomniało, że muszę dzisiaj obstawić zakłady. Może teraz?

– Za późno. Wydaje mi się, że Tom właśnie wrócił. Czy dobrze wyglądam?

– Daj spokój, przecież ta kobieta to nie Królowa Matka – odparł Jardine.

Nancy zeszła na dół i dołączyła do czekających rodziców w hallu. Wszyscy razem patrzyli, jak drzwi frontowe się otwierają i Tom wprowadza do domu malutką, wątłą kobiecinę.

– Oto pani Baker – przedstawił ją. – To tata, to mama, a to moja żona, Nancy.
– Bardzo mi miło – odpowiedziała pani Baker.
– Prosimy do salonu. Może filiżankę herbaty? – zaproponowała pani Jardine.
– Może coś mocniejszego – wtrącił mąż.
– Proszę się nie gniewać, ale bardzo dziękuję – odparła pani Baker rozglądając się wokół, po czym przysiadła na brzeżku krzesła z twardym oparciem. – Jakie ładne zasłony.
– Podobają się pani? – wyraźnie ucieszyła się pani Jardine. – Nikomu oprócz mnie się nie podobają. Kupiłam je na wyprzedaży u Bentala.
– Bardzo ładne – powtórzyła pani Baker.
Zapadło milczenie.
– A zatem chodzi o mojego syna – zaczęła pani Baker.
– Nic jej nie mówiłem – wtrącił Tom. – Powiedziałem, tylko, że chodzi o syna.
– Miałam dwóch – wyjaśniła. – Jeff mieszka w Northwich, w Cheshire. Pracuje dla ICI. Ma niezłą pracę, dobre perspektywy, własny dom.
– Nam chodzi o Ralpha – przerwała pani Jardine.
– Tak, ten młody człowiek coś wspominał. – Z uśmiechem powiodła spojrzeniem po wszystkich twarzach. – A więc?
– Leży w naszej zamrażarce – oświadczył Jardine.
– Co proszę? – zdziwiła się pani Baker.
– Tato! – wtrąciła Nancy.
– Leży w naszej zamrażarce – powtórzył Jardine. – Znaleźliśmy go dzisiaj rano w kuchni. Jutro wyjeżdżamy do Hiszpanii. Więc jeśli mogłaby się pani tym zająć...
– Musieliśmy go tam wsadzić – tłumaczyła się pani Jardine. – Był taki straszny bałagan.
– Krwawił jak cholera – dorzucił Tom.
Pani Baker poruszyła się na krześle.
– Krwawił? Mój Ralphie? Nie...
– Niech pani sama zobaczy – rzekł Jardine. – Przypuszczam, że z prawnego punktu widzenia moglibyśmy zażądać odszkodowania za dywan. Ale zapomnijmy o tym. Może jednak kieliszek brandy? Dobrze pani zrobi.
– Nie, nie przepadam za mocnymi trunkami – odrzekła pani Baker. Wstała. – Chyba już sobie pójdę.
– Ale to przecież pani syn – oburzyła się Nancy.
– Nie. Musieliście się państwo pomylić.
– Proszę tu chwilę zaczekać – rzekł Jardine i wyszedł z pokoju.
Pani Baker pomacała materiał.
– Zawsze mi się podobały żółte zasłony. Jest tak słonecznie, nawet w pochmurny dzień.
– Miałam szczęście – odparła pani Jardine. – Dostałam ostatnie sześć jardów.
– To rzeczywiście szczęście – przytaknęła pani Baker.
Wrócił Jardine.
– To pani napisała, prawda?
Spojrzała na pomiętą kartkę.
– Proszę – rzekł Jardine podając jej list.
– Nie, nie chcę tego dotykać – powiedziała. – Skąd to wzięliście?
– Miał w kieszeni – wyjaśnił Jardine. – To pani pismo, prawda?
– Na to wygląda. Tak.
– W takim razie niech pani pozwoli.
Pozostali poszli za nimi.

Jardine otworzył zamrażarkę.
– Proszę spojrzeć.
Pani Baker podeszła bliżej miętosząc palcami pasek od torebki. Ujrzawszy twarz żołnierza wydała stłuminy okrzyk. Następnie potrząsnęła głową.
– Nie – powiedziała cofając się. – To nie jest mój Ralph, nie.
– W takim razie kto? – spytał Tom.
– Nie wiem – odparła. – Ale to nie Ralphie. Tego jestem pewna.
– A zatem jak pani list znalazł się w jego kieszeni? – zapytał Jardine.
– Nie mam pojęcia. Może był na przepustce, czy ja wiem. Może chciał ze mną porozmawiać o Ralphie? Powiedzieć mi, gdzie jest pochowany?
– Pochowany? – zdziwiła się Nancy.
– Mój Ralph zginął w Birmie ponad trzydzieści lat temu – wyjaśniła. – Więc to nie może być on, prawda?
Położyła torebkę na stole, otworzyła i wyjęła małe, obciągnięte skórą pudełeczko.
– Dostał pośmiertnie Krzyż Wojenny. Musiałam pojechać aż do Pałacu Buckingham. Co to był za dzień! Sprawiłam sobie nową kreację. Kosztowała majątek.
Popatrzyli na błyszczący medal na poduszeczce z białego jedwabiu. A potem ponownie na żołnierza w zamrażarce.
– A więc nadal mamy go na głowie – westchnął Tom.
– Jest pani pewna? – nie dowierzała pani Jardine. – Bo po trzydziestu latach...
– Znam przecież własnego syna – obruszyła się pani Baker. – Gdyby żył, nie dostałby chyba medalu, co? A odznaczyli go pośmiertnie. Nie, kochanie. Bardzo mi przykro. Chciałabym wam pomóc, ale to nie jest mój Ralph. – Kciukiem pogładziła niebieską skórkę na pudełeczku. – Gdzieś tam daleko, w Birmie, leży sobie w spokoju.
– To straszne – westchnął Jardine. Podał jej list. – Pewnie chce to pani zabrać.
– Nie. Mam medal. Wystarczy mi. – Zamknęła torebkę. – Proszę sobie nie robić kłopotu z odwożeniem mnie. Muszę jeszcze kupić parę drobiazgów. Sprawi mi to przyjemność. Spacer dobrze mi zrobi. Bardzo mi przykro, że nie mogłam wam pomóc. Życzę powodzenia. – Zerknęła na zamrażarkę.

Tom zamknął za nią frontowe drzwi i wrócił do kuchni.
– A co powiecie na Blackdown? – Uśmiechnął się.

III

Jardine i Tom klęcząc rozkładali właśnie czarną plastikową plandekę samochodową, kiedy ktoś zastukał do kuchennych drzwi.
Pani Jardine uniosła głowę znad pokrojonych ogórków.
– To pani Prendergast – wyszeptała.
– Ciekawe – rzucił mąż. – Co też jej przyszło do głowy, żeby zajrzeć akurat teraz?
– Proszę wejść – zaprosiła pani Jardine.
– A cóż to? – zdziwiła się sąsiadka. – Chyba tego ze sobą nie zabierzecie? Myślałam, że lecicie samolotem.
– Czego pani chce? – spytał Jardine.
– Proszę nie zwracać na niego uwagi – rzekła pani Jardine. – Mamy tyle rzeczy na głowie.
– Wiem – przyznała pani Prendergast. – Często się zastanawiam, czy to wszystko rzeczywiście warte jest tego czasu i zachodu. A co mamy w zamian? Spalone plecy i kłopoty z żołądkiem. Kiedy w kwietniu wróciliśmy z Malty...
– O co pani chodzi? – przerwał jej Jardine.
– Chciałam tylko przypomnieć państwu o Ferdim.
– To chyba nie dzisiaj? – przestraszyła się pani Jardine.
– Owszem. Nie pamięta pani? Pierwszy poniedziałek miesiąca. Mówiłam państwu przecież. Czy coś się zmieniło?
– Nie, tak... – zmieszała się pani Jardine. – Ale...
– Nie możemy go ze sobą zabrać. Musiałby cały dzień siedzieć zamknięty w samochodzie. Tylko by wył. A pani przecież obiecała...

– Tak, wiem – przyznała pani Jardine. – Tyle, że mi to zupełnie wyleciało z głowy. To przez to całe zamieszanie i przygotowania. – Wskazała nożem na kanapki. – Wybieramy się na piknik, żeby się trochę odprężyć.

– A nie moglibyście go państwo ze sobą zabrać? – zapytała. – Nie będzie z nim kłopotu. Dokąd jedziecie?

– Bl... – zaczęła pani Jardine. – Gdzieś w okolicy Haslemere.

– Byłby zachwycony – zauważyła pani Prendergast. – Te lasy...

– No cóż – zawahała się pani Jardine, spoglądając na męża.

– Nie – przerwał stanowczo Jardine. – Uciekłby, i co wtedy?

– Nieprawda, teraz jest już całkiem oswojony – odparła pani Prendergast. – Biega bez smyczy. Zawsze wraca, kiedy się go zawoła.

– Bardzo mi przykro, ale nie – rzekł Jardine.

Zapadła chwila milczenia.

– No to świetnie – stwierdziła pani Prendergast. – Ja zwykle dotrzymuję swoich obietnic. Życzę państwu miłego pikniku. – Podeszła do drzwi.

Zabrzęczały szybki.

Jardine prychnął schylając się ponownie nad plastikiem.

– Co za idiotyczny pomysł trzymać lisa w domu? Z kogo ona robi wariata? – Podniósł głowę. – Tom, pociągnij trochę ze swojej strony. Wyprostuj tam, o tak. Em, kiedy będziesz gotowa?

– Wykorzystajmy już ten dzień – powiedziała. – Zrobię jeszcze kilka kanapek z łososiem.

– No dobra, Tom – rzekł Jardine. – Przerwa na papierosa.

Nancy, odświeżona, w białym kapeluszu i sukience w kratkę, zapakowała ostatnie pomidory i zamknęła kosz.

– Wszystko gotowe, tatusiu!

– Stań przy samochodzie, kochanie – polecił ojciec. – Patrz, czy nikt się tam nie kręci.

– Uważajcie na podłogę – przestrzegała pani Jardine. – Gdzie jest ten środek przeciw owadom?

– Idź już, dobrze? – ponaglił ją mąż.

Kiedy Jardine i Tom zostali sami, otworzyli zamrażarkę. Twarz i mundur żołnierza ściął szron, ale krew nadal miała wilgotny połysk.

– No, jak? Trzymasz go? – spytał Jardine. – W porządku. Do góry. Teraz!

– O Boże, ileż się tego tutaj zebrało! – wykrzyknął Tom.

– Diabli ją wezmą, jak to zobaczy – mruknął Jardine. – Już dawno powinien przestać. Uważaj na podłogę, synku. Dobra, teraz w dół, delikatnie. Tylko ostrożnie, żeby nie pryskało. O Boże! W porządku? Połóż ręce wzdłuż ciała. I nogi razem.

– Tylko spójrz, miałem czystą koszulę. Musimy go szczelnie owinąć. Bo się wszystko pochlapie.

– Przez to nie przecieknie – stwierdził Jardine. – Mam ją od lat. Jest nie do zdarcia. Dobra. Podwiń ją pod spód. O tak. A teraz do góry. Do mnie. Dobrze. Teraz sznur. Podnieś mu nogi.

Popatrzyli na podłużny pakunek.

– Wyjdź zobaczyć, czy czasem nikt się nie kręci.

Wycierał właśnie ręce, kiedy Tom wrócił.

– W porządku. Otworzyłem bagażnik.

– Nie ma tam gdzieś w pobliżu tej cholernej Prendergast?

– Nie zauważyłem jej.

– To dobrze. Dawaj go.

Kiedy wyszli na słońce, Jardine rozejrzał się po cichej podmiejskiej uliczce. Tylko synek Fosterów jeździł na swoim trzykołowym rowerku. Poza tym było pusto. Gdzieś w oddali zagrał sygnał lodziarza.

– Nancy, przesuń skrzynkę z narzędziami – polecił Jardine. – Tylko szybko!

Sprężyny zajęczały. Podwozie siadło. Bagażnik został domknięty.

Jardine sprawdził zamek. Otarł usta.

– Co ty wyrabiasz? – spytał.

Pani Jardine gramoliła się z samochodu.

– Zapomniałam o jedzeniu dla Tibsa. Biedaczek umarłby z głodu. Ciekawe, gdzie się podziewa.

Wbiegła do domu.

– A ja muszę zmienić koszulę – rzucił Tom.

– A ty co musisz? – spytał Nancy.

– Ja? Nic, tatusiu – odparła. – Wszystko poszło dobrze?

– Był grzeczny – odparł Jardine, uśmiechając się. – Nie narzekał. Ale zapomnieliśmy o jednym.

– O czym?

– O łopacie – powiedział ojciec ruszając w głąb ogrodu.

Kiedy wjechali do Haslemere, była dwunasta piętnaście według zegara na High Street.

– Jestem ugotowana – pożaliła się pani Jardine, wachlując się sukienką. – Mówiłam, że to za daleko.

– Im dalej, tym lepiej – odparł Tom. – Szkoda, że nie wziąłem okularów słonecznych.

– Jeśli to jeszcze raz powtórzysz, zakopiemy cię razem z nim – pogroził Jardine.

– Niewiele się tu zmieniło, co Nancy? – spytał Tom rozglądając się wokół.

– Trudno żeby się zmieniło w ciągu trzech lat – zauważyła pani Jardine.

– Tam jest ten hotel – pokazała Nancy. – Rzeczywiście było fajnie.

– A ja ciągle jeszcze czekam na swoją podróż poślubną – westchnęła pani Jardine. – Spędziliśmy tylko jeden dzień w Londynie, to wszystko.

– Przecież walczyłem wtedy za ojczyznę – tłumaczył się Jardine. – Trzeba było ponieść jakieś ofiary. W Hiszpanii za to będzie wspaniale.

– Obiecanki cacanki – mruknął Tom.

Drzewa, stojące nieruchomo w upale na szczycie Blackdown rzucały smugi cienia. Przez otwarte okna samochodu wpadał biały pył i ziarenka piasku.

– Może tutaj? – spytał Tom. – Jest dość gęsto.

– Wjedź trochę głębiej – rzucił Jardine. – O Boże, ale upał! Jak go już zakopiemy, będziemy mogli sobie trochę odetchnąć.

– Jest ścieżka, Bill.

– Żadnych ścieżek. Musi być z dala od drogi. Skręć tam.

– Śliczny widok – zachwyciła się pani Jardine. – Popatrz, Nancy.

– Dobre miejsce – stwierdził Jardine. – Zatrzymaj się tutaj, pod drzewami. O, tu.

Koła zmiażdżyły kupę paproci. Silnik umilkł. Było upalnie i cicho. Słychać było tylko brzęczenie much i bzyczenie pszczół.

Nancy kichnęła.

– Na zdrowie – powiedziała matka.

– To przez te pyłki – stwierdziła Nancy.

Wysiedli z samochodu.

– Tak samo gorąco. – Pani Jardine wachlowała się chusteczką. – Dzisiaj rano w radio mówili o okresowych rozpogodzeniach, a nie o fali upałów. Chyba sobie tu posiedzimy, aż skończycie.

– Po prostu nie wchodźcie w paradę – stwierdził mąż. – Naciśnijcie klakson, jeśli kogoś zobaczycie. – Wyciągnął z tyłu łopatę – Idziemy, Tom.

Mężczyźni przedzierali się przez gąszcz suchych, łamiących się gałązek i wiekowych konarów, potykali się o korzenie i zahaczali o kolczaste pnącza.

Jardine odpędził muchę z brwi.
– Mówiłeś coś? – spytał.
– Co za cholerna dżungla! – Tom był zdyszany. – Może już wystarczy, co?
– Dobrze by ci zrobiło wojsko, synku. Kilka przymusowych marszów przez pustynię. To, to pestka.
Ale w końcu, mokry od potu, sam zarządził postój.
– Trzeba go było zabrać – stwierdził Tom. – Będziemy musieli taki kawał wracać.
– Wtedy byś się dopiero ugotował. Co innego kopać dół, a co innego mieć koło siebie trupa.

Nie było łatwo. W ziemi wiły się twarde, wężowate kłącza. Kiedy je usunęli, łopata zazgrzytała o warstwę małych, szarych, żwirowatych kamyczków.
– Twoja kolej – powiedział Tom.
Dokopali się do tłustej, brązowej ziemi.
– Jak głęboko chcesz kopać?
– Z początku chciałem głęboko, ale po co się mamy tak męczyć? – powiedział Jardine. – Jeszcze tylko kilkanaście centymetrów.
Tom rozejrzał się wokół.
– Można by pomyśleć, że jesteśmy na zupełnym odludziu, co? Takie właśnie miałem wrażenie, kiedy byliśmy tu z Nancy ostatnim razem.
– No dobra, ja skończyłem. – Jardine oparł łopatę o cienkie drzewko. Przetarł ręką czoło. – Chodźmy, byłoby dobrze mieć to już z głowy.
Kiedy wrócili, kobiet przy samochodzie nie było.
Tom chciał krzyknąć.
– Nie wołaj ich – rzekł Jardine. – Normalka. Założę się, że poszły zbierać stokrotki.
Otworzył bagażnik.
Dźwignęli ciało i z trudem ruszyli w drogę powrotną.
Stanęli z trupem obok dołu i z ulgą opuścili go na ziemię.
– Zaczynam współczuć Livingstone'owi – stwierdził Tom.
– Niepotrzebnie. Za niego dźwigali tragarze.
– Wkładamy go w tym?
– Mowy nie ma! – zaoponował Jardine. – Mam tę plandekę od lat. Człowiek się do takich rzeczy przywiązuje: pierwszy samochód, sam wiesz, jak to jest. – Przydawała mi się w różnych sytuacjach. Wyjmijmy go. Łatwo się ją oczyści.
– Potem zamierzam strzelić sobie dużego drinka. Już czuję ten smak. Gotów?
– Chyba tak.

– Aż się nie chce wierzyć, że tyle tego w sobie mamy – stwierdził Jardine wylewając krew na usłaną liśćmi ziemię.
– On miał wyjątkowo dużo. Zaczekaj! – polecił Tom.
– Co się stało?
– Słyszysz?
– Co? Nic nie słyszę. A rzeczywiście. Schowaj się!
Hałas przybliżał się do nich. Słychać było trzask łamanych gałęzi, odgłosy rozmowy.
– Zgadnij, kto to – spytał Tom i wstał.
– Uhu! – zakrzyknął.
Pani Jardine pisnęła.
Nancy odwróciła wzrok od upstrzonej muchami twarzy żołnierza.
– Jeszcze nie skończyliście? – spytała.
– Mówiłem, żebyście nie odchodziły od samochodu – zganił je Jardine.
– Zobaczyłyśmy kogoś – zaczęła się tłumaczyć pani Jardine. – Wyglądał na leśniczego. Więc udawałyśmy, że jesteśmy na spacerze. Zaraz za wami jest ścieżka. Wcale nie odeszliście tak daleko. – Pokazała kilka gałązek żółtego janowca. – Jakie ładne. Będą mi pasowały...
– Jeśli ktoś się tu rzeczywiście kręci, zaraz usłyszy waszą głupią paplaninę – odparł mąż. – Uciszcie się, z łaski swojej. Pomóż, Tom.
– Dobra! – Tom schylił się i chwycił żołnierza za ramiona. – Dawaj!
Ciało zawisło nad dołem, pani Jardine uśmiechnęła się do janowca. Nancy przyglądała się grze świateł na liściach. Mężczyźni zaczęli opuszczać ciało do dołu.
Żołnierz jęknął.

IV

Pani Jardine przestała się uśmiechać. Nancy stłumiła okrzyk. Tom szybko podniósł głowę zatrzymując szeroko otwarte oczy na twarzy teścia.
– Dawaj! – ponaglił Jardine. – Wrzucamy!
– Nie możecie! Nie! – zawołała Nancy.
– Przestań krzyczeć, do diabła! – zbeształ ją ojciec. – On nie żyje!
– Ale jęknął! – zaoponowała Nancy.
– To powietrze w płucach – wyjaśnił Jardine. – Trochę go zginamy. Dawaj Tom! Pomóż go!
– Nie! – krzyknęła Nancy.
– Wszystko w porządku? – dał się słyszeć odległy głos. – Coś się stało?
Spojrzeli po sobie.
– To jest... – zaczęła pani Jardine.
– Wrzucaj go! – polecił Jardine.
– Ale, tatusiu...
– No dobra, dobra. – zgodził się Jardine. – O Boże! Spływamy. Nancy, łap plandekę! Szybko!
Pobiegli do samochodu, we dwóch taszcząc ciało. Wepchnęli żołnierza do bagażnika i zatrzasnęli.
– A gdzie plandeka? – krzyknął Jardine.
– Och, nie dałam rady tatusiu – wyjaśniła Nancy. – Bez przerwy o coś zaczepiała. Moje włosy...
– Zgubiłam kwiaty – zmartwiła się pani Jardine.
– Do środka! Właźcie! – ponaglił ją ojciec.
Samochód z rykiem odjechał. Na liściach osiadł biały pył.

– Proszę cię, Tom – powiedziała pani Jardine. – Bardzo cię proszę!
– Tak, zwolnij, synu. Już jesteśmy bezpieczni.
Zamazane pola stały się bardziej wyraziste, przesuwały się wolniej. Tom się odprężył.
– Niezła, co? Zwłaszcza kiedy ma ochotę. Dobrze rusza. Moja ty kochana! – przemawiał do samochodu.
– Myślisz, że nas widział? – zapytała Nancy.
– Nie miał szans – Tom był pewny siebie. Machnął ręką w powietrzu. – Brrum... Przy takim starcie!
– Żal mi tej plandeki – westchnął Jardine. – Zupełnie jakbym stracił przyjaciela. Tyle razy mi służyła... jako namiot, podłoga. No, trudno.
– Przeszkadzała mi w biegu – tłumaczyła się Nancy.
– Gdzie jesteśmy? – spytała pani Jardine.
– Niedawno minęliśmy drogowskaz na Petersfield – odparł Tom. – Co teraz, tato?
– On jęknął – przypomniała Nancy.
– Skończ już, dobra? – zdenerwował się ojciec. – Ile jeszcze razy to powtórzysz? Kurczaki biegają, nawet jak się im odetnie głowy. Zgadza się?
– Reakcja odruchowa.
– Właśnie – przytaknął Jardine. – Jest martwy. Ma powietrze w płucach. Jak go zegniesz, wypycha je na zewnątrz. I to brzmi jak jęk. A gdybyś nie krzyknęła...
– Och, nie kłóćmy się – przerwała im pani Jardine. – Jest za gorąco. Wystarczy, że ciągle go jeszcze taszczymy. Nie moglibyśmy się gdzieś zatrzymać?
– Jak tylko zobaczymy jakiś pub – odparł Tom. – Dobrze

schłodzone piwko z sokiem! Już się nie mogę doczekać!

Samochód skręcił na parking pubu „Pod Zającem i Psiarnią". Zatrzymał się przed białym płotem z tabliczką „Nie obsługujemy wycieczek autokarowych ani Cyganów".

– Och, jak miło rozprostować nogi! – odetchnęła pani Jardine. – Trzeba było jechać twoim samochodem, Bill. Jest wygodniejszy.

– I ma większy bagażnik – przyznał Jardine. – No, trudno. Nie zabawimy tu długo. Kupmy, co potrzeba, a napijemy się później, przy jedzeniu.

– Tylko jedno piwko, tato – poprosił Tom. – Przyznasz, że jechałem jak szatan.

– No dobra. Ale jedno!

Na zewnątrz, przy składanym stoliku siedzieli mężczyzna, kobieta i chłopiec; przed nimi stało piwo i coca-cola, a obok leżały prażynki.

– Dzień dobry – zagadnęła pani Jardine.

Kobieta skinęła głową.

– Jaki ładny dzień! – rzuciła. – Państwo z daleka?

– Z New Malden.

– A my z Brixton – odparła kobieta. – Przyjemnie tutaj.

– Coś wam kapie z samochodu – zauważył chłopiec.

Odwrócili się.

Krew swobodnie wyciekała z bagażnika, tworząc na asfalcie coraz większą kałużę.

– Och! – wyrwało się Nancy.

– Coś się pewnie stłukło – powiedział wolno Jardine. – Zajmę się tym. Przynieście mi moje picie.

– Dobrze się pani czuje? – spytała nieznajoma.

– To chyba przez ten upał – odparła pani Jardine dochodząc do siebie. – Jest taka duchota.

Tom wprowadził obie kobiety do pubu.

– Mogę pójść zobaczyć? – spytał chłopiec.

– Lepiej nie – rzucił Jardine przez ramię.

Chłopiec zsunął się z krzesła.

– Graham, siedź tutaj! – polecił mężczyzna.

– Ale chcę tylko zobaczyć..

– Zostań! – powiedziała matka.

Jardine uchylił klapę bagażnika. Wnętrze było pełne krwi. Szybko je zamknął.

– To tylko kilka butelek! – zawołał. – Przejadę tam, na trawę.

– Pomóc panu? – zaproponował mężczyzna unosząc się z krzesła.

– Nie, dziękuję – odparł Jardine z uśmiechem. – To chwila.

Kiedy pojawił się na powrót Tom, mężczyzna, kobieta i chłopiec unieśli głowy.

– Odjechał kawałek dalej – wyjaśniła kobieta. – Stłukło się kilka butelek.

– Tak właśnie myślałem.

– Do zobaczenia – rzuciła pani Jardine. – Miło było państwa poznać.

– Cała przyjemność po naszej stronie – odrzekła kobieta.

Samochód stał na krawężniku jakieś sto jardów dalej. Na trawie obok tylnych kół pojawiły się plamy, ale przestało kapać.

– Och, tatusiu! – westchnęła Nancy wsuwając się do samochodu.

– Wykorzystałem wszystko, co było pod ręką. Chodniczki, ligninowe chusteczki, gazety... Nawet twój sweterek, Em.

– Och, Bill!

– Musiałem – tłumaczył się mąż. – To się spierze. A jak nie, kupię ci drugi.

Tom włączył silnik.

– A teraz dokąd? – spytał.

– Nie wiem. – Jardine poczuł się nagle zmęczony. – Jedź gdzieś z dala od głównej szosy. Znajdź jakieś spokojne miejsce, gdzie moglibyśmy zjeść.

V

Pani Jardine starannie zwinęła opakowanie po czekoladce i schowała je do papierowej torebki.

– A twój papierek, Tom? – spytała. – Pamiętaj o haśle: „Nie zaśmiecaj kraju!"

Podał jej. Wytarł ręce o spodnie.

– No dobra. – powiedział. – Twoja kolej, Nancy. Rzuć jakiś pomysł.

– Ja w każdym razie na pewno nie zamierzam już kopać – wtrącił Jardine i beknął. – Przepraszam.

– Tak też myślałam – powiedziała żona.

– No więc, Nancy?

– To przecież stało się niezależnie od nas! – zaczęła tłumaczyć Nancy. – Skąd u nas to poczucie winy? Przecież nic złego nie zrobiliśmy! On się po prostu zjawił. Nie mamy z tym nic wspólnego. Za coś takiego chyba nas nie powieszą!

– Ale dlaczego akurat na nas trafiło? – spytała pani Jardine.

– Takie pytania nie mają sensu – odpowiedział mąż. – A to wszystko, co tam wpakowałem, nie na długo wystarczy

– Myślałam, że po śmierci, kiedy serce przestaje pracować, człowiek już nie krwawi – zauważyła pani Jardine

Mąż wyjął z ust zapałkę.

– Ale nie ten skurwiel! – mruknął.

– Może dlatego, że ma duże rany – powiedziała Nancy z roztargnieniem, obserwując motyla.

– Ale gdzie się ich dorobił? – spytał Jardine. – Może to jakiś tajny agent. Jak w tej sztuce w telewizji w zeszłym tygodniu, kiedy facet tak naprawdę był po naszej stronie, a udawał Rosjanina. Może szpieg? Nigdy nic nie wiadomo Na przykład ze Scotland Yardu.

– Raczej z kontrwywiadu – podsunął Tom.

– No... no... – powiedziała pani Jardine. – Być może szukają go w całym kraju...

– Mamo, chcemy konkretnych propozycji, nie domysłów – przerwał jej Tom.

– Wydaje mi się, że powinniśmy pójść na policję – stwierdziła Nancy. – Trzeba było od tego zacząć. Gdybyśmy powiedzieli im prawdę, może byłoby już po wszystkim.

– Zostawiliśmy plandekę – zastanawiał się Jardine. – I ten leśnik, jeśli to był rzeczywiście leśnik, znajdzie ją. I dół I łopatę. A teraz ci ludzie w pubie, i jeszcze ten wścibski smarkacz. Wszystko...

– O to mi właśnie chodzi, tatusiu – powiedziała Nancy. – Coraz bardziej to sobie komplikujemy. Żadną miarą nie uda nam się wyjechać jutro do Hiszpanii.

– Mnie tam nic nie zatrzyma. – Tom był stanowczy. – A ty, co myślisz, tato?

– Trzeba go wyrzucić – stwierdził Jardine. – Znajdziem gdzieś odludne miejsce i wyrzucimy go do rowu.

– Ależ, tato! – oburzyła się Nancy.

– Zbyt ryzykowne – ocenił Tom. – Znajdą go. Może nas nawet ściągnąć Interpol, kiedy akurat zaczniemy się dobrze bawić.

– Taka strata pieniędzy! – westchnęła pani Jardine.

– A więc co? – spytał Tom.

Jardine podciągnął się na łokciach.

– Pozwólcie mi się chwilę zastanowić.

Zapadła cisza. Nad ich głowami krążył motyl.

Cisza się przedłużała.

– Mam pewien pomysł – odezwał się w końcu Jardine. Wskazał na pola. – A co powiecie o tym?

Popatrzyli na przysadzistą wieżę wystającą ponad drzewami w oddali.

– Chodzi ci o kościół? – upewnił się Tom.

– Syn człowieczy, dobry pasterz, sanktuarium, i tak dalej. ,,Przyjdźcie do mnie'', przecież tak mówią, nie?

– Nie drwij – przerwała mu pani Jardine.

– Wcale nie drwię. Nie wierzę w ani jedno słowo, ale nie żartuję. Przecież proboszcz go tak nie zostawi. Nie może odmówić! Powinien tam być jakiś cmentarz. Co wy na to?

– Można spróbować – zgodziła się Nancy. – Lepiej tam, niż w rowie.

– Musi się nim zająć – powtórzył Jardine. – To co, jedziemy?

Natrafili na wąską drogę skręcającą w prawo. Chwilami wieża znikała im z oczu, lecz stawała się coraz większa w miarę, jak drzewa coraz bardziej się przerzedzały. Przejechali między domkami, i przez garbaty mostek. Nad szemrzącym cichutko strumykiem migotało słońce. Tam właśnie, za czterema grubymi cisami znaleźli kościół, osłonięty z tyłu rzędem topoli.

Tom skręcił w polną ścieżkę i zatrzymał samochód przed wykrzywioną furtką.

– Przydałoby się to trochę wyremontować – zauważył.

– Jak można dopuścić, żeby takie śliczne miejsce niszczało – stwierdziła pani Jardin kładąc dłoń na przegniłej belce.

Na tabliczce widniał słabo czytelny napis: ,,Kościół św. Benedykta''.

– ,,Proboszcz: ks. David Proudfoot'' – odczytał Jardine. – Jego nam właśnie trzeba.

Przecisnęli się rządkiem przez furtkę i ruszyli zarośniętą ścieżką. Nagrobki tonęły pośród wysokiej trawy i chwastów. Nazwiska, wiek, daty zatarły się. Z pobielanej dzwonnicy z szumem wyfrunęły gołębie. Postrzępionych cisów nikt już od dawna nie przycinał. Wśród gałęzi z szaleńczym trzepotem skrzydeł i ostrym, wściekłym świergotem walczyły zapalczywie wróble. Nagle podfrunęły, zatoczyły koło nad cmentarzem i nadal się sprzeczając, nierównymi grupkami opadły na ziemię.

– Nie warto tu było przychodzić – stwierdził Tom patrząc na usłane papierzyskami wejście. – Od lat nikt tu nie urzęduje.

– Masz rację – przytaknął Jardine.

– Och, zostańmy jeszcze trochę – poprosiła żona. – Uwielbiam stare kościółki.

Nancy pchnęła drzwi. Otworzyły się ze zgrzytem.

– Jaka szkoda, że to wszystko takie opuszczone – westchnęła pani Jardine.

W powietrzu unosił się zapach zgnilizny. W smugach światła krążyły kłębki kurzu. Większość witraży była stłuczona. Puste miejsca w barwnej kompozycji wypełniało niebo. Zwalone na kupę ławki leżały z przodu, jak po trzęsieniu ziemi, a na ołtarzu walał się gruz. Na ścianach wisiały zbrukane symbole hołdu dla dawno zmarłych dziedziców i rzemieślników, a z trzech sięgających sufitu kopii zwisały zakurzone sztandary z zapomnianych już prawie bitew.

– Chodźmy – powiedziała pani Jardine dotykając spleśniałej puszki na datki. – Kiedy sobie pomyślę, jak to kiedyś musiało wyglądać...

– To znak naszych czasów, kochanie – skomentował mąż.

– Powinni tu przynajmniej sprzątać, nawet jeśli kościół nie jest używany – dodała.

Owionęło ich cudownie świeże powietrze przesiąknięte zapachem fiołków i dzikiej róży.

Ścieżką nadchodziła z naprzeciwka staruszka. Szła wolno, wspierając się na lasce. Niosła bukiet irysów. Idąc z pochyloną głową nie zauważyła ich, a kiedy Jardine zwrócił się do niej, zatrzymała się nagle niczym zwierzę wietrzące niebezpieczeństwo.

– Gdzie możemy znaleźć proboszcza?

Podniosła głowę. Oczy miała wyblakłe jak woda.

– Nie ma proboszcza.

– Wiem, ale...

– Chiba w domu. O tam, widzi?

– Tam? Bardzo dziękujemy.

Minęła ich, powłócząc nogami w starych łapciach w szkocką kratę.

Znaleźli furtkę do domku. Tutaj także trawa rosła dziko, a gęstwina kwiatów brzęczała rojem pszczół.

– Strasznie chciałabym mieszkać w takim miejscu – rozmarzyła się pani Jardine. – Z dala od ludzi...

– Dla mnie możesz się tu przeprowadzić od zaraz – stwierdził Tom. – Zapukać?

Sięgnął po mosiężną głowę dzika.

– Proszę! – odezwał się jakiś głos.

Schylili głowy i weszli.

Na wprost wejścia niewysoki mężczyzna o siwych włosach i twarzy pomarszczonej jak suchy liść prasował coś na stole przy otwartym oknie.

– Pastor Proudfoot? – spytał Jardine.

Żelazko powróciło na przypaloną podstawkę z azbestu.

– Były pastor. – Podniósł leżącą na desce do prasowania kartkę i przypiął do wiszącego nad jego głową sznura do bielizny. Cały pokój obwieszony był kartkami papieru. Wiele innych fruwało po ogrodzie.

– Wandale – powiedział. – Zbierają się o północy, przy pianiu koguta. Modlitewniki służą im do rozpalania ognia. Świętokradcy. – Skinął głową w kierunku dyndających kartek, po czym wyciągnął kolejną ze sterty leżącej koło jego lewej ręki. – Tę Biblię zabrali z ambony. Podarli, zamoczyli, nie będę się wdawał w szczegóły. Trzeba to jakoś ratować.

Zaczął prasować następną stronicę.

– Nie powinien pan zostawiać otwartych drzwi – zauważyła pani Jardine.

– Nie zostawiam – odparł pastor. – Tylko dwa razy w tygodniu, kiedy pani Herbert przynosi trochę kwiatów. To symbol, ale daje jej dużo radości. Może ją widzieliście?

– Tak – przytaknęła Nancy.

– A czym mogę państwu służyć?

Podczas objaśnień Jardina kolejne stronice znikały pod żelazkiem pastora.

– Muszę postarać się o następny sznur – stwierdził pastor. – Tak... Cóż to za smutna historia! Na jakim my świecie żyjemy! Gdyby nie Bóg, jakie jeszcze nieszczęścia mogłyby nas spotkać? Obawiam się jednak, że nie mogę panu pomóc, panie...? Jardine. No tak. – Rozłożył ręce. – Kościół, jak by to powiedzieć, przestał funkcjonować. Nie udzielam chrztów, bierzmowania, ślubów, nikogo już nie chowam. Cmentarz jest pełen. Nie ma na nim miejsca nawet dla moich starych kości. Ja sam spocznę gdzie indziej.

– Co możemy zrobić w tej sytuacji? – spytała Nancy.

– Moglibyście porozmawiać z biskupem. Ale dlaczego nie pochować go jak żołnierza? W Hampshire jest pełno wojska. Dawniej odprawiałem tam niedzielne nabożeństwa.

– Petersfield – zamyślił się Jardine. – Tak mi się właśnie wydawało, że to znajoma nazwa. Byłem tu gdzieś w pobliżu w wojsku. Nie pamiętasz, Em? Miałem tu jakieś ćwiczenia, niedaleko Liss.

– Liss? – powtórzył pastor. – Tak, to całkiem blisko.

– Tuż przed inwazją w Normandii – ciągnął Jardin. – To wspaniała okolica. Poprowadzili tam nawet specjalną linię kolejową.

– Trafiłbyś tam, tatusiu? – spytała Nancy.

– Trudno zapomnieć miejsce, w którym się służyło w wojsku – odparł ojciec. – Obojętnie gdzie. Czy to w Zjednoczonym Królestwie, czy za granicą. Tego się tak łatwo nie zapomina. Po Kairze potrafiłbym poruszać się z zamkniętymi oczami. Pastor pokaże nam, jak dojechać do Petersfield, a dalej już sam trafię.

Pastor podszedł z nimi do furtki.

– Przejedźcie z powrotem przez wioskę i wyjedźcie na szosę. Skręćcie w prawo, potem trzeba jeszcze jechać jakieś pół mili. Na prawo będzie droga do Petersfield.

– Dziękujemy. Jaka szkoda, że kościół jest w takim stanie – westchnęła pani Jardine.

– Niech was Bóg prowadzi! – Pomachał ręką. – Wracam do mojej Biblii.

Kiedy dotarli do Petersfield, Jardine stracił orientację.

– Wszystko się tutaj pozmieniało. Wtedy wyglądało inaczej.

– Wszędzie mnóstwo domów – dodała żona. – Teraz trudno się połapać w Londynie, a co dopiero w takiej dziurze.

– ,,Nigdy nie zapomnę...'', co? – wtrącił Tom. – Spytam się tego faceta. – Zatrzymał samochód i wychylił się. – Kolego, którędy do Liss?

Mężczyzna wskazał drogę, ruszyli.

– Tato, on się za nami gapi – powiedziała Nancy. – Czy myślisz, że...?

– Wcale się nie gapi. Przestań sobie wmawiać. O, poznaję tę kawiarnię. Tyle razy przesiadywałem tu jako młody żołnierz nad herbatą i kanapką.

– Och, łamiesz mi serce, tato... – przerwał mu Tom.

– Poczucie braterstwa – ciągnął teść. – Tego właśnie brakuje w czasie pokoju. Tylko strajki, żądanie podwyżek. Każdy chce coraz więcej. To jednak co innego, kiedy uczestniczysz w historii, a twoje życie zależy od kumpli. Dzisiaj ludzie chcą tylko brać.

– Jesteś taki sam – zauważył Tom. – Przecież nie odmówiłeś ostatniej podwyżki, co? Nigdy nie należałeś do biedaków.

– Koszty utrzymania – stwierdził Jardine. – Takie jest życie. Skręć tutaj – wskazał. – Ale ruch!

Zbliżając się do Liss zobaczyli olbrzymi transparent rozwieszony nad drogą: ,,Święto Jednostki w Lucknow – 3 sierpnia. 1 mila''.

– To tam. Lucknow. Tam właśnie byłem.

– Wszyscy tam jadą – stwierdził Tom. – Nic dziwnego, że się tak wleczemy.

– Obóz w Lucknow – zadumał się Jardine. – Nigdy nie przypuszczałem, że się tam jeszcze kiedyś znajdę. – Spojrzał przez ramię na bagażnik. – Wracamy do domu, chłopcze.

VI

Powiewały zielone i czerwone chorągiewki. Trzepotały flagi. Na rozgrzanym metalu jadących sznurem samochodów drżały promienie słońca. Wzdłuż szosy spacerował sprzedawca napojów. Przy wjeździe sierżant sprzedawał bilety. Porządku na parkingu pilnowali żołnierze z białymi opaskami na ramieniu.

– Tutaj? – spytał Tom.

– Tam dalej z przodu będzie więcej cienia – odrzekł żołnierz. – Dobra. Dziękuję.

– Bogu dzięki, że stanęliśmy w rogu – westchnął Jardine wysiadając z samochodu i stając pod drzewami. – To ta linia kolejowa, o której mówiłem. – Pokręcił głową. – Ach, te wspomnienia! Wszystko wraca! Jak tu kiedyś czekałem marznąc na ostatni pociąg. Czasami mi uciekał, musiałem wtedy iść piechotą, przełazić przez mur. Jakie to wszystko dziwne! Sprawdź bagażnik, synu!

– Nic, ani kropli – stwierdził Tom.

Nancy odetchnęła z ulgą. Włożyła kapelusz.

– Z kim będziemy rozmawiać tatusiu?

– Kogoś znajdę – odrzekł ojciec. Podniósł głowę. Gdzieś w oddali orkiestra zaczęła grać marsza. Uśmiechnął się. – Słyszycie? – Dobiegały ich dźwięki muzyki. – Coś w tym jednak jest. Taka muzyka zagrzewa człowieka. Chodźcie, może nawet nam się uda przyjemnie spędzić czas.

Wielki stadion otaczały stanowiska przedstawiające różne strony wojskowego życia. Na obrzeżu rozstawiono wszelkie rodzaje uzbrojenia: broń strzelecką, czołgi, działa polowe. Helikopter, wieżę spadochronową. A dalej za tym wszystkim znajdował się sam obóz. Równe rzędy baraków i plac defiladowy rozedrgany w upale.

– A teraz, panie i panowie, defilada – dało się słyszeć przez megafony nieco zniekształcony głos. – Idą żołnierze z pułków Surrey i Hampshire oraz połączone orkiestry królewskich wojsk inżynieryjnych i Korpusu Kwatermistrzowskiego.

Wokół stadionu rozległy się oklaski.

– Biedne sukinsyny! W takim upale! – Tom był pełen współczucia.

– Cały świat nam zazdrości takiej dyscypliny. Czemu oni wszyscy przyjeżdżają się uczyć do Sandhurst? Spójrz na to, synu, tym właśnie pobiliśmy Szwabów.

Długie szeregi maszerowały tam i z powrotem. Połączone orkiestry waliły w bębny i dęły w trąby. Helikopter wzniósł się z warkotem i zatoczył koło nad głowami.

– Chodźmy. Nie mogę już na to patrzeć! – powiedział Tom.

Przeszli się między stanowiskami. Młodsi oficerowie i sierżanci rozmawiali z poborowymi.

Przecisnęli się do stanowisk z różnymi rodzajami broni. Dzieci udawały, że ładują pociski do dział. Inne wspinały się na podniesione lufy. Myszkowały w czołgach z obrotowymi wieżami. Na ziemię spłynął żółty spadochron umieszczając uśmiechniętego młodzieńca w środku białego koła.

– Najwyraźniej sprawia mu to przyjemność – stwierdziła pani Jardine. – Jak to dobrze, że dziś taka ładna pogoda!

– To nie do wiary! – zatrzymał się Jardine.

Ruszył żwawo w kierunku dwu oficerów siedzących na płóciennych krzesłach.

– Kapitan Douglas? – spytał.

Oficerowie unieśli głowy znad mapy, którą studiowali. Jeden z nich, z czarną przepaską na prawym oku i pustym prawym rękawem zatkniętym za pas, wyjął z ust fifkę.

– Pułkownik Douglas – poprawił.

– Bardzo przepraszam, panie pułkowniku – powiedział Jardine. – Nie zauważyłem, panie pułkowniku. Przypomniałem sobie właśnie dawne czasy...

– Co? – zdumiał się pułkownik.

– ...kiedy byłem z panem pułkownikiem i pana batalionem na Bliskim Wschodzie. Benghazi, panie pułkowniku. Starszy szeregowiec Jardine.

– Ach tak. Jardine?

– Tak jest, panie pułkowniku. Daliśmy wtedy Rommlowi popalić.

– Jardine... – powtarzał sobie pułkownik przymykając jedyne oko.

– Gratuluję awansu, panie pułkowniku – ciągnął Jardine. – A pan pułkownik ciągle w mundurze?

– Chyba umrę na posterunku – odparł pułkownik. – Miło mi ciebie znowu widzieć. Nie będę wstawał. – Poklepał się po nodze. – Staram się jak najwięcej siedzieć.

– Byłem z panem pułkownikiem, kiedy to się stało. To wspaniale, że pan nadal na służbie.

– Robię, co mogę, Jar..dine. Bardzo mi przykro, ale...

– Drobiazg, panie pułkowniku. Było nas tam wielu.

– Owszem, owszem. Masz zamiar obejrzeć bitwę?

– Słucham?

Pułkownik postukał w mapę.

– Dziś po południu inscenizujemy bitwę. Nasz, to znaczy twój batalion, oraz batalion z Hampshire. Zapowiada się ciekawie.

– Oczywiście panie pułkowniku.

– Powiedz mu – szepnęła Nancy.

– Coś jeszcze? – spytał pułkownik. – Mamy trochę roboty...

– Ja... my... mamy w samochodzie rannego, panie pułkowniku.

– Rannego?

– Tak, żołnierza Jej Królewskiej Mości. Dość mocno krwawi, panie pułkowniku.

– No to przewieźcie go do PM. Freddie, gdzie jest nasz punkt medyczny?

Drugi oficer rozejrzał się wokół.

– Niedaleko, panie pułkowniku. Tam gdzieś widać ich flagę. Tak. O, tam.

– Zobaczymy się w czasie bitwy, Jardine – pożegnał ich pułkownik. – Jak to miło spotkać starego kumpla.

– Tak jest, panie pułkowniku. Dziękuję, panie pułkowniku.

– Wspaniały człowiek – powiedział Jardine. – Stracił oko, rękę, potem nogę. Ale się nie poddał.

– Idiota – skomentował Tom.

– Nie potraficie tego zrozumieć. Dla was i waszego pokolenia istnieją tylko narkotyki i seks. Chciałbym ciebie zobaczyć jak na jednej nodze stawiasz czoło Korpusowi Afrykańskiemu. Jak on. Wspaniały facet!

– Głupie gadanie! – rzekł Tom. – Opowiadałem ci o mojej przygodzie z Custerem?

Znaleźli punkt medyczny. Zdjęcia polowych szpitali na Cyprze i w Singapurze, lekarzy kąpiących się po służbie w Morzu Śródziemnym. Plakaty i broszury. Ale wszystkie trzy krzesła były puste.

– Gdzie jest oficer medyczny? – spytał Jardine znudzonego sierżanta siedzącego obok przy stoliku.

– Chyba poszedł popatrzeć na bitwę – odparł sierżant. Wyrzucił niedopałek w trawę. – Na pewno jakiś idiota zawadzi nogą o niewłaściwy drut. Panie wybaczą moją łacinę.

Odeszli na bok.

– Nasz program na stadionie dobiegł końca. Teraz przerwa na herbatę – ogłoszono przez megafon. – Chciałbym państwu przypomnieć, że za dwadzieścia minut na poligonie artyleryjskim rozpocznie się bitwa. Kierunek pokazują strzałki. Dziękujemy.

– To już nie dla mnie – rzekła pani Jardine. – Napiję się herbaty.

– Ja też – podchwyciła Nancy. – Zajmiecie się nim, tatusiu? Pozbędziecie się go?

– Tak – odparł ojciec. – Zostaw go nam. Idźcie się napić herbaty. Spotkamy się tu za... – spojrzał na zegarek – za godzinę?

– Dlaczego tak późno? – zdziwiła się pani Jardine.

– Chciałbym popatrzeć na bitwę. Dla was też znajdzie się coś ciekawego.

– No dobrze – zgodziła się. – Za godzinę. A potem do domu.

Z powodu upału wszyscy byli senni. Żołnierze na parkingu nie mieli wiele do roboty. Jeden z nich spał na trawie.

Jardine i Tom stali pod drzewami przyglądając się bagażnikowi.

– Znowu cieknie – zauważył Tom.

– Tak – westchnął Jardine. Rozejrzał się. – W porządku?

– Przekręcił kluczyk.

– O Boże! Czy nie moglibyśmy...?

– Nie ma innego wyjścia. Trudno – odparł Jardine. – Ty chwytaj za ramiona.

– Stąd mnie nie widać.

– Wiem, zaczekaj. Zamknę. Musimy się stąd wydostać jakoś niepostrzeżenie. O ile sobie przypominam, tam jest chyba jakaś ścieżka. To co, idziemy?

Tom podciągnął wyżej głowę żołnierza. Zacisnął wargi z obrzydzeniem.

– Prowadź – powiedział.

cdn.

Przekład: MAGDA IWIŃSKA I PIOTR PASZKIEWICZ

Michel Zevaco

PIEKIELNA ZEMSTA

XI

WIZYTA RAGASTENSA U PREFEKTA

Po przybyciu do pałacu, księżna Beatrix zastała już Ragastensa, który, wróciwszy z Luwru, czekał na żonę z niecierpliwością, a nawet z niepokojem.

Księżna, promieniejąc radością, opowiedziała mężowi o swej przygodzie i przedstawiła mu Hiletkę.

Ragastens nie czynił żonie żadnych wymówek za jej nieostrożność: uwagi takie byłyby bezskuteczne.

Uścisnął ją tylko czule i rzekł:

– Jesteś dzielniejsza i bardziej przedsiębiorcza ode mnie.

Potem zwrócił się do dziewczyny i podał jej ramię, aby ją zaprowadzić do wspaniałej jadalni.

Była to właśnie pora obiadowa.

Przy stole gospodarze domu pilnowali, aby nie męczyć Hiletki pytaniami, które co prawda paliły ich usta. W tej chwili Hiletka była dla tych pełnych subtelności ludzi jedynie ich gościem, a obowiązkiem ich było zabawić ją i rozerwać.

Hiletka jednak zrozumiała ich ukryte życzenia i zwróciła się do księżnej:

– Pani – rzekła – czuję się dosyć silną, aby zacząć mówić o rzeczach, które, jak sądzę, interesują panią i jej męża.

– Drogie dziecko! Mój mąż i ja chcielibyśmy bardzo dowiedzieć się niektórych szczegółów, a przynajmniej jednego. Lecz przed postawieniem tego pytania, powiedz nam, jakim sposobem znalazłaś się u tej niebezpiecznej wariatki? Nie masz już rodziców?

– Mam jeszcze ojca.

– A twój ojciec?

– Mój ojciec nazywa się Fleurial. Jest on błaznem króla Franciszka I. Na dworze królewskim przezwano go Tribouletem.

Mówiła o tym bez cienia pomieszania.

Ragastens i Beatrix spojrzeli po sobie ze zdziwieniem.

Tymczasem Hiletka opowiadała dalej, jak ułożyli sobie z ojcem ucieczkę z Luwru i jak jakaś pani, której nie znała wcale, porwała ją podstępnie.

– A więc byłaś tam uwięziona.

– Miałaś uciec z Luwru! – zawołał Ragastens.

Hiletka zawahała się z odpowiedzią.

– Moje dziecko – rzekła z życzliwością Beatrix – widzę, że masz jakąś tajemnicę, o której przykro ci jest mówić! Mów więc nam tylko o tym, co cię nie dotknie.

– Rzeczywiście – rzekła Hiletka, blednąc – trudno by mi było wytłumaczyć, jak zostałam więźniem Luwru. Nie mogę myśleć bez przerażenia o nieszczęściu, które mogłoby spaść na mnie!

– Biedna mała! Lecz w takim razie ojciec twój nie wie, gdzie jesteś, i co się z tobą stało!

– Niestety! To w tej chwili sprawia mi najsroższy ból! Mój ojciec kocha mnie bardzo i obawiam się, czy moje zniknięcie nie będzie dla niego zbyt wielkim ciosem... Co pomyślał sobie, gdy się dowiedział że znikłam?

– Podejmuję się powiadomić go – rzekł Ragastens.

– Och! panie! Mój ojciec będzie pana błogosławił.

– Dziś jeszcze pójdę do Luwru. Uspokój się.

– Tak! Ale on jest również więźniem. Jeśli uda się panu zobaczyć z nim, opowie panu, z jakich powodów trzymano nas w pałacu pod czujną strażą.

– Nie myśl już o tym więcej, moje dziecko. Mój mąż zobaczy się z twoim ojcem i uda mu się na pewno znaleźć sposób połączenia was.

– Och, oby to było możliwe! – rzekła Hiletka, składając ręce jak do modlitwy.

– Uczynię wszystko, co tylko będzie w mojej mocy! – zapewnił Ragastens. – Księżna poświadczy, że mam zwyczaj dotrzymywać słowa.

Hiletka była zachwycona. Nie mogąc znaleźć słów odpowiedzi, spojrzała tylko z wdzięcznością na Beatrix, która uściskała ją czule.

– Teraz przyszła chwila – rzekła księżna, czyniąca dotychczas bohaterskie

wysiłki, aby nie zadawać jej żadnych pytań, dotyczących spraw, które tak gorąco obchodziły księżnę – przyszła teraz chwila zapytać cię o to, co nas interesuje w najwyższym stopniu.

Wzruszenie ścisnęło ją za gardło. Ragastens, jakkolwiek spokojny pozornie, był nie mniej wstrząśnięty.

– Mów, pani – zawołała Hiletka – będę się czuła szczęśliwa, mogąc pani wyświadczyć jakąś przysługę!

– Otóż – rzekła Beatrix – wzywając pomocy, wymówiłaś pewne imię...

– Manfred! – zawołała Hiletka mimo woli.

– Tak, moje dziecko. Przybyliśmy do Paryża, aby odszukać kogoś, noszącego to imię. Ten Manfred którego wzywałaś... którego znasz...

– Pani – wyjąkała Hiletka – znam go bardzo mało...

– I wzywałaś go jednak! – zawołał Ragastens zdziwiony.

Żywy rumieniec, jaki wykwitł na policzkach Hiletki, zdradził jej tajemnicę.

Beatrix skinęła na Ragastensa, dając mu znak, aby się oddalił. Wtedy przygarnęła dziewczynę do siebie, szepcząc:

– Mów ze mną, jak z matką. Kochasz go?

– Tak! – rzekła Hiletka cichutko.

– A mówisz, że znasz go bardzo mało?

– Przechodził czasem pod oknami domku, w którym mieszkałam z moim ojcem.

– Lecz rozmawiałaś z nim? Wybacz jednak, może te pytania sprawiają ci przykrość?

– Nie, pani – odparła naiwnie Hiletka – mówimy przecież o nim.

Beatrix uśmiechnęła się.

Hiletka mówiła dalej:

– Mówiłam z Manfredem tylko jeden raz w życiu. Tego wieczoru kiedy mnie ocalił.

– Ocalił?

– Od strasznego niebezpieczeństwa... mój ojciec opowie to pani.

– A powiedz mi, moje dziecko, w jakim może być wieku?

– Ma lat około dwudziestu, lub dwudziestu pięciu.

– Jeszcze jedno pytanie, najważniejsze ze wszystkich... czy ów Manfred ma ojca i matkę? Czy też może w rozmowie z tobą powiedział coś takiego, co pozwoliłoby ci przypuszczać, że nie zna wcale swych rodziców.

– Nie wiem nic. Nie wiem, kim są rodzice Manfreda... nic nie wiem o nim, prócz tego, że jest dzielny, aż do zuchwalstwa.

Beatrix przywołała męża i powiadomiła go o informacjach, udzielonych przez Hiletkę.

Ragastens z kolei opowiedział księżnej o audiencji u króla i nadmienił, że chce dziś złożyć wizytę prefektowi.

Postanowiono, że Hiletka pozostanie w pałacu. Księżna zabrała ze sobą dziewczynę, aby ją umieścić w przeznaczonym dla niej pokoju, a także aby z nią porozmawiać o tym, co tak bardzo wzruszało jej serce.

O drugiej po południu Ragastens dosiadł konia i w towarzystwie Spadacape'a pełniącego obowiązki koniuszego, udał się do pałacu prefekta.

Wchodząc do posępnego mieszkania, w którym zda się zamarło życie, i w którym czarno ubrana służba przesuwała się cicho, podobna do milczących cieni, Ragastens uczuł, że mróz przechodzi mu po plecach.

– To przedsionek Bastylii! – szepnął.

Prefekt wyszedł na jego spotkanie, czego nie czynił w stosunku do nikogo.

Zauważył, jak przykre wrażenie sprawiło na nim jego mieszkanie.

– Mości kawalerze – rzekł – musisz mi wybaczyć ten smutek, jaki panuje w moim domu, ale dom jest nieraz odzwierciedleniem naszego usposobienia.

– To znaczy, panie hrabio, że dręczy pana jakiś wielki smutek?

– Tak, panie... zajmij pan jednak miejsce i mówmy o sprawie, która pana tu sprowadza. Prefekt nie ma prawa być człowiekiem...

Ragestens zadrżał po raz drugi.

Monclar wymówił te słowa tak lodowatym tonem i z tak głębokim przeświadczeniem słuszności tych słów, że zdawał się być rzeczywiście nie człowiekiem lecz maszyną wykonawczą...

Lituję się nad nieszczęśliwymi, którzy musieli przejść przez ręce tego widma! – pomyślał Ragastens, siadając.

– Mości kawalerze – oświadczył Monclar – Jego Królewska Mość oddał mnie do pańskiej dyspozycji, czekam więc, abyś mi powiedział, jaką powziąłeś pan decyzję.

– Doznaję uczucia wstrętu na myśl, że mam wejść w kontakt z którymś z tych złodziei. Z... owym...

– Tricotem!

– Tak! Z owym wstrętnym rzezimieszkiem, który zdradza swoich...

– Służąc królowi! – przerwał Monclar sucho.

– Możliwe, panie hrabio. Lecz, widzi pan, przyjeżdżam z daleka. Już przeszło dwadzieścia lat mieszkam poza granicami Francji. Nauczyłem się więc myśleć inaczej. Tricot, przywódca złodziei, nie interesowałby mnie wcale, byłby mi zupełnie obojętny. Lecz Tricot przywódca złodziei, zdradzający swych towarzyszy, jest w mych oczach wielką kanalią...

Monclar uczynił ruch, którym, zdawało się, że chciał powiedzieć:

– Mało mnie to obchodzi... przejdźmy do porządku dziennego!

– A więc – mówił dalej Ragastens – Tricot budzi we mnie wstręt. Lecz jakkolwiek silny jest ten wstręt, i jakkolwiek postępowanie jego niewymownie mnie oburza, wolę jednak, ponieważ nie ma innego sposobu, wolę, powtarzam, mieć z nim do czynienia, niż użyć broni przeciw ludziom, którzy mi nic złego nie uczynili.

– A więc – rzekł powoli Monclar – gdyby zaszła potrzeba, nie stanąłbyś pan po naszej stronie w walce z tą bandą opryszków?

– Mój panie, ci opryszkowie robią swoje, a ja swoje!

– Nie mówmy więc o tym. Jego Królewska Mość będzie zrozpaczony, dowiedziawszy się, że nie ujrzy pana w szeregach obrońców prawa i sprawiedliwości.

– Zapewniano mnie – rzekł Ragastens wyniośle – że Jego Królewska Mość nic tak nie ceni, jak prawdomówność, nawet przenosi ją ponad prawo. Jeśli tak jest, król Francji zrozumie i pochwali moją rezerwę...

Monclar przygryzł wargi.

– Wróćmy więc do Tricota – oświadczył posępnie. – Kiedy chcesz pan z nim się widzieć?

– Jak najprędzej. Dziś jeszcze, jeśli to możliwe.

Prefekt zadzwonił.

Wszedł urzędnik, ubrany również w czerni, jak cała służba pałacowa.

– Przysłać tu człowieka, który czeka w przedpokoju – rzekł prefekt.

Urzędnik znikł, po chwili otworzyły się drzwi i stanął w nich Tricot.

– To on? – zapytał Ragastens.

Monclar skinął głową.

Tricot zbliżył się, zgięty wpół w ukłonach, jego chytre oczy wpiły się w Ragastensa ciekawie, co zdziwiłoby go na pewno, gdyby był mniej zajęty myślami.

– Tricot – rzekł Monclar – oto pan, cudzoziemiec, który jest w przejeździe w Paryżu i który chce obejrzeć wszystkie osobliwości miasta i Dzielnicy Uniwersyteckiej. Między innymi chce również zwiedzić Dzielnicę Cudów. Czy podejmujesz się zaprowadzić go do swego królestwa i czy odpowiadasz za to, że nie przytrafi mu się tam nic złego?

Tricot rozpłaszczył się w ukłonie.

– Obiecuję pokazać wielmożnemu panu cudzoziemcowi wszystkie osobli-

wości naszej Dzielnicy Cudów i odpowiadam za to, że go nie spotka nic złego... o ile..

– O ile? – zapytał Monclar z surowością, która mogłaby się Ragastensowi wydać przesadna.

– O ile – ciągnął dalej Tricot – nie znajdą się na naszej drodze dwaj bandyci... dwaj prawdziwi bandyci...

– Ba! – rzekł Monclar. – Jest więc jeszcze ktoś w Dzielnicy Cudów, kto nie podlega twej władzy, panie Tricot?

– Tak, panie, ci dwaj, istotnie!

– A cóż w nich widzisz tak strasznego?

– Panie, to dwaj zuchwali nicponie! Pan prefekt przyzna chyba, że od czasu, gdy mam zaszczyt być w jego służbie, od czasu gdy się wyparłem zbrodni, a przeszedłem do obozu cnoty, nawróciłem już niejednego grzesznika. Tylko ci dwaj, o których wspominałem, są głusi, jak pień, na moje perory... nic ich nie jest w stanie wzruszyć...

Ragastens tak był pogrążony w słuchaniu tego, co opowiadał Tricot, że nie zauważył wcale znaków, dawanych włóczędze przez prefekta.

Tricot mówił dalej:

– Ci dwaj nie przestają organizować różnych zbrodniczych zamachów, które wobec tego, że są nadzwyczaj odważni, zawsze im się udają. Mogę zapewnić pana prefekta, że w ciągu ostatnich dwóch miesięcy nie było takiego ograbienia spokojnego mieszczanina, albo napadu nocnego na czyjś dom, do których ci dwaj nicponie nie przyłożyliby ręki...

– Tak, wiem o tym – potwierdził Monclar. – Mam dokładne w tej materii sprawozdania.

– A więc – ciągnął niestrudzony Tricot – odpowiadam za wszystko, jeśli w drogę nie wejdzie nam Lanthenay...

– Lanthenay? – zapytał Ragastens.

– Tak – rzekł zimno Monclar – jest to jeden z owej groźnej pary złodziei, których tak barwnie scharakteryzował nam Tricot...

– Jeżeli nie spotkamy Lanthenaya – dokończył Tricot – i... Manfreda...

– Manfreda! – wykrzyknął głucho Ragastens.

– Co się panu stało, mości kawalerze? – rzekł Monclar – zbladłeś...

– Bynajmniej! – rzekł Ragastens. – Mów dalej... to bardzo ciekawe... Powiadasz więc, że Manfred...

– Ten Manfred to największy łotr, jakiego ziemia nosi, albo przynajmniej jakiego posiadała Dzielnica Cudów. Ot, na przykład, widziałem na własne oczy, jak ten łobuz zasztyletował jakąś biedną kobiecinę, za to tylko, że mu niedostatecznie szybko wręczyła pieniądze, które chciał jej gwizdnąć. Ale robił on i jeszcze lepsze rzeczy.

Tu Tricot zamilkł na chwilę.

– Mów dalej – rzucił rozkaz Monclar. – Widzisz przecie, że nasz czcigodny cudzoziemiec słucha z zaciekawieniem twego opowiadania.

Ragastens skinął głową potakująco, a Tricot zabrał znowu głos:

– Ja sam jestem dobrym łajdakiem i, jakkolwiek żałuję szczerze za wszystkie popełnione przeze mnie łotrostwa, jednakowoż tego jeszcze nie wystarczy, wiem, że mało jestem wart w oczach porządnych ludzi... Jednakowoż, na rany Boga, przysięgam, że nigdy nie uczyniłbym tego, co widziałem na własne oczy, iż uczynił to Manfred!

– Cóż takiego?

– Panie, nigdy bym się tego nie spodziewał, bo to zanadto już jest ohydne. Ale skoro mam mówić całą prawdę... A więc! Manfred... zamordował własną matkę!

Ragastens porwał się z miejsca.

Zbladł jeszcze bardziej.

Wyraz „matka" zadał mu straszliwy ból.

– Ach, wielmożny panie – pośpieszył dodać Tricot – zbrodnia ta oburzyła pana, nieprawdaż?

– Mów dalej! – przynaglał Ragastens, odzyskując pozorny spokój.

– Oto jak się to stało! Pewnego dnia, będzie temu dwa lata, Manfred poszedł do swego ojca.

– Do ojca! – wykrzyknął Ragastens.

– Tak, do ojca! Zażądał od niego pieniędzy, które stary trzymał w jakimś schowku, i z których czerpał na swe codzienne wydatki... Staruszek mu odmówił... Wtedy Manfred porwał za kij i zaczął okładać nim nieszczęsnego starca.

– Swego ojca!

– Tak, swego ojca! – powtórzył Tricot. – Wtedy wmieszała się matka. Manfred, nieprzytomny z wściekłości, wydobył sztylet i uderzył nim biedną kobietę...

– Swoją matkę!

– Tak, wielmożny panie, swoją matkę! Stało się to właśnie w chwili, kiedy wszedłem do ich mieszkania, niestety, trochę za późno! Nieszczęsna zmarła w godzinę potem. Ojciec zaś Manfreda zmarł ze zmartwienia w trzy miesiące po śmierci żony. Nieprawdaż, wielmożny panie, że to okropne?

Tricot, zdawało się, był naprawdę wzruszony.

– To potworne! Ale powiedz mi, czy jesteś pewien, że ten starzec i ta kobieta byli naprawdę rodzicami tego... Manfreda?

– A dlaczegóż nie mieliby być? – zapytał Monclar, spoglądając badawczo na Ragastensa.

– Czyn ten wydaje mi się tak przeciwny naturze...

– Ach? mości kawalerze! – zawołał ironicznie prefekt – widzę, jak mało znasz pan tych ludzi, przeciw którym nie chciałeś podnieść broni! Zdolni są oni do najgorszych zbrodni i przytoczony przez Tricota przykład nie jest jedynym w swoim rodzaju...

Tricot potwierdził skinieniem głowy:

– Mogę potwierdzić jak najsolenniej, że Piotrusiowa była matką Manfreda.

– Piotrusiowa?

– Tak... żona Piotra kamasznika... ta, którą zabił Manfred. Ale – dodał ze wstrętnym uśmieszkiem – nie przysiągłbym tylko, czy Piotruś był jego ojcem, albo przynajmniej jedynym ojcem... Powiadano, że Piotrusiowa była kiedyś piękna...

– Już dobrze, mości Tricot – przerwał mu prefekt lodowatym tonem – nic nas nie obchodzą te szczegóły... Kawalerze, może zechcesz wydać temu człowiekowi rozkazy.

– To niepotrzebne! – rzekł Ragastens, wstając z miejsca.

– Co pan mówi?

– Mówię, że zrezygnowałem z wyprawy do Dzielnicy Cudów.

– Panie – zawołał Tricot – jestem w rozpaczy... może przesadziłem trochę, mówiąc o wpływach Lanthenaya i Manfreda... Poradzę sobie z nimi... niech pan będzie spokojny...

– Milcz nędzniku! – warknął kawaler.

– No i jestem teraz na czysto stratny! – jęknął płaczliwie Tricot. – Liczyłem na hojność wielmożnego pana, na to, że nie omieszka wynagrodzić mnie za trudy...

Wyciągnął rękę, rzucając na Ragastensa bezczelne spojrzenie.

Najlepszą nagrodą byłyby... dobre kije! – pomyślał kawaler.

Zwrócił się do prefekta:

– Panie hrabio, czy nie uważa pan, że ten nicpoń nadużywa pozwolenia oddychania tym samym, co my z panem – powietrzem?

Monclar skinął na Tricota, który opuścił pokój z oznakami najuniżeńszej pokory.

Lecz przedtem nim zniknął za drzwiami, zerknął po raz ostatni na kawalera, a wzrok ten był pełen nienawiści:

– Ach, upokarzasz mnie! – mruknął – chcesz szukać swego syna w Dzielnicy Cudów i zaczynasz od upokarzania króla

złodziei? Jesteś ojcem Manfreda, którego nienawidzę! Dobrze więc, zobaczysz, co znaczy ściąganie na siebie nienawiści takiego, jak ja, łajdaka!

– Uff! Nie wytrzymałbym już dłużej! – zawołał Ragastens. – Cóż to za wstrętny i ponury typ bandyty! Jak możesz pan korzystać z usług takiego nicponia, panie hrabio!

– Prefekt musi wiedzieć o wszystkim, a więc wszystkie środki są dobre! Lecz wróćmy do pana sprawy, kawalerze... Czy to opowieści Tricota, które są, notabene, bardzo prawdopodobne, wpłynęły na zmianę pańskich projektów?

– Tak... przyznaję! – rzekł Ragastens dobrodusznie. – Muszę się jeszcze zastanowić i pozwolę sobie zjawić się u pana za kilka dni, aby mu zakomunikować wynik mych rozmyślań.

– Czy długo zabawi pan w Paryżu? – zapytał prefekt pośpiesznie.

– Może około trzech miesięcy, i wyznam panu, że nie raz jeszcze będę pana nudzić swą osobą.

– Jestem cały na pańskie usługi – oświadczył Monclar skwapliwie. – Ale, ale, mości kawalerze, gdzie pan zamieszkał? Rozumie pan, jeśli usłyszę coś o pańskim synu – Ludwiku... Ludwik ma na imię, nieprawdaż?

– Takie daliśmy mu imię – odparł Ragastens, któremu dziwny ton prefekta, jakim wymówił to imię, zmroził krew w żyłach.

– A więc jeśli dowiem się czegoś o nim, chcę uprzedzić pana o tym niezwłocznie...

– Świetna myśl! Wynająłem na trzy miesiące pałacyk przy ulicy des Canettes, niedaleko od Notre-Dame.

– Ależ ja znam ten dom – rzekł Monclar ze zdziwieniem – ta pańska rezydencja należy, jak mi się zdaje, do rodziny Montmorencych...

– Istotnie – odparł skromnie Ragastens. – Pałac jest obszerny, zgadzam się, lecz jest on jeszcze prawie biednym mieszkaniem dla pani Ragastens, przyzwyczajonej do olbrzymich i wspaniale urządzonych pałaców włoskich.

Prefekt skłonił się, nie dając żadnej odpowiedzi.

– Żegnaj więc, panie hrabio – odparł Ragastens dobrodusznie – i... czekaj pan wkrótce na mą wizytę...

Hrabia de Monclar wyciągnął do niego rękę, której kawaler dotknął końcami palców.

Drgnął.

Ręka ta była lodowata, jak ręka trupa.

Ragastens wsiadł pośpiesznie na konia i szybkim kłusem ruszył do swego pałacu.

W pięć minut po jego odjeździe prefekt siedział już w karocy, która go miała zawieźć do Luwru.

W chwili, gdy chciał zatrzasnąć drzwiczki powozu Tricot, kryjący się w stajni, zbliżył się, zginając się w pokornym ukłonie.

– Czy wszystko powiedziałem, co miałem powiedzieć, panie prefekcie? – zagadnął szeptem.

– Tak, masz dobrą pamięć, niczego nie zapomniałeś. Pójdź dziś wieczór do mego intendenta i każ sobie wypłacić dziesięć talarów w złocie: uprzedzę go, nie będzie ci czynił żadnych trudności. Podzielisz się jednak z Tytusem. Gorliwość tego chłopca musi być nagrodzona.

Tricot potrząsnął głową.

– Panie prefekcie – rzekł – podejmę owe dziesięć talarów i oddam je w całości neapolitańczykowi, nie zatrzymując dla siebie ani grosza.

– Co takiego? Czy uważasz tę sumę za niedostateczną?

– Nagroda jest wspaniała – rzekł z ironicznym uśmiechem król złodziei – pozwolę sobie jednak zrobić pokorną uwagę, nie szukałbym ich w służbie u pana prefekta i króla jegomości, lecz znalazłbym je...

– Masz słuszność! Żebracy nakładają haracz na Paryż; złodzieje z Dzielnicy Cudów doją żebraków, a ty drzesz skórę ze złodziei...

– Tym sposobem, każdy ma to, co mu się należy...

– Czego więc chcesz?

– Wielmożny pan obiecał mi, że w nagrodę za moje usługi będę mógł asystować przy tym, gdy przy łaskawej pomocy kata, Manfred i Lanthenay w dniu egzekucji oddadzą diabłu swe zacne dusze. Teraz chcę prosić wielmożnego pana o jeszcze jedną łaskę.

– Mów.

– Chciałbym w tym dniu zastąpić kata.

Monclar wzdrygnął się. On, który już niczego nie był ciekaw, spojrzał na Tricota z zaciekawieniem.

Tak straszna nienawiść zdała mu się być wypadkiem godnym uwagi.

– Zobaczymy – odparł.

– Panie! życie za życie! Oddaję panu swoje... oddaj mi ich życie... w przeciwnym bowiem razie...

Monclar w zamyśleniu pochylił głowę.

Gdy podniósł wzrok na Tricota, wyczytał w twarzy złodzieja tak silną nienawiść, że uczuł mimo woli dreszcz trwogi.

– A więc – rzekł swym grobowym głosem – zgoda, ty wykonasz wyrok na tych ludziach.

– Dzięki ci, panie! – szepnął Tricot pochylając się w ukłonie.

Na dany przez Monclara znak, powóz ruszył jak strzała i nie upłynął kwadrans, jak prefekt wchodził do gabinetu Franciszka I.

– Jakie przynosisz nowiny? – zapytał król z niepokojem. – Czy jesteś na tropie?

– Niestety, jeszcze nie! Nie mam pojęcia, co mogło się stać z księżną de Fontainebleau.

Król westchnął.

Powstał z fotela i zaczął przemierzać gabinet krokami, marszcząc groźnie brwi. Dręczyła go uparta myśl. Walczył z nią czas jakiś, wreszcie zdecydował się:

– Czy wybadałeś starą Saint-Albans?

– Tak, Sire.

Coś niby cień uśmiechu przebiegło po bladych ustach prefekta.

Dodał:

– Istotnie, prawda kryje się tutaj!

– A więc?

– A więc, Sire, stara Saint-Albans musiała działać z ramienia jakiejś bardzo ważnej osobistości... milczy bowiem, jak grób.

– Na Boga! – żachnął się król – przypuszczasz więc naprawdę, że ktoś przy dworze był zainteresowany w tym, aby usunąć Hiletkę?

– Nic nie przypuszczam, Sire. Mówię tylko, że Saint-Albans milczy, ona, która zwykle paplała, jak sroka...

– A więc mój panie – ozwał się nagle król – jakoś się jednak poczyna z ludźmi, którzy nie chcą nic mówić, podczas kiedy mogą mieć dużo do powiedzenia! Zarządza się wtedy...

Urwał... jeszcze się wahał.

– Sire – rzekł zimno Monclar – ludzi, którzy odmawiają zeznań wydaje się na tortury. Czy to miałeś mi do powiedzenia, Wasza Królewska Mość?

– Dlaczego ta stara wariatka nie chce gadać?

– Sire! Nie mów już o tym. Jutro pani Saint-Albans przemówi...

– Rób, jak będziesz uważał za stosowne, mój prefekcie! Ja nie chcę być otoczony siecią spisków! Biada temu, który pozwoli sobie tak zadrwić ze mnie!

– Czy tylko temu, Sire!

– I tej również! – fuknął groźnie król... – jakakolwiek byłaby jej pozycja.

Księżna d'Etampes jest zgubiona! – pomyślał de Monclar.

– Idź, mój Monclarze – rzekł król, żegnając prefekta – i... pośpiesz się z zakończeniem tej sprawy.

– Sire, postaram się załatwić ją jak najpomyślniej. Przybyłem tu jednak z myślą porozumienia się z Waszą Królewską Mością w innej jeszcze materii...

– Cóż tam znowu?
– Sprawa Dzielnicy Cudów.
– Mój prefekcie – rzekł król z dobrotliwą miną, jaką lubił czasem przybierać. – Czy tak ci zależy na wymordowaniu tych żebraków?
– Nie zależy mi na tym wcale – odparł prefekt lodowatym tonem. – Zależy mi jedynie na tym, by święty majestat królewski nie był bezkarnie poniewierany...
– Ejże, mój Monclar! Przyznaj się, że Dzielnica Cudów to ów mól, który cię gryzie. Zawzięty jesteś na tych złodziejaszków za to, że, jak ich o to posądzasz, zabili ci syna. Zrozumiała nienawiść! Lecz ostatecznie, skąd ta pewność, że to oni popełnili tę straszliwą zbrodnię?
Monclar milczał. Twarz jego zachowała swą posągową martwotę. W szklanym jego wzroku nie dopatrzyłbyś się żadnego ludzkiego uczucia.
Król mówił dalej:
– Pomyśl tylko, jaki byłby to cios dla majestatu królewskiego, gdyby projektowana przez ciebie wyprawa nie udała się. Żebraków jest dużo, wszyscy dobrze uzbrojeni... A ostatecznie Dzielnica Cudów wyświadcza nam nawet pewne usługi i mieszczanie i chłopi drżą przed nią ze strachu, a drżąc ze strachu, u nas szukają opieki. Kto wie, czy tego dnia, w którym mieszczanin i chłop wyzbędą się lęku przed łotrzykiem, czy tego samego dnia ten sam mieszczanin i chłop nie uczuje również mniej respektu dla króla?
– Wasza Królewska Mość rozumuje jak wytrawny polityk – rzekł Monclar.
– A więc podzielasz moje zdanie? – zapytał król z żywością.
– Ja, Sire? Alboż mam prawo podzielać lub nie podzielać zdania Waszej Królewskiej Mości? Otrzymuję rozkazy i wykonuję je – oto wszystko! Czymże jestem? Maszyną? Wasza Królewska Mość każe mi pozostawić w spokoju żebraka Manfreda, który przyszedł zelżyć go w obecności całego Luwru...
– Monclar!
– A może żebrak Manfred jest właśnie tą osobą, której my szukamy... a może to on właśnie wykradł, lub polecił wykraść księżnę de Fontainebleau...
– Nieba! Gdyby tak było!...
– Wasza Królewska Mość rozkazuje mi nie podnosić ręki na tego człowieka, który może już za jakieś trzy dni opuści Paryż wraz ze swym ojcem...
– Co mówisz? Wytłumacz się!
– Spełnię więc rozkaz, który mi wydano! – dokończył prefekt z niskim ukłonem.
– Monclar! – wykrzyknął król gorączkowo – wzywam cię do wyjaśnienia mi...
– Sire, sprawa jest bardzo prosta. Muszę przede wszystkim powiedzieć Waszej Królewskiej Mości, że był u mnie z wizytą pan de Ragastens...
– Co ma kawaler Ragastens do rzeczy? – zapytał król zdziwiony.
– To, że kawaler Ragastens przybył do Paryża, aby zwiedzić Dzielnicę Cudów, i go zapytałem, czy nie zgodziłby się dopomóc nam swą szpadą w walce z tymi żebrakami...
– No i?
– No i kawaler odmówił stanowczo. Szpada jego nie chce ci służyć.
Franciszek I zmarszczył brwi.
– Dobrze – mruknął. – To wskazuje mi, jaką mam przybrać postawę w stosunku do tego awanturnika.
– Kawaler de Ragastens wmieszany jest w naszą sprawę, w tym sensie, że poszukuje swego syna... którego mu ukradziono... no a ja... odnalazłem tego syna!
– Któż to jest?
– Ten żebrak Manfred, Sire!
Franciszek I porwał się z miejsca.
– Jesteś tego pewny? – zawołał.
– Tak. Jestem również pewny, że kawaler Ragastens nie omieszka odnaleźć swego syna; również pewne jest i to, że zabierze go ze sobą; również wreszcie pewne, że żebrak Manfred wszedł bezkarnie do Luwru, aby ci tam stawić czoło.
– Dosyć Monclarze! Kiedy chcesz ruszyć na Dzielnicę Cudów?
– Widzę, że Waszej Królewskiej Mości wraca, naturalne zresztą, poczucie siły i dumy! Wszystkie rozporządzenia przyjęte są do wiadomości. Posunięcie to uda się bezwzględnie. Odpowiadam za wszystko.
– Dobrze. Data?
– Sire. Podam ci ją jutro!
Z tymi słowy Monclar pożegnał króla i bez zbytniego pośpiechu wrócił do swego pałacu.

XII

W CZYIM DOMU UKRYŁ SIĘ RAGASTENS?

Ragastens pośpiesznie powrócił do domu.
Spadacape jechał za nim truchcikiem w przyzwoitym oddaleniu. Nie troszcząc się o to, że łamie przepisy etykiety, kawaler skinął na niego, rozkazując przysunąć się bliżej.
– Czy nie zauważyłeś przypadkiem, mój Spadacape, w domu prefekta pewnej ciemnej osobistości?
– Włos szpakowaty, spojrzenie niepewne, głowa łysa, szczupły, beret zielony sukienny...
– Ten sam...
– Nie tylko że go zauważyłem, ale chciałem właśnie pomówić o nim z panem.
– A... a... a...?!
– Otóż właśnie przywiązywałem mego konia przy słupie, gdy nagle zbliżył się do mnie mężczyzna w czerni. Był to marszałek dworu hrabiego de Monclara. Bardzo uprzejmie zaproponował mi wychylenie szklaneczki wina za pańskie zdrowie i za zdrowie swego pana.
– No, i naturalnie, pośpieszyłeś przyjąć zaproszenie?!
– Tak, panie! Poszliśmy z marszałkiem do izby służbowej... Ten marszałek, chociaż żałobny na zewnątrz, w gruncie rzeczy jest bardzo jowialnego usposobienia. Ślicznie otworzył flaszeczkę białego winka, przypominającego smakiem – chianti, pamięta pan? ileśmy niegdyś tego wypili! Otóż byliśmy już przy trzeciej szklance i zacny marszałek już miał ukręcić łeb drugiej z kolei butelczynie, gdy nagle do służbowego pokoju weszło owo indywiduum. Towarzyszył mu jakiś mężczyzna, w którym od razu poznałem jednego z mych rodaków, a nawet śmiem określić jeszcze ściślej – był to neapolitańczyk.
– Mów dalej! – przynaglił Ragastens, widząc, że Spadacape uczynił pauzę artystyczną.
– Zaraz, zaraz... chcę przypomnieć sobie dokładnie rozmowę tych nędzników, bo, jestem pewny, iż są to bandyci pierwszej klasy. Rozmowa ta tym bardziej mnie zastanowiła, że nicponie nie uważali nawet za potrzebne mieć się na baczności. Rozmawiali zresztą po włosku i możliwe jest, że nie przyszło im do głowy, abym ja mógł znać ten język. Otóż, o ile sobie przypominam, mówili do siebie tak:
– „Zdaje mi się, że tym razem trzymam Manfreda mocno" – rzekł mężczyzna w zielonym berecie.
– To Tricot – wtrącił Ragastens.
Spadacape opowiadał dalej:
– „Czy cudzoziemiec jest na górze? – zapytał neapolitańczyk.
– „Tak – odparł ten, którego nazwałeś pan Tricotem – pan prefekt da mu twardy orzech do zgryzienia".
– „A ty co na tym zyskasz?"
– „Będę mógł zemścić się na Manfredzie. No, a ty?"
– „Ja zadowolę się kilkoma ślicznymi talarkami. Ale za to na mej aferze z księżną d'Etampes zaokrąglę nieco swój chudy mieszek!"
Tu dopiero para drabów zauważyła



rys. Stanisław Rozwadowski

pewnie, że ich podsłuchuję, bo nagle zamilkli, a za chwilę wezwano owego Tricota do prefekta.

Ragastens słuchał uważnie opowiadania.

Aż do powrotu do domu nie zamienili już ze sobą ani słowa.

Zsiadając z konia, Ragastens rzekł do Spadacape'a:

– Jakiego zdania jesteś o tym pałacu?

– Uważam, że jest wspaniały i zupełnie godny tego, by służyć wielmożnemu panu za mieszkanie.

– Tak, lecz prefekt wie o tym, że tu mieszkam.

– A więc?

– A więc mam słuszne powody do przypuszczania, że lepiej by było zamieszkać w jakimś innym miejscu, o którym nie wiedziałby nic pan de Monclar. Spadacape, wyszukasz mi jakiś samotny domek, położony w przyzwoitym oddaleniu od centrum miasta, taki, w którym moglibyśmy się czuć zupełnie bezpiecznie. Dla całego świata, a więc i dla odźwiernego pałacu będziemy mieszkali w nim dalej... Czy zrozumiałeś mnie?

– Dziś jeszcze będzie pan mógł spędzić noc poza murami pałacu.

– Idź więc, mój przyjacielu, i postaraj się załatwić wszystko jak najprędzej.

Spadacape udał się na poszukiwania, lecz tym razem pieszo.

Jeźdźca na koniu widzą wszyscy, pieszy zaś może łatwo zginąć w tłumie.

Ragastens zastał w domu księżnę, która wyczekiwała jego powrotu z dobrze zrozumiałą niecierpliwością.

Kawaler ograniczył się do zakomunikowania jej, że nie dowiedział się od prefekta nic pewnego.

Musiał zastanowić się nad sytuacją.

Dwie okoliczności zdziwiły go bardzo.

Przede wszystkim podsłuchana przez Spadacape'a rozmowa. Świadczyła ona o tym, że istniała jakaś zmowa między prefektem a królem złodziei – Tricotem.

Następnie dziwna uporczywość, z jaką Tricot zapewniał, że zna rodziców Manfreda.

Wreszcie to pomawianie Manfreda o tyle zbrodni.

Ragastens widział młodzieńca tylko przez chwilę, a jednak coś mu mówiło, że człowiek ten nie jest zdolny do popełnienia zbrodni. Nie wyglądał na zbrodniarza!

W takim razie skąd to oskarżenie?

Skąd ta chęć zohydzenia Manfreda w oczach Ragastensa, skąd ta chęć przeszkodzenia ich spotkaniu się ze sobą?

Nie mogąc dać na to określonej odpowiedzi, kawaler czuł, że się coś knuje przeciw niemu i Manfredowi.

Otóż, aby móc wyjaśnić tę tajemnicę, musiał mieć wolne pole do działania; musiał wynieść się z pałacu, co do którego był pewien, że z rozkazu prefekta będzie obserwowany.

Pogrążony w rozmyślaniach zbliżył się do okna, wychodzącego na ulicę.

Nagle wzrok jego padł na żebraka; drgnął gwałtownie na widok jego twarzy.

Żebrak ulokował się w pobliżu pałacu w jakiejś bramie. Żebrak ten był kaleka – bezręki. Poza tym na lewym oku miał czarną opaskę.

Ragastens wyszedł pośpiesznie z pałacu i, idąc powoli, postarał się przejść tuż obok żebraka, który nie śpiesząc się, nasunął jednak silnie swój kaptur na głowę zasłaniając twarz.

Kawaler zatrzymał się przy żebraku i zaczął grzebać po kieszeniach, chcąc obdarzyć go jakimś drobnym datkiem.

– Biedaku! – rzekł, wrzucając do jego drewnianej miseczki srebrny pieniądz – jakim sposobem straciłeś rękę?

– Na wojnie, mój dobry panie! – odpowiedział kaleka głuchym głosem.

– Straciłeś również i oko? Za dużo nieszczęść...

– Zawsze byłem pechowy...

– No, no, nie trzeba upadać na duchu...

– Oby Bóg panu wynagrodził, mój szlachetny panie!

Ragastens oddalił się wolnym krokiem, pokluczył sąsiednimi uliczkami i wrócił do pałacu.

Żebrak był ciągle na stanowisku, jakkolwiek zaczęła zapadać już noc.

Teraz nie ma już wątpliwości! – pomyślał Ragastens. – Prefekt kazał mnie obserwować. A więc zależy mu na tym, abym się nie spotkał z owym Manfredem! Lecz co mu może na tym zależeć? Nie rozumiem! A tymczasem mam wielką chęć połamać gnaty tej kanalii, którą tu wysłał na przeszpiegi!

Żebrakiem tym był nikt inny, tylko Tricot.

Do pokoju wszedł Spadacape.

– Znalazłeś co? – zapytał żywo Ragastens.

– Tak, panie, zdaje mi się, że uczyniłem dobry wybór...

– Dobrze... Zaprowadzisz nas...

Zaczekał jeszcze godzinę, aż zapadła noc głucha. Potem uprzedził Beatrix, która bez sprzeciwu udała się w drogę.

Kobiety wsiadły do karocy, która miała posuwać się bardzo powoli. Ragastens i Spadacape towarzyszyli jej pieszo. O kilkadziesiąt kroków za nimi postępował lokaj, wiodąc za uzdę dwa konie.

Ruszono w drogę.

Spadacape wymienił woźnicy ulice, jakimi mieli przejeżdżać, obiecując mu wskazywać drogę.

Opuszczając pałac Ragastens wyjrzał oknem. Żebrak siedział wciąż jeszcze na tym samym miejscu.

Gdy się już znaleźli u wylotu ulicy Ragastens zatrzymał się i szybko odwrócił. Żebrak postępował za nim, a widząc ruch Ragastensa, uskoczył we wgłębienie jakiegoś muru... Spóźnił się jednak, bo zauważono jego manewr...

Ragastens skinął na Spadacape'a, a sam skierował się wprost na żebraka.

Ten przylgnął do muru, jak gdyby chciał rozpłynąć się w przestrzeni.

– No i cóż, mój poczciwcze, czy dobry miałeś dzionek?

– Nie zanadto, wielmożny panie – szepnął kaleka.

– A jakże się ma twoja ręka?

– Moja ręka?

– Tak... twoja ręka, przytroczona do boku, abyś mógł udawać bezrękiego. No, a twoje oko? Czekaj, czekaj, opada ci opaska...

Z tymi słowy Ragastens zamachnął się na odlew; zrzucił żebrakowi z głowy kaptur, a potem zerwał mu z oka czarną przepaskę.

– Uprawiasz swój fach po królewsku, mości królu złodziei! – wykrzyknął szyderczo.

Tricot podniósł kaptur, tłumiąc okrzyk wściekłości.

– Chcesz posłuchać mojej rady? – mówił dalej kawaler. – Ja idę tędy... a więc ty, tamtędy! I pamiętaj o tym, by nie wchodzić mi w drogę, bo, do wszystkich diabłów, zduszę cię jak wstrętnego ślimaka, jakim jesteś!

– Nie rozumiem, wielmożny panie – bełkotał Tricot.

– Dobrze już! Nie wymagam od ciebie, abyś mnie zrozumiał! Żądam, abyś... się ulotnił, i to bez chwili zwłoki!

Ragastens uczynił tak groźny gest, że tym razem Tricot przestraszył się naprawdę...

Wziął nogi za pas i zaczął uciekać.

Ragastens i Spadacape pozostali czas jakiś w miejscu, aby upewnić się, że nicpoń uciekł istotnie.

Potem pewni, że nikt za nimi nie idzie, wrócili do karocy i dosiedli koni.

Spadacape pojechał naprzód, wskazując drogę.

Ragastens ochraniał tyły.

Zapadła głęboka noc.

Otrąbiono już gaszenie ogni, gdy nagle przewodnik dał znak, że przybyto na miejsce.

Ragastens obejrzał się.

Stali na pustkowiu gdzieś w pobliżu Sekwany. Tuż przed nimi majaczyły kontury małego domku. Drzwi i okiennice były zamknięte. Na prawo widać było cegielnię.

– Dzielnica Tiuleries! – szepnął. – Miejsce dobre.

Zsiadł z konia.

Spadacape tymczasem zapukał do drzwi, otworzyły się po chwili. Stanęła w nich kobieta młoda i piękna, lecz bardzo blada. Trzymała zapaloną lampę w ręku.

Księżna Beatrix na jej widok nie mogła powstrzymać się od dreszczu przerażenia.

– Proszę wejść! – rzekła spokojnie.

Przybyli znaleźli się coś niby w przedsionku, bardzo elegancko umeblowanym.

Karocę odesłano do domu.

– Pokażę teraz mieszkanie –, rzekła młoda kobieta.

– Pani – rzekł Ragastens – mój służący powiedział pewnie, że chciałbym wynająć cały domek.

– Będziecie go też państwo mieli. Jutro już mnie nie będzie, a państwo możecie mieszkać tak długo, jak wam się spodoba.

– A jaka jest cena? i na jaki termin?

– Cena, to rzecz nieważna. Służący pana mówił mi, że poszukujesz pan mieszkania pewnego i stojącego na uboczu. Może się mylę, lecz zdawało mi się, że chcesz się pan ukryć przed królewskimi siepaczami... To skłoniło mnie do ofiarowania panu gościnności i to z całego serca...

Głos kobiety brzmiał głucho. Zdawało się, zżerała ją jakaś tajemna choroba. Mimo to jednak nie budziła sympatii, a raczej uczucie strachu.

Hiletka instynktownie przytuliła się do Beatrix.

– Pani – rzekł Ragastens zdziwiony – dziękuję za gościnność, ofiarowaną mi tak uprzejmie. Mylisz się jednak co do pobudek, jakie mnie skłoniły do szukania cichego zakątka. Żona moja nie przyzwyczajona jest do gwaru miejskiego, to jedyny powód...

Kobieta rzuciła przenikliwe spojrzenie na Ragastensa.

– A więc ta chęć odosobnienia jest powodem – rzekła lodowatym tonem – że pan i pański sługa jesteście uzbrojeni od stóp do głów. Lecz nie obawiaj się pan. Czy się pan ukrywa, czy nie, mało mnie to obchodzi. Od jutra dom ten będzie stał pustką. Jest mi to obojętne, czy zamieszka w nim kto, czy nie. Jeśli zaś ukrywa się pan jednak przed zbirami królewskimi i jeśli, ofiarując panu gościnność, mogę wyrządzić tym królowi chociaż małą przykrość, tym lepiej!

– Jesteś pani odważna, mówiąc w ten sposób o królu Francji i to wobec nieznajomych... któż pani zaręczy, że słowa jej nie dojdą do uszu Franciszka I?

– A gdyby nawet? – rzekła kobieta ostro. – Nie boję się niczego, mój panie! Ale tak nie będzie... nie wyglądasz pan na takiego, który zdradza.

Ragastens ukłonił się w milczeniu, obiecując sobie w duchu mieć się na baczności wobec dziwnej gospodyni domu.

Jednakże po zwiedzeniu całego lokalu doszedł do przekonania, że wybór był świetny i że Spadacape miał dobre oko.

Zauważył jedynie, że w całym domu nie było żadnego służącego ani służącej.

Czyżby nieznajoma mieszkała sama?

– Jeszcze jedno pytanie – rzekł Ragastens, gdy zwiedzanie domu było skończone – dokąd i kiedy mam pani przesłać należność? i na jaką sumę?

Miał słabą nadzieję, że może tym sposobem dowie się, jak się nazywa jego tajemnicza gospodyni.

– Kiedy? – odpowiedziała. – Kiedy się panu spodoba. Dokąd? Tu, na miejscu.

– A więc pani przyjdzie?

– Nie przypuszczam, żebym tu kiedykolwiek wróciła! – rzekła dziwnie głuchym głosem, który na początku zdziwił Ragastensa.

– Więc jakże będzie?

– Jeśli już panu tak bardzo zależy na zapłaceniu za mieszkanie, które panu chętnie ofiaruję, położysz pan swe pieniądze... chociażby... tam... na tym kominku. Uczynisz to przed wyjazdem...

Z tymi słowy tajemnicza pani skłoniła się i odeszła lekkim krokiem. Znikła jak cień.

– Dziwna kobieta! – szepnął Ragastens. – Byłażby wariatką? albo może jakąś nieszczęsną, której gwałtowne cierpienie złamało życie?

Kobieta, która tak wspaniałomyślnie ofiarowała gościnność Ragastensowi, dotrzymała słowa. Już wczesnym rankiem opuściła dom.

Potem, nie oglądając się, nie rzuciwszy jednego spojrzenia na dom, w którym była szczęśliwa, w którym kochała i płakała, niewzruszona, zimna, jak gdyby serce jej zamieniło się w kamień, odeszła spokojnym krokiem.

W godzinę później pukała do drzwi domku przy wąskiej uliczce... Na wprost domku wznosił się kościół św. Eustachego. Domek, do którego zapukała, był to sławny lokal Maladry. A kobieta, która przekroczyła jego progi, była piękną „Kowalką".

XIII

WIĘZIENIE

Ówczesny Paryż obfitował w więzienia; każde zaś więzienie w rozmaitego rodzaju lochy.

Nawet w Luwrze było kilka podziemi, do których wtrącano nieszczęsne ofiary nienawiści któregoś z wielkich panów, biskupów, lub też króla. Były one skazane na powolną śmierć, wskutek braku powietrza i przestrzeni.

Podczas gdy sale, położone na piętrze, rozbrzmiewały nieraz głośnymi wybuchami wesela, w podziemiach słychać było jęki, łączące się z piękną muzyką, która przygrywała bawiącym się.

Grand-Châtelet posiadało największy dobór cel więziennych. Była tam jedna, nosząca miano „Raju", dlatego pewnie, że siedzący w niej więźniowie znosili piekielne katusze, była „Studnia", był „Kij" – w którym kijami wypędzano z więźniów krnąbrność, była „Otchłań" i wiele, wiele innych. Większość tych cel przez cały rok prawie tonęła do połowy w wodzie.

Lecz perłą wszystkich była cela, nosząca posępną nazwę:

„Kres Radości!"

Cela ta była napełniona gadami. Co pewien czas zmieniano kolekcję żmij i ropuch, żywiących się nagromadzonymi odpadkami.

Paryż posiadał jeszcze bardzo dużo innych więzień, jako to Bastylię, służącą za obronną fortecę dla bramy św. Antoniego. Zawierała ona ogromną ilość pokoi, otoczona była głębokimi rowami, posiadała cuchnące podziemia, w których nieszczęśni więźniowie umierali szybko, a za życia w tak strasznych musieli przebywać warunkach.

Było również więzienie Nesle, więzienie „Prefektury Kupców", „Fort Biskupi", noszący tę nazwę dlatego, że więzienie to podlegało władzy biskupiej; tam to najczęściej wtrącano ludzi, którzy narazili się władzy kościelnej. Więzień dla wrogów wyższych dostojników kościoła nigdy nie było za dużo.

Były również więzienia: Saint-Martin-des Champs, podlegające klasztorowi tegoż imienia; Temple, więzienie św. Genowefy, Saint-Magloire, Saint-Germain-de-Prés, Montmartre i wiele innych. Ze wszystkich jednak więzień, w których ginęło z dala od świata tylu ludzi, prym dzierżyło Conciërgerie.

Położone było na Starym Mieście i stanowiło część zabudowań Pałacu.

Dyrektorem tego więzienia był niejaki Gilles Le Mahu, rodzony brat oficera z

Luwru, którego już znamy z poprzednich rozdziałów.

Zajmował on w narożnej wieży kawalerskie mieszkanie.

Był to mężczyzna tęgi, czerwony na twarzy; nie gardził dobrym winem, ani tłustym dowcipem. Czas, który miał nie zajęty dręczeniem swych więźniów spędzał na jedzeniu, piciu i spaniu. Poza tym nic go nie interesowało.

Do jednej z takich cel Conciergerie wtrącono Stefana Doleta. Z rozkazu Loyoli – nie umieszczono go ani w lochu, ani w studni z gadami.

Łaskawość ta płynęła z innego źródła niż dobroć serca. Ot po prostu, nie przeznaczone mu było umrzeć w zapomnieniu, lecz posłużyć za przykład dla tłumu. Czekała go śmierć publiczna, w biały dzień, na jednym z największych placów: czekała go śmierć na stosie.

Zamknięto go też w zwykłej celi, której okna znajdowały się o parę stóp zaledwie powyżej poziomu Sekwany. Toteż ściany jego więzienia ociekały przesiąkającą przez mur wilgocią, tworzącą kałuże wody, sięgające nieszczęsnemu więźniowi po kostki.

Rzecz oczywista, że, mimo pozornej wspaniałomyślności, nie omieszkano pomyśleć o koniecznych środkach ostrożności: przykuto więźnia do muru.

Powietrze do celi dochodziło przez wąskie okienko, wychodzące na korytarz.

W korytarzu umieszczono trzech wartowników, którzy otrzymali rozkaz nieoddalania się ze swego stanowiska pod żadnym pozorem. Tym sposobem mogli w razie potrzeby wzajemnie się wspomagać. Było to również sprytnie pomyślanym sposobem uchronienia się przed przekupieniem jednego ze strażników, dwaj bowiem pozostali mogli go zadenuncjować każdej chwili.

Z korytarza do loszku wiodło sześć schodów.

Tuż ponad drzwiami był rodzaj małego okienka z półkami. Raz na dzień okienko to otwierało się na parę sekund. Dolet widział wsuwającą się przez nie rękę. Ręka kładła na półce dzienną rację czarnego chleba, wypiekanego z mieszaniny mąki żytniej, jęczmiennej i sieczki; ta sama ręka stawiała na półce dzban z wodą. Aby sięgnąć po chleb i wodę na najwyższą półkę, gdzie były zostawiane, zakuty w łańcuchy Dolet musiał przejść przez całą celę, wlokąc za sobą łańcuch. Gdy łańcuch się już zupełnie naprężył, należało pochylić się naprzód i wyciągnąć rękę. Z chlebem łatwiejsza była sprawa, lecz, chwytając dzban, przewracał go nieraz. Wtedy musiał obywać się bez wody przez całą dobę.

Pewnego dnia, kiedy takie nieszczęście go spotkało, dostał gorączki; wtedy zaczęło go pożerać pragnienie...

Był z usposobienia dumny.

Już kilka razy zdarzało mu się przewrócić dzban z wodą, nie wołał jednak strażników, nie prosił, wolał męki pragnienia, niż prośbę.

Owego jednak dnia miał gorączkę. Ta właśnie gorączka stała się przyczyną nieszczęścia.

Wypił resztę pozostałej w dzbanku wody już przed kilku godzinami; umierał z pragnienia; jego płonące gardło zaciskało się kurczowo; dusił się.

Zaczął liczyć uderzenia pulsu, aby obliczyć sekundy, które dzieliły go od chwili, w której ujrzy wsuwający się przez okienko dzban z wodą.

Wreszcie upragniona chwila nadeszła.

Dolet rzucił się do okienka, zapominając o ostrożności i... zawartość dzbanka wylała się.

Przez pierwsze kilka godzin... milczał... z biegiem jednak czasu siły jego zaczęły się wyczerpywać.

Przyszła maligna.

Nic już nie wiedział, ani gdzie się znajduje, ani co robi...

Zaczął błagać, nalegać, proponować majątek za szklankę wody.

Trzej strażnicy, stojący na korytarzu, słyszeli jego prośby i błagania i nawet oni byli nimi wstrząśnięci do głębi.

Jeden z nich wreszcie, nie mogąc dłużej wytrzymać, udał się do Le Mahu.

– Co takiego? – rzekł – ów zacny człowiek żali się na to, że nie ma wody? Jest jej przecież pod dostatkiem na posadzce jego celi.

Co powiedziawszy, wybuchnął śmiechem, zadowolony ze swego dowcipu.

Ostatecznie – myślał pan dyrektor – może przecież napić się bodaj tamtej wody... Nie jest ona kryształowo czysta, to prawda, lecz gdy się czuje pragnienie...

Szczegół ten charakteryzuje dostatecznie umysłowość i poziom moralny tego, któremu powierzono dozór nad nieszczęśliwymi więźniami.

Już dwanaście dni siedział Stefan Dolet w swej celi. Pewnego dnia ujrzał otwierające się drzwi; weszli dozorcy i, nie dając mu żadnych wyjaśnień, zdjęli z więźnia okowy, potem porwali go za ręce i wywlekli z celi.

Dolet zadrżał z radości.

Na pewno – pomyślał – prowadzą mnie przed sąd. A więc, sąd – to wolność, nie uczyniłem bowiem nic złego...

Biedak miał jeszcze złudzenia...

Nadzieje jego umocniły się jeszcze bardziej, gdy go zaprowadzono do innej celi i ubrano w czyste ubranie.

Łatwo jest zrozumieć, z jaką skwapliwością i zadowoleniem zrzucił z siebie cuchnące suknie.

Jeden z dozorców opowiadał później, że kiedyś, kiedy Dolet był jeszcze w swej pierwszej, okropnej celi, otworzył pewnego razu po cichu okienko i ujrzał więźnia, który, wsparty o mur, spał na stojąco, nie mając odwagi położyć się na mokrych i zanieczyszczonych płytach podłogi.

Doniósł wtedy o tym swym władzom, które zdecydowały, że więźniowi nie dzieje się ostatecznie tak bardzo wielka krzywda, miał bowiem co jeść i pić, no i mógł się wyspać...

Ubrany teraz w czyste ubranie zaczął się rozglądać po swej nowej celi.

W porównaniu z dawną była ona przybytkiem rozkoszy.

Przede wszystkim płyty podłogi były suche, cela ta bowiem znajdowała się na pierwszym piętrze Conciergerie. Dochodziło tam również powietrze i trochę światła, co prawda niezbyt obficie, bo przez gęste kraty, przez które zaledwie można było przesunąć rękę... Jednakże dochodził tam i gwar uliczny, co było dla Doleta niewymowną rozkoszą. Nadstawiał chciwie uszu... Gwar ten mówił mu o życiu... o świecie, z którego go wyrwano, wrzucając żywcem do grobu...

W jednym z kątów celi leżała wiązka świeżutkiej słomy. Wreszcie drewniany taboret i stół dopełniały przepych urządzenia.

Doletowi wydawało się, że zmartwychwstał...

To polepszenie warunków więziennych było dla niego jeszcze jednym dowodem więcej, że wkrótce zostanie wypuszczony na wolność.

Drzwi celi zamknięto...

Upłynęły dwie godziny.

Więzień padł na wiązkę słomy i z uczuciem dziwnej rozkoszy usnął głębokim snem.

Od chwili przybycia do Conciergerie zmienił się nie do poznania. Wychudł straszliwie. Twarz jego nabrała woskowej bladości, policzki zaś i usta płonęły gorączką, która go żarła.

Zbudziło go gwałtowne pukanie do drzwi celi.

Zerwał się z posłania i ujrzał mężczyznę, spoglądającego nań z miną, pełną najwyższego zadowolenia. Był to Le Mahu.

Sześciu halabardników stało przy drzwiach, jakkolwiek drzwi te były starannie zamknięte.

Dolet zerwał się na nogi z radosną skwapliwością. Tym razem na pewno już poprowadzą go przed sąd.

– Gdzie odbędzie się sąd? – zapytał.

– Sąd? – rzekł pan Le Mahu podkreślając słowa swe dowcipnym uśmiechem. – Jaki sąd?

– Nooo... mój... Czy to nie dziś stanę przed sądem?

– Nic nie rozumiem, co się panu ubrdało? – zaśmiał się Le Mahu.

Dolet pełen przygnębienia padł na taboret.

Odpowiedź dozorcy zadała mu bolesny cios.

– Mój panie – zapytał Le Mahu – czy nie masz jakiegoś życzenia?

– Żądam sądu...

– Lecz co, u diabła, przyjdzie ci po sądzie? Widocznie pilno ci usłyszeć wyrok, skazujący cię na karę śmierci? co?

Le Mahu wybuchnął głośnym śmiechem, tak zabawną wydała mu się myśl, że więźniowi pilno jest do egzekucji.

Otarł oczy i mówił dalej:

– Nie o to pytałem... Chcę, abyś potwierdził, że masz przyzwoitą celę, że żywią cię dobrze, nieprawdaż? że traktuje się ciebie łagodnie... Nie możesz się na nic użalać? Co?

– Nie!

– Myślę! Tam do licha! słoma czyściutka, świeżutka... No, no, ci dozorcy zrujnują mnie...

O poprzedniej celi, zalanej wodą, nie było ani słowa...

Zdawało się, że Mahu chciał wmówić w więźnia, że od samego początku swego pobytu w więzieniu nie zmieniał celi.

– Będziesz miał wizytę. Radzę ci w twoim własnym interesie wysłuchać w skupieniu słów świętego człowieka, który cię ma odwiedzić.

Po takiej przemowie Gilles Le Mahu oddalił się, a za nim jego eskorta złożona z sześciu halabardników.

Dzień minął, lecz zapowiedziany gość nie zjawił się.

Stefan Dolet gubił się w domysłach. Nie mógł zrozumieć, jakie powody mogły skłonić zarząd więzienia do polepszenia jego warunków... nie rozumiał również, co to mógł być za gość, którego mu zapowiedziano.

Odwiedziny nastąpiły nazajutrz.

W rannych godzinach ujrzał otwierające się drzwi, najpierw wszedł Le Mahu, poprzedzając jakiegoś mężczyznę, któremu okazywał najwyższy szacunek.

Mężczyzna ten, otulony w płaszcz zakonny z kapturem, skinął na dozorcę, Le Mahu szepnął:

– Wasza wielebność może być spokojna, więzień nie pozwoli sobie na żaden czyn gwałtowny...

– Pozostaw mnie samego! – odparł zakonnik stłumionym głosem, dźwięk jego jednak wstrząsnął do głębi Doletem.

Le Mahu złożył niski ukłon, jakkolwiek jego wypukły brzuch utrudniał mu wielce tę pełną uniżoności czynność, po czym pośpieszył opuścić celę.

Mnich podszedł do drzwi i przyłożył do nich ucho, nadsłuchując, czy Le Mahu i halabardnicy oddalili się.

Wtedy dopiero odwrócił się w stronę Doleta i odrzucił z twarzy kaptur.

cdn.

Przełożył JAN MŚCIWÓJ

RYŪGO AKASE

Sztylet

IV

Otworzyłem zasnute parą okno. Zarówno podwórze, jak i sąsiednie domy straciły wszystkie barwy z wyjątkiem bieli i czerni, i przypominały mi negatyw filmowy. Nadal pada jeszcze śnieg, na który patrzyliśmy z Liz przedwczoraj późnym wieczorem, kiedy wracaliśmy z knajpy. Dzisiaj muszę pojechać na spotkanie z prałatem z kościoła, pod którym Teruhiko rozciął sobie brzuch. Ten śnieg wydał mi się przygnębiający, ale ponieważ śnieg padał również w nocy, gdy Terry popełnił samobójstwo, przyszła mi do głowy myśl, że to dobra okazja na wizję lokalną. Liz odradzała mi wizytę w kościele. Twierdziła, że to nic nie da.

Kościół Saint Bartholomew znajdował się w miejscu oddalonym o około dwadzieścia minut jazdy autobusem od dworca High Burnet – końcowej stacji metra Northern Line. Teruhiko dojeżdżał tu z Hampstead swoim ulubionym wozem – Austinem Mini. Posępna bryła kościoła otoczona była gęstym lasem, nietypowym nawet dla przedmieść Londynu. Tutaj śnieg był jeszcze głębszy niż w mieście, a na prowadzących do kościoła szerokich, kamiennych schodach zalegał kilkunastocentymetrową warstwą. Łagodnie pochylone schody ciągnęły się w górę, raz tylko załamując się po drodze. Mój oddech zamarzał, a kilkaset milionów pęcherzyków płucnych dygotało w głębi piersi. Wchodząc po schodach zastanawiałem się, co czuł wtedy Teruhiko.

Harakiri nie jest skutecznym rodzajem samobójstwa. Jeśli chce się umrzeć od ciosu białej broni, szybko i niezawodnie, trzeba ją błyskawicznie wbić w gardło lub serce. Cięciu brzucha natomiast towarzyszy niezwykły ból i zawsze istnieje obawa, że straci się przytomność, zanim zada się śmiertelną ranę. Zwykle podczas seppuku, które wykonywali samurajowie jako honorową karę, osoba asystująca ścinała głowę. W przeciwnym razie trudno byłoby wspaniale umrzeć. Z rany wydostałyby się jelita, otrzewna i doświadczyłoby się piekielnych mąk. Dlatego w przypadku, gdyby nie było pomocnika, po rozcięciu brzucha samemu przebijało się serce lub rozpruwało gardło. Wydaje się, że można by zrobić to na początku, ale wówczas byłoby to zwykłym samobójstwem. W rozcinaniu brzucha musi być szczególny sens. Dlaczego Teruhiko uciekł się do takiej metody? Czyż można wziąć na serio tamten list? Moim zdaniem jego treść przypomina schematyczny sposób wypowiadania się wschodnich krytyków przeciwstawiających się Zachodowi. Jeżeli ten czyn wyrażałby protest wobec kościoła, to efekt byłby większy, gdyby zrobił to w biały dzień. Niepojęte jest, dlaczego wybrał noc. Ale z pewnością noc, kiedy pada śnieg, jest piękna. Pozwolić trysnąć świeżej krwi i rozlać ją na świat białego śniegu – w pewnym sensie, tak jak powiedziała Liz przedwczoraj wieczorem – to bardzo erotyczny czyn. To wyobrażenie jest podobne do tego, co odczuwam, gdy chcę rozrzucić swoją spermę na czarny brzuch Louise. Może Teruhiko poczuł rozkosz, gdy rozcinał swoją skórę srebrzystym ostrzem, w którym przeglądał się opadający śnieg. Ciemna noc rozprasza się na powierzchni śniegu. Dookoła robi się granatowo. Pojawia się człowiek, siada, rozbiera się do pasa i rozcina sobie brzuch. Liz powiedziała, że to przypomina pejzaż, ale według mnie wygląda jak teatr *kabuki*. Zdaje się słyszeć nawet stukot drewnianych pałeczek *hyōshigi*, wystukujących rytm. A może Teruhiko postawił się w roli bohatera tragedii i odegrał narcystyczną sztukę jednego aktora. Pomyślałem, że to zboczony, ale piękny świat. Było to jednak harakiri do głębi ideowe, a równocześnie absurdalnie groteskowe. A to dlatego, że nie tylko świeża krew, ale i trzewia wylewają się z rany. Zdałem sobie z tego sprawę i zrobiło mi się niedobrze.

– Młody człowieku, co tam robisz? – zostałem zagadnięty przez starca wyglądającego na kościelnego.

– Przyszedłem spotkać się z księdzem Brownem. Jestem przyjacielem Japończyka, który niedawno popełnił tu samobójstwo.

– Doprawdy, Japończycy są zupełnie nieobliczalni. Harakiri, kamikaze, banzai. Jesteś umówiony z księdzem?

– Rozmawiałem z nim wczoraj przez telefon.

Dla przeciętnego człowieka Zachodu Japończycy istotnie wyglądają na dziwną rasę. Ale zdaje się, że ten staruszek nie zauważa tego, że Japończycy jeszcze bardziej dziwią się ludziom Zachodu, którzy wierząc gorliwie w Boga głoszącego miłość bliźniego, pozwalają na wojnę opiumową, handel niewolnikami, Oświęcim, Hiroszimę. Schizofrenia jest niczym wobec tego. Prawdopodobnie ten starzec nie byłby w stanie pojąć Japończyka, wyczuwającego w nim coś, co przypomina średniowiecze, w którym pełno było polowań na czarownice. Jest to obustronne.

Poszedłem śladem starca w stronę rezydencji księdza w tylnej części kościoła. Ciężki śnieg leżał na wiecznie zielonych liściach rosnących dookoła rododendronów. Wczesnym latem

wypuszczają one czerwone kwiaty i w zestawieniu z zielenią trawnika tworzą piękny widok. Ale teraz panował jeden kolor - biel.

Poprawiłem krawat i wszedłem do środka. Na końcu krótkiego korytarza była kancelaria. Czekał w niej siwy ksiądz mniej więcej około sześćdziesiątki.

- Japończycy są punktualni, nieprawdaż? Zupełnie jak zegarki. Jest dokładnie trzecia. To ja jestem Brown.

Był niski, bardzo gruby, a palce prawej ręki, wyciągniętej na powitanie, były nabrzmiałe. Rozpromienił zdrową i witalną, różową twarz - wyglądało na to, że serdecznie mnie przyjmuje. Przed spotkaniem z księdzem byłem niespokojny, spięty, dokładnie tak, jak kilka sekund przed naciśnięciem dzwonka do mieszkania Liz. Okropnie żałowałem, że przyjechałem do tego kościoła, ale gdy zobaczyłem jego dobroduszne, łagodne oczy, odetchnąłem z ulgą. Ten człowiek też miał niebieskie oczy. Były dziecięco niewinne, wypełnione taką wiarą, że aż wydawało się, iż dobroć rzeczywiście może być wrodzona, a na tym świecie nie istnieje nic takiego, jak zło. Nawet gdyby istniało, można by brać je tylko za złudę. Nagle przypomniałem sobie oczy oświeconego mnicha ze szkółki zen, do której uczęszczałem przez bardzo krótki okres w czasach studenckich.

- Jak się panu podoba Anglia? Nie jest tu zimno? Czy w Japonii też pada śnieg? Zaraz każę przynieść herbatę.

Nie mówiąc, że przyjechałem z Amsterdamu, utrzymywałem, że jestem bliskim przyjacielem Teruhiko i przyjechałem z Japonii.

Czekając na herbatę, rozmawialiśmy o pogodzie, ale szybko rozmowa zeszła na tamten wypadek.

- Dostałem od Liz - sądzę, że chyba ojciec ją zna - pozwolenie i przeczytałem kopię listu Teruhiko wysłanego do ojca.

- O, pan też to przeczytał, tak?

- Tak, z wielkim zainteresowaniem. Ale szczerze mówiąc, nadal nie mogę uzmysłowić sobie, że on popełnił samobójstwo. A co ojciec o tym sądzi?

- Nam, chrześcijanom, samobójstwo absolutnie nie jest wybaczane. A co więcej, taka śmierć jest straszliwą profanacją. Teruhiko był młodzieńcem robiącym bardzo dobre wrażenie. Nigdy bym nie pomyślał, że zrobi coś takiego. Naprawdę przykro mi. To bardzo smutne. Nawet teraz bardzo go kocham. Był nam bliski.

Niebieskie oczy księdza wyrażały szczery żal.

- Czyli ojciec wierzy, że on popełnił samobójstwo?

- A czy tak nie było? Wyjaśnił to w liście do mnie. Policja była tego samego zdania.

- A może to było zabójstwo?

- Zabójstwo, mówi pan?... Ani razu nie przyszło mi to do głowy. Przyjąłem posłusznie, że jeśli to japoński, odważny młodzieniec, to stać go na wszystko.

- Czy policja również nie brała pod uwagę zabójstwa?

- W pewnej mierze chyba je rozważała. Jednak ze względu na poszlaki stanęło na samobójstwie.

- Ten list dostał ojciec przed wypadkiem, czy po?

Zauważyłem, że ton moich pytań przypomina śledztwo. Chciałem jednak wiedzieć jeszcze tylko tę jedną rzecz.

- Po. Dotarł nazajutrz po tym, jak Teruhiko odebrał sobie życie. Gdybym otrzymał go wcześniej, próbowałbym zapobiec temu, co się stało. To straszne... Czy Japończycy wciąż jeszcze popełniają harakiri?

Ksiądz Brown spytał w ten sposób, jakby przed nim stał przedstawiciel zupełnie niepojętej rasy. Być może Japonia, którą sobie wyobraża, to w najlepszym razie gejsze i góra Fudżi. Może myśli, że stolicą jest Pekin? Za nim ustawione były na półkach, sięgających aż do sufitu, grube książki w skórzanych oprawach, dotyczące między innymi teologii i historii kościoła. Nie zauważyłem książek dotyczących Wschodu. Jeśliby nawet były, to prawdopodobnie przypominałyby klasyczne raporty dawnych misjonarzy.

- Mniejsza o to. Pozwoli ojciec, że zapytam o kradzież tamtych pieniędzy? Podobno sprawca nie został jeszcze ujęty...

W jednej chwili łagodna twarz księdza skamieniała. Widocznie nawet człowiek bliski ideałowi nie lubi dociekliwości.

- Tak, niestety, jeszcze nie.

- Czy ojciec wierzył w niesłuszność oskarżenia Teruhiko? Proszę odpowiedzieć szczerze. W żadnym wypadku nie wpłynie to na mój nastrój. Chcę tylko poznać pogląd ojca.

- Oczywiście, od początku byłem przekonany o niesłuszności tego oskarżenia - stanowczo odrzekł ksiądz, a na skroni ukazała mu się sina żyła. Odniosłem wrażenie, jakby do pewnego stopnia oburzył się na moje pytanie.

Spodziewałem się tej odpowiedzi. Chciałem tylko zobaczyć reakcję księdza. Jego splecione na stole palce drżały, nie mogąc ukryć pewnego zmieszania. W jego niebieskich oczach, które z uporem wpatrywały się we mnie, nie było jednak żadnego fałszu. Zapewne ten dobrotliwy ksiądz, mimo iż wierzył, że Teruhiko nie jest sprawcą, zadręczał się pytaniem: kto jest prawdziwym złodziejem? W jego wzroku nie było jednak niczego - a przecież tylko temu Teruhiko sprzeciwiał się w liście - co by potwierdzały przypominane tam oskarżenia. Była w nim tylko bezgraniczna ufność w ludzką dobroć. Dlaczego zatem Teruhiko napisał taki list? Może cierpiał na manię prześladowczą?

- Wiele razy mówiłem Teruhiko, by zapomniał o tej sprawie. Ale on wziął to sobie do serca, prawda?

- Ojcze, czy sądzisz, że jego przelana krew potwierdziła niesłuszność oskarżenia?

- Nic takiego. To jego alibi wskazywało, że był niewinny.

- W takim razie, po co to zrobił?

- To niedorzeczne. Naprawdę niedorzeczne. Jego krew naprawdę została przelana daremnie.

- I to wszystko?

- Tak, to wszystko...

Szczerze mówiąc, po tych słowach księdza wpadłem w bezgraniczne przygnębienie. Nawet korzystając z obszernego księgozbioru teologii zachodniej, ustawionego na półkach za jego plecami i tworzącego nad nim coś w rodzaju aureoli, chyba nigdy nie będzie w stanie pojąć człowieka Wschodu. Innymi słowy, dla tego księdza wyższa metafizyka zwana harakiri będzie wiecznie niezrozumiała, będzie herezją, niedorzecznym okrucieństwem spowodowanym przez szatana.

- Wobec tego ojcze, kto jest sprawcą?

- Nie mam pojęcia. Ale, mr Makita, przecież z panem ta sprawa nie ma nic wspólnego.

Delikatnie zbył moje niegrzeczne pytanie. Z pewnością miał rację. Bez wątpienia, ta sprawa nie ma ze mną nic wspólnego. Pomyślałem, że już więcej nie zapytam o Teruhiko. Przestałem też rozumieć, dlaczego aż tak zapaliłem się do tej sprawy. Nie byłem przecież jego przyjacielem. Chciałem już zakończyć rozmowę, gdy nagle ksiądz zapytał mnie o mój pogląd na samobójstwo Teruhiko.

- Harakiri, które popełniano w Japonii w średniowieczu lub do drugiej wojny światowej, rozumiem jako coś, co wyraża honor, wierność, odwagę, a w przypadku kobiet niewinność. Ale mam wrażenie, że przypadek Teruhiko - młodego człowieka XX wieku, byłoby mi bardzo trudno pojąć. Niepokoi mnie zwłaszcza jedna rzecz - brak motywu. Po rozmowie

z ojcem rozumiem jeszcze mniej. Jeśli motyw był zgodny z tym, co jest napisane w tamtym liście, to harakiri wydaje mi się zbyt ekstremalnym wyjściem z sytuacji. Naprawdę nie rozumiem.

Przez jakiś czas milcząc popijaliśmy herbatę i jedliśmy szarlotkę. Angielska woda nie nadaje się w ogóle do picia, ale w herbacie staje się niewiarygodnie smaczna. Zalewając herbatę holenderską, czy japońską wodą, nigdy nie uzyska się takiego smaku. Poprosiłem o jeszcze jedną filiżankę i rozejrzałem się mimochodem dookoła, czy oprócz sprawy Teruhiko nie znalazłby się wspólny temat do rozmowy z tym księdzem. Dotąd nie zwróciłem uwagi, ale teraz dostrzegłem, że z tyłu po prawej stronie przy oknie, wisi duży obraz. To obraz, którego kilka egzemplarzy można znaleźć w każdym muzeum w Europie. Młody, nagi mężczyzna jest przywiązany do drzewa z rękami do tyłu. W ramionach i piersiach tkwi kilka strzał. Z ran wypływa krew i rozprzestrzenia się po białym, okazałym ciele. Regularna twarz w grymasie agonii jest niewiarygodnie piękna. Obraz jest tak umieszczony, by zawsze był w polu widzenia księdza.

– Ojcze, kim jest ten młody mężczyzna na obrazie?

– To święty Sebastian. Jeden z najbardziej znanych męczenników. Był urzędnikiem w Imperium Rzymskim. Wydało się, że był chrześcijaninem, został skazany na karę śmierci i poprzeszywany strzałami. Bardzo lubię ten obraz. Wspaniale wyraża ducha męczeństwa.

– Może będzie to naprawdę niezręczne pytanie, ale interesuje mnie, dlaczego na wielu chrześcijańskich obrazach płynie krew? Nawet sam Chrystus jest ukrzyżowany i krew płynie z jego rąk i nóg poprzebijanych gwoździami. Dla mnie, Japończyka, przekracza to troszkę umiar i robi wrażenie groteskowego. Ale niech ojciec nie weźmie mi tego za złe.

– Ksiądz uśmiechnąwszy się łagodnie, nie usiłował nawet odpowiedzieć na to pytanie. Może nigdy się nad tym nie zastanawiał? Czyż nie tkwi głęboko w chrześcijańskiej tradycji? Prawdopodobnie stało się to dla niego rzeczą naturalną, zupełnie jak powietrze. Ja jednak dostrzegam ten problem. Ależ, cóż tam ja, również dla wyznawców islamu, judaizmu, buddyzmu, hinduizmu i wielu innych ludzi wyobrażenie krwi, czy też ukrzyżowanie w chrześcijaństwie jest zastanawiające. Gdy po powrocie do Hiszpanii z podróży po krajach Maghrebu (Maroku, Algierii i Tunezji), gdzie żyją muzułmanie, którzy w skrajnym stopniu negują wizerunki świętych, wszedłem do kościoła katolickiego, w tym samym momencie zostałem przytłoczony zbyt dużą ilością figur i malowideł. Ten nadmiar wydał mi się specyficznym rodzajem perwersji. Gdybym był sułtanem i zdobył Hiszpanię, prawdopodobnie zniszczyłbym figury i obrazy i oczyściłbym wnętrza kościołów, na nowo przyozdabiając je wyłącznie arabeskami. Ale ten przepełniony dobrotliwością, wykształcony ksiądz pracuje, patrząc codziennie na świętego Sebastiana. Zauważyłem, że kompozycja tego obrazu jest niezwykle podobna do sprzedawanej w amsterdamskich sklepach porno sadystycznej pornografii. Oczywiście, o tym nie mogę puścić pary z ust. Bez wątpienia, moja osobowość i wykształcenie zostałyby poddane w wątpliwość. Rozmyślałem, wpatrując się w milczeniu w obraz. Chrześcijaństwo jest wobec seksu bardzo ascetyczne i może właśnie dlatego powstało malarstwo religijne sublimujące zdławiony seks. Do tego jeszcze ten katolicki ksiądz jest nieżonaty i być może oglądanie obrazu nieświadomie zastępuje mu seks.

– Harakiri też, w ostatecznym rozrachunku, może być czymś takim, jak śmierć świętego Sebastiana, prawda?

– Co pan ma na myśli, mr Makita?

– To znaczy, że zarówno jedno, jak i drugie jest bardzo erotyczne.

Ksiądz zdębiał – zrobił minę, jakby nie zrozumiał moich słów. Pomyślałem, czy on przypadkiem nie należy do tych, którzy nie obcowali z kobietą. Prawdopodobnie to, co mówi człowiek taki, jak ja, choćby wyrażał myśli na wszelkie sposoby i tak zostanie odebrane jedynie jako diabelska sofistyka. Zakończyłem rozmowę, przepraszając za to, że zasiedziałem się zbyt długo. Podziękowałem za jego uprzejmość, za to, że poświęcił mi cenny czas i pożegnałem się. Ksiądz wyszedł ze mną i odprowadził mnie wzrokiem aż do schodów wiodących do kościoła. Pomyślałem, że to bardzo miły człowiek. Coraz bardziej przestawałem rozumieć to, że Teruhiko popełnił samobójstwo z powodu kogoś takiego.

Śnieg padał znacznie gwałtowniej. Patrząc pod nogi, po jednym stopniu schodziłem ze schodów. W moje stare ślady napadał już śnieg, zakrywając je w około dwóch trzecich. Za godzinę znikną chyba całkowicie. Przez jakąś chwilę, nie myśląc o niczym, stałem wśród śniegu. Z nieba zwisały niezliczone nitki i po nich, ślizgając się, łagodnie opadały białe kamyczki. Zdawało się, że na krańcu świata jest morze śniegu, który jest w nim nagromadzony w niewiarygodnych ilościach. Od czasu do czasu, niczym iskra na wietrze, zatańczył biały kryształek lodu.

Nagle zatęskniłem do ciała Louise. Gdy osiągała orgazm, jej skóra przybierała kolor sepii. Jej blask był prosty i jasny. Skąpana w ultrafioletowych promieniach lenistwa i ekstazy skóra z olbrzymią swobodą przyjmowała seks w każdej postaci. W Louise wszystko było naturalne jak idealnie czyste, afrykańskie niebo. Ale w tym białym świecie śniegu było coś wykrzywionego, zdławionego i niesmacznie wklęsłego. To biel zbrodni doskonałej, której udało się całkowicie pokryć bezgraniczną otchłań. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że gdzieś w ciemnym i wilgotnym miejscu ukrywa się dziwny mechanizm. Zirytowało mnie, że nie wiem, czym jest ów mechanizm. Poczułem w piersi, już dawno nie odczuwany, przygnębiający ciężar krwi, którego w pełni zasmakowałem w Tokio.

V

Po późnej kolacji, siedząc w pokoju, piliśmy zieloną herbatę. Wziąłem z półki Liz poświęcony macicy perłowej numer czasopisma „Sztuka Japonii" i nie wczytując się, przerzucałem stronice. Znalazłem w nim fotografię szafki, w której znajdował się olejny wizerunek ukrzyżowania Chrystusa. Zdobiona była macicą perłową w kształcie kwiatów, ptaków i jeleni. Niestety, było to czarno-białe zdjęcie. Pod nim krótka informacja o tym, że dzieło wykonano na eksport. Ale to niecodzienne zestawienie macicy perłowej i ukrzyżowanego Chrystusa przyciągnęło moją uwagę. Dziwny zlepek Wschodu i Zachodu. Nie wyczuwa się tu jednak sprzeczności. Przeciwnie, obie kultury współistnieją w tym dziele w idealnej harmonii. Może właśnie sztuka jest w stanie zjednoczyć Wschód i Zachód. Shakuhachi[1] i flet. *Nō* i modern ballet. *Ukiyoe* i impresjonizm. Wzajemne wpływy byłyby bardzo korzystne. Czy z życiem Liz i Teruhiko było podobnie? Teruhiko napisał w liście: „Moim marzeniem było pojąć Zachód i wytłumaczyć Zachodowi Wschód". Zdaje się, że Liz jest w stanie zrozumieć jego śmierć, czego nie można powiedzieć o księdzu. A może

1 Shakuhachi – rodzaj japońskiego, podłużnego fletu o pięciu otworach, wykonanego ze specjalnego gatunku bambusa (przyp. tłum.)



Szymon Kobyliński

Teruhiko był zbyt gwałtowny? Nagle zachciało mi się znowu popatrzeć na zdobiony macicą perłową sztylet. Poprosiłem Liz, żeby mi go jeszcze raz pokazała. Powiedziała, że dobrze się składa, gdyż właśnie dziś zamierzała go zakonserwować po dłuższej przerwie. Przyniosła mi go z sypialni. Wziąłem go prawą ręką, ale pamiętając, że jest dość ciężki, mimowolnie wyciągnąłem też lewą i podtrzymywałem go obiema. Oczywiście, z powodzeniem mógłbym go utrzymać w jednej ręce, ale zrobiłem to z szacunku dla przedmiotu, który tak pysznie wyraża istotę bytu.

Długo wpatrywałem się w rękojeść i w pochwę z czarnej laki, czułem się tak, jakbym był przez coś wchłaniany i zastanawiałem się, kim był ten, który ozdobił macicą perłową ten sztylet. Błękitne motyle tańczyły niczym płomienie. Wspaniała robota. Czyż zrobił go sto lat temu jakiś zwyczajny rzemieślnik o nieznanym imieniu? Na pewno nie śniło mu się nawet, że w tak odległym czasie i miejscu będzie podziwiany przez Europejkę o czerwonych włosach i niebieskich oczach. Wysunąłem głownię. Pod powierzchnią metalu dostrzegłem błękitny blask. Nie, nie powinien przecież tak wyglądać. A jednak czułem wyłaniający się z samego dna błękit. Pomyślałem, że w moich oczach pozostał jeszcze blask macicy perłowej. Przekręciłem rękojeść i upewniłem się co do ostrza z drugiej strony. Tam też zatapiał się błękit lśniącego w śniegu mroku. Przeraziłem się. Nie wiem, co mnie przerażało, ale było w tym jakieś szaleństwo. Powróciło pytanie: Czy brzucha Teruhiko nie rozcięło właśnie to ostrze? Nie, to urojenie. Iluzja. Straszny sen. Ale im bardziej zaprzeczam, tym silniej owo wrażenie zbliża się do mnie. W końcu nie wytrzymałem i powiedziałem do Liz.

– Wydaje mi się, że Teruhiko popełnił harakiri tym sztyletem.

W pierwszej chwili drgnęła, ale zaraz szybko zaprzeczyła.

– Jesteś zmęczony! Miecz, którego Teruhiko użył do samobójstwa, zabrała policja. Ale mnie też, gdy jestem zmęczona, niekiedy zdarza się tak czuć.

Powiedziawszy to wzięła ode mnie sztylet i zajęła się nim. Przybory do konserwacji podobno wszystkie są Teruhiko. Wyskubała spinające rękojeść i trzpień głowni guzy mekugi i skierowawszy ostrze ku górze, uchwyciła lewą ręką rękojeść. Prawą pięścią lekko uderzyła lewy nadgarstek i wyciągnęła trzpień. Te czynności miała opanowane do perfekcji.

– Liz, nie ma tam podpisu płatnerza?

– Podpisu płatnerza nie ma, ale jest wygrawerowane: „Pomyślnego dnia, dziewiątego miesiąca ósmego roku ery Tempõ".

Dziwny sztylet. Nie wiadomo, kto go wykonał, a wiadomy jest czas, kiedy został wykonany. „Tempõ"... kiedy to mniej więcej było? – podczas gdy usiłowałem sobie to przypomnieć, Liz dała mi odpowiedź.

– Ósmy rok ery Tempõ przypada na rok 1837 według kalendarza europejskiego – w przybliżeniu 150 lat temu. Rok Wielkiego Głodu. Czas zgrozy. W biednych wioskach wieśniacy sprzedawali córki, jedli korzenie traw, dżdżownice, żaby. Ludzie pożerali ludzi. Właśnie w tych czasach zahartowano ten sztylet. To szaleństwo.

W tym sztylecie, który przetrwał 150 lat, na pewno jest coś z szaleństwa. Czy w ciągu tego czasu choć raz znalazła się na nim krew? Podobno należał do prababki Teruhiko. Ciekawe, czy umarła czcigodną śmiercią? Czasami ma się wrażenie, że wpatrując się w ten sztylet, jest się wchłanianym przez jakąś nieznaną moc... Często bywa tak, że spacerując w pobliżu nieskazitelnie czystego jeziora w górskiej głuszy, popadamy w złudzenie, że zostaliśmy przez kogoś zawołani. Wiemy, że nie ma tam nikogo, więc nagle ogarnia nas niewypowiedziany lęk. To jest pod pewnym względem podobne. W błękicie sztyletu, ukrywając się, wołają duchy gór i rzek. Czy Teruhiko też został przez to wchłonięty? Mimo wysiłku za nic nie można się uwolnić od tego wrażenia. Jeśli moje podejrzenia są słuszne i Teruhiko popełnił samobójstwo tym sztyletem, to nie można zgodzić się z faktem, że sztylet tu jest. W takim razie, jeśli to nie samobójstwo, a zabójstwo... Albo nawet jeżeli było to samobójstwo, gdyby na miejscu zdarzenia był inny człowiek... Albo po tym, jak popełnił samobójstwo, gdyby ktoś przechodził obok...

– Liz, Taruhiko i ja byliśmy mniej więcej w tym samym wieku. Jestem starszy o trzy lub cztery lata, ale chyba można uważać, że należę do tego samego pokolenia. Gdy ktoś z naszego pokolenia odbiera sobie życie, absolutnie nie popełnia harakiri. Nie ma na tyle odwagi. To prawda, że Japończycy, w porównaniu z ludźmi innych narodowości, często popełniają samobójstwa. Dotyczy to zwłaszcza osób między dwudziestym a czterdziestym rokiem życia. Pod tym względem przodujemy w statystykach. Taka jest struktura społeczeństwa. Ponadto nie ma ograniczeń religijnych. Ale absolutnie nikt nie popełnia harakiri. A raczej nie jest w stanie. Obecni młodzi Japończycy są tchórzliwi. Możliwe, że Teruhiko nie rozciął sobie brzucha. Może zrobił to ktoś inny?

Liz, milcząc, nakładała na ostrze sztyletu proszek do polerowania. Jej rude włosy krwistym blaskiem odbijały się w lustrze sztyletu. Pomyślałem, że Liz jest nienormalnie upojona. Czyżby piękno Wschodu było dla człowieka Zachodu tak urzekająca?

– Liz, słuchasz?

Otrząsnęła się, zaczesała do góry gęste, rude włosy i spojrzała w moją stronę. W niebieskich oczach, które zapatrzone były w sztylet, znów odbijała się tamta trucizna. Ich piękno przyprawiło mnie o złowieszcze przeczucia. Za chwilę resztki ich blasku zniknęły i stały się znów oczami zwykłej kobiety. Poczułem ulgę.

– Mówię, że być może śmierć Teruhiko nie była samobójstwem i że istnieje możliwość zabójstwa.

– Wobec tego powiedz, kto mógłby go zabić, mój ty Sherlocku Holmesie.

Powiedziała to tak, jak gdyby umyślnie żartowała, ale zdawało mi się, że jej głos mimo woli drży.

– Na przykład ten ksiądz.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Teruhiko i ksiądz Brown mieli kontakty homoseksualne.

– Nie pleć głupstw!

– Posłuchaj mnie, Liz! Ja tylko snuję przypuszczenia. To będzie zwykła zabawa – trening myślowy, dobrze? A zatem, z powodu jakiejś błahostki ich związki seksualne omal nie wyszły na jaw. Wtedy ksiądz zaplanował, że zabije Teruhiko. Najpierw ukradł pieniądze i położył obok swojego sejfu czarny włos Teruhiko. Potem napisał na maszynie ów list we wspaniałym angielskim, wysłał go do siebie, wezwał Teruhiko do kościoła i zamordował. Co na to powiesz?

– Sherlockiem Holmesem to ty raczej nie mógłbyś zostać. A co z listem do mnie? Był w szufladzie biurka Terry'ego! Czy powiesz, że ksiądz Brown wszedł do naszego domu i go zostawił? No a podpis Terry'ego? Policja poleciła specjalistom zrobić ekspertyzę. Ponad wszelką wątpliwość był to jego podpis. Poza tym oba listy były pisane na jego maszynie! Na taśmie pozostały ślady! Nie można wyobrazić sobie nic prócz samobójstwa przez harakiri!

Liz oświadczyła to stanowczo, wpatrując się w moje oczy prowokacyjnie. W jej reakcji nie było miejsca na przyjęcie

mojego, powiedzianego pół żartem, przypuszczenia. Wyglądało to tak, jak gdyby niecierpliwie jeszcze raz potwierdzała, porządkowała i podkreślała dowody samobójstwa Teruhiko. W jej wzroku znów unosił się tamten niewiarygodny błękit. Potem, jakby nigdy nic, wróciła do konserwacji miecza. Ale w moich uszach jeszcze brzmiały jej ostatnie słowa: „Nie można wyobrazić sobie nic prócz samobójstwa przez harakiri".

W tym momencie moje niesprecyzowane i bezładne wątpliwości zaczęły skupiać się w jednym punkcie. Osobą która została wchłonięta przez to ostrze, nie był Teruhiko, tylko Liz. Naturalnie, że tak musi być. Może i on stał się nieco uzależniony, ale z natury był odporniejszy. Do sztyletu dziedziczonego z pokolenia na pokolenie powinien przywyknąć od lat dzieciństwa. Jednakże Liz nie jest odporna. Nagle wystawiona na straszliwe piękno... została omamiona. Podstawowy szkielet sprawy stał się jasny. Jeszcze tylko go wypełnić.

– Liz, pokaż mi jeszcze raz ten sztylet.

Zrobiła trochę podejrzaną minę, ale wręczyła mi go posłusznie. Chciałem go mieć pod ręką. Wsadziłem głownię do zdobionej macicą perłową pochwy. Teraz będę mógł być spokojny. Nie będzie potrzeby obawiać się jej oczu. Nieznany, niewiarygodny blask tymczasowo zostanie powstrzymany.

– Liz, to też będzie przypuszczenie, zgoda? Wybacz mi więc, jeśli będę nietaktowny. Proszę, żebyś w żadnym wypadku się nie gniewała. I nie mów mi też, że to bzdurne. To tylko jedna spośród wielu możliwości. Będzie to wyłącznie swego rodzaju gra intelektualna.

Poczyniwszy tych kilka zastrzeżeń, zacząłem.

– Co by było, gdyby do harakiri Teruhiko został użyty ten sztylet... Przecież sztylet nie mógł tutaj wrócić sam. Nie ma ani nóg, ani skrzydeł! Skoro tak, to ktoś musiał go tu przynieść.

– Chcesz powiedzieć, że ten „ktoś" to ja?

– Zgadza się. Ale, tak czy inaczej, nie gniewaj się i posłuchaj mnie. Jeżeli wcześniej jakimś sposobem wiedziałabyś o zamierzeniu Teruhiko, na przykład przez przypadek przeczytałabyś jego list, zanim został wysłany do księdza, to tamtej nocy, jadąc na miejsce zdarzenia, mogłabyś wziąć ten sztylet.

– Ależ miecz użyty do harakiri zabrała policja! - Liz zaoponowała jakby z niezadowoleniem.

– Pokazałaś mi wczoraj kolekcję białej broni Teruhiko, prawda? W niej były dwa krótkie miecze, które miały prawie identyczny kształt ostrza, co ten sztylet.Gdyby był jeszcze jeden, nie byłoby w tym nic dziwnego. Dla ciebie jednak tylko ten zdobiony macicą perłową ma szczególne znaczenie. To jakby połowa twojego życia. Są w nim również wspomnienia związane z Teruhiko. Koniecznie chciałaś go mieć pod ręką. Dlatego zanim zabrała go policja, wymieniłaś go na inny. Zgon Teruhiko przypuszczalnie nastąpił między godziną dwudziestą drugą a północą. Do odnalezienia rano ciała upłynęłoby minimum sześć godzin. Mając tyle czasu można wiele. Można nawet zakopać zwłoki.

– Ależ gdybym uprzednio wiedziała o jego samobójstwie, nie miałabym chyba powodu, by pozwolić mu to zrobić.

– Tak, to jest problem. W takim razie, co by było, gdybyś aktywnie asystowała przy jego samobójstwie...

– Daj spokój! – Zwróciła się gwałtownie w moją stronę przeraźliwie rozzłoszczonymi oczami. Biała, skamieniała twarz wyrażała ni to niepokój, ni to obawę i lśniła na powierzchni stolika z czarnej laki. Nie przejmując się, kontynuowałem.

– Jako japonistka powinnaś wiedzieć, że przy zwykłym, formalnym harakiri potrzebny był pomocnik. To człowiek, który upewniwszy się, że delikwent właśnie rozciął sobie brzuch, miał za zadanie ściąć mu głowę.

– Ale głowa Terry'ego była na swoim miejscu!

– Odcięcie głowy za jednym zamachem jest bardzo trudne. Wymaga treningu. W dawnej Japonii była nawet specjalna profesja ścinacza głów. Dlatego zadowoliłaś się tylko naocznym stwierdzeniem jego śmierci.

– Dlaczego ja miałabym zrobić coś takiego? Kochałam go!

– Właśnie. Dlatego najbardziej niezrozumiałym punktem tej sprawy jest motyw. Przeczytałem wielokrotnie list, który Teruhiko wysłał do księdza. Nawet się z nim spotkałem. W rezultacie zacząłem odnosić wrażenie, że powód, jakoby Teruhiko popełnił samobójstwo przez harakiri, aby zaprotestować wobec tamtego kościoła, byłby bardzo nienaturalny. Wprawdzie, jeśli Teruhiko miał tendencję do nerwicy i cierpiał na manię prześladowczą, to co innego. Ale gdyby tak było, nie mógłby przecież napisać tak zrozumiałego i doskonałego językowo tekstu, zwłaszcza po angielsku. Zastanawiam się, co jeszcze mogłoby być motywem... Można wyobrazić sobie taką rzecz. Mianowicie, że był skrajnym masochistą, doznającym uczucia przyjemności w rozcinaniu własnego brzucha. Oznaczałoby to, że był dość anormalny seksualnie. Wbrew pozorom ta myśl wcale nie jest absurdalna. W rzeczywistości zboczeńców, którzy kalecząc własne ciało zadają sobie śmierć, jest znacznie więcej niż myślimy. W takiej sytuacji wręcz niezawodnie posłużyłby się właśnie tym sztyletem. Najbardziej naturalne wydaje się to, że rozciął swój brzuch tym ostrzem, które ty i on kochaliście. Często zdarza się, że fetyszyzm i masochizm idą ze sobą w parze. Ale, nie wiedzieć czemu, ten sztylet jest tutaj. Rozważanie możliwości, że on był takim zboczeńcem, jest interesujące, ale praktycznie rzecz biorąc nieuzasadnione. No i specjalnie pisząc taki list, nie musiał popełniać harakiri w kościele. Wystarczyłoby, gdyby rozciął brzuch w samotności. A więc, co byłoby, gdyby to nie samobójstwo, a zabójstwo... Morderca nie bez powodów liczył na to, że policja angielska będzie sądziła, iż Japończyk był w stanie popełnić harakiri. Śnieżna, głęboka noc to odpowiedni czas na morderstwo. Nie ma przede wszystkim naocznych świadków. Do świtu ślady stóp zasypuje śnieg. Do tego bardzo zręcznie wyprowadzają nas w pole tamte dwa listy, potwierdzające chęć popełnienia samobójstwa. Jest na nich podpis Teruhiko. Naturalnie mordercą prawdopodobnie był ktoś z otoczenia Teruhiko. Ojciec? Kolega z grupy? Jak jednak wytłumaczyć wtedy te listy? W takim razie, co by było, gdybyś to ty, Liz...

– ...

Przez chwilę wpatrywała się we mnie w osłupieniu, ale szybko jej twarz przybrała niesprecyzowany wyraz, niczym maska nō. Wstrzymała oddech, jakby bała się, że otaczająca ją zewsząd przestrzeń runie z powodu jej jednego niewłaściwego słowa, albo jakiegoś najdrobniejszego posunięcia. W tej martwej ciszy słychać było bicie serca Liz. Odnosiło się wrażenie, że jeszcze jedno podkręcenie i przerwie się stal sprężyny. Wyczułem intuicyjnie, że to, co mówię, jest słuszne.

– Gdyby założyć, że to ty go zabiłaś, można wytłumaczyć sensownie tamte dwa listy. Napisałaś je, używając maszyny Teruhiko. Zwłaszcza list zaadresowany do księdza jest zbyt doskonały jak na taki, który napisał Japończyk. Umyślnie pomyliłaś „l" z „r" w wyrazie alibi. A człowiekiem, który wie, że Japończycy nie potrafią rozróżnić wymowy „l" i „r" może być tylko ten, kto dobrze żył się z Japończykiem. No i jeśli jest się w stanie pisać takim angielskim, nie powinno się popełniać tak podstawowego błędu.To nawet ja się nie mylę! Było to zbyt drobiazgowo przygotowane. Ponadto w tamtym liście były pewne stereotypowe sformułowania, jakby wybrane z podręcznika.

– No a co z jego podpisem? Czy powiesz, że to też moje dzieło?

Wreszcie Liz odezwała się. Nie, może precyzyjniej byłoby powiedzieć, że była w stanie się odezwać. Widać było, że włożyła w to wiele wysiłku. Przyglądające mi się źrenice gęstniały niebiesko, jak rafinowana miedź.

– Tego nie powiem. Naturalnie, nie ma wątpliwości, że to on go złożył. Ale i to można łatwo wytłumaczyć. Na przykład, można sobie wyobrazić coś takiego. Teruhiko pisze do swojego angielskiego przyjaciela albo do urzędu, szkoły – obojętnie gdzie – list. Przy tej okazji daje ci do sprawdzenia angielski tekst, który sam napisał. Gdybyś była moją żoną i ja z pewnością tak bym zrobił. Bo choćby nie wiadomo jak biegły w angielskim cudzoziemiec, nie wyczuwa niuansów. Wówczas ty, rzuciwszy okiem na jego angielski tekst, proponujesz mu, że wykończysz go w doskonałym angielskim, napiszesz na maszynie i wyślesz. Prosisz więc, by zostawił tylko swój podpis na czystej kartce papieru. Ponieważ można się pomylić przy pisaniu, otrzymujesz podpis na dwóch, trzech arkuszach. Czyli uzyskujesz coś w rodzaju carte blanche. Ponieważ on ci całkowicie ufa, wszystko ci powierza. Robił tak chyba często, szczególnie gdy był zaganiany. Cieszył się, że miał pożyteczną żonę. Japończycy w codziennym życiu, oprócz sytuacji, kiedy używają kart kredytowych, niemal nie posługują się podpisem. Nie podpisują się nawt w listach między sobą. Dlatego podpis nie jest dla nich ważny. Nigdy nie przyśniłoby mu się nawet, że te podpisane, czyste kartki będą użyte na listy do ciebie i do księdza. Dla osoby, która zna nawyki Japończyków, to sposób, który łatwo wymyślić. Krótko mówiąc, to naprawdę prosty trick. Albo można by nawet w żartach kazać napisać list pożegnalny. Jeżeli sobie życzysz, mogę wymienić wiele chwytów. W każdym bądź razie, na czystych kartkach z podpisem Teruhiko, które jakimś sposobem uzyskałaś, mogłaś później podczas jego nieobecności pisać, używając jego maszyny. Nie było przecież listu do jego rodziców. Bo tu nie ma procesora słownego języka japońskiego, zgadza się? Poczyniwszy te wstępne przygotowania, zwabiłaś go w nocy do kościoła. Powodów można przytoczyć bez liku. Na przykład – chcesz zobaczyć kościół w romantyczną, śnieżną noc. Mężczyzna ma słabość do takich rzeczy. Albo też – chcesz sfotografować śnieżny krajobraz kościoła w ciemną noc, dlatego najdogodniej byłoby koło północy, kiedy nie będzie ludzi. Udaliście się tam chyba jego samochodem. Stanęliście na schodach prowadzących do kościoła, przybrałaś pozę, jakbyś chciała go objąć od tyłu i rozcięłaś jego brzuch ukrywanym krótkim mieczem. Narzędziem zbrodni nie musiał być ten sztylet, ale jeśli to on, to mogłaś zamienić na miejscu na inny. Wydaje mi się, chociaż nie wiem dlaczego, że zrobiłaś to jednak tym sztyletem.

– ...

– Tuż przed dokonaniem morderstwa musiałaś czuć, że tracisz wszystkie siły. W ciągu zaledwie kilku sekund możesz przypomnieć sobie aż po najdrobniejsze szczegóły wszystko z waszego spotkania. Momentalnie wbijając krótki miecz w jego lewy bok, pociągnęłaś kolistym ruchem w prawo a na koniec trochę w górę. Potem włożyłaś mu do prawej ręki krótki miecz,tak jak gdyby to on sam popełnił harakiri. Gdy upewniłaś się, że nie żyje, wróciłaś do domu zaparkowanym przed schodami samochodem. To morderstwo dokonało się chyba w ciągu dziesięciu minut. Naocznych świadków nie ma. Zarówno ślady nóg, jak i ślady opon zostały zatarte przez śnieg. A listy z podpisami Teruhiko są niezbitym dowodem samobójstwa. I co ty na to?

Nie poruszając się, wysłuchała mnie do końca. Na bielutkie czoło kładły się niczym płomienie bezładne, rude włosy. Nie usiłowała nawet doprowadzić ich do porządku. Zdaje się, że została ogarnięta przez absurdalne poczucie bezsilności. Nie była w stanie podnieść nawet palca. Rozproszone oczy bez ustalonego ogniska dobrze wiedziały, że z powodu ich błękitu unosi się w powietrzu strach cherlawego dziecka.

– Widzę, że się nie sprzeciwiasz... Widocznie moje przypuszczenia są słuszne.

– ...

– Wstań, Liz!

Postawiłem ją, wziąwszy za ramiona. Stanęła posłusznie, bez oporu, zupełnie jak marionetka. Jej uczucie opadania z sił zaczęło przechodzić na moje ramiona. Wyciągnąłem z pochwy sztylet i przyłożyłem do jej piersi.

– Możesz się nie obawiać, Liz. Nie mam nic wspólnego z tą sprawą. Być w to wplątanym, udowadniając samobójstwo, byłoby raczej kłopotliwe. Nikomu nie powiem. Nie postąpię tak nieczule, żeby taką młodą i piękną, do tego zdolną japonistkę posadzono na ławie oskarżonych.Ale odpowiedz mi tylko na następne pytania. W przeciwnym razie – pchnę.

Przesunąłem powoli czubek ostrza z jej piersi pod gardło.

– Dlaczego popełniłaś takie zawiłe morderstwo, jakim jest pozorowanie harakiri? Jeśli chce się pozorować samobójstwo, są przecież prostsze sposoby. I jaki związek ma z tobą sprawa kradzieży pieniędzy? Jeżeli byłabyś bezpośrednio zamieszana w kradzież, to nie miałabyś powodu pić z nim i z przyjaciółmi w knajpie o przypuszczalnym czasie, żeby dostarczyć mu alibi. Powinnaś raczej aktywnie działać, aby podważyć jego alibi. Dlaczego?

Zamknęła oczy, jakby się przygotowywała. Przez pewną chwilę wahała się, ale głęboko westchnąwszy wreszcie przemówiła.

– Sprawa kradzieży ze mną nie ma żadnego związku! Ja tylko... Wykorzystałam tylko tę sprawę...

– Dlaczego więc zabiłaś Teruhiko?

– ...

Liz ponownie zamknęła usta i nie usiłowała powiedzieć nic więcej. Poczułem, że ta nieoczekiwana odpowiedź obaliła część mojej teorii i znów przestałem rozumieć... Prawdopodobne było jednak to, że ona go zamordowała. Przecież powiedziała „wykorzystałam". Czyżby więc między Teruhiko i Liz zaistniała niezrozumiała dla kogoś trzeciego, prowadząca ją aż do zamiaru popełnienia zabójstwa, plątanina uczuć, albo też jakaś sprzeczka, niezgoda? Liz potrafiła – jak się zdaje – pokochać produkty kultury Wschodu. Czy nie była w stanie pokochać serca człowieka Wschodu? Czy ostatecznie Wschód i Zachód nie mogły ze sobą współistnieć? A może to nie więcej, niż po prostu problem mężczyzny i kobiety? Tak czy owak, to nie jest już z pewnością sprawą, w którą musiałbym wchodzić.

Odwróciła głowę i pokazała pełen gracji, jak rzeźba, profil. Elegancka, ostro zarysowana linia nosa oraz okolone jaskrawoczerwoną szminką wargi tworzyły zmysłowy kontrast. Wyglądało to jak erotyczna pułapka dla mężczyzny, jak urocza zasadzka. Albo słupek wspaniałej tropikalnej rośliny owadożernej.Mój nos znów poczuł mocne perfumy. Zapachniały wspaniale, tak samo jak te, którymi perfumowała się senegalska prostytutka Louise. Zwykła powierzchowność, ale wspaniale okraszona przesłodko pobudza zmysłowość. Nagle ogarnęło mnie podniecenie, poczułem gwałtowne pulsowanie ciała. Zamierzałem właśnie dzisiejszej nocy ulec truciźnie Liz. Zauważyłem, że dla mnie ta kobieta stała się tym, co kryło się w zdobionym macicą perłową sztylecie. Wyglądała tak pięknie, że aż budziła strach. Począwszy od gładkich, białych

niczym satyna policzków, kark Liz czerwieniał w podnieceniu i nieprawdopodobnie prężył się na całej powierzchni. Czułem, że ta gra zmysłów za chwilę znajdzie swój finał.

Chwyciłem kołnierz bluzki Liz i jednym cięciem rozciąłem ją sztyletem od piersi w dół. Białe, naturalne, pełne piersi odskoczyły od siebie. Uniósł się z nich zapach kobiecości. Jeszcze bardziej poczułem nasilanie się pożądania i mimo woli przykryłem jej usta swoimi. Nie opierała się. Raczej jakby wyczekiwała tego momentu, śmiało okręciła język. W pierwszej chwili wycofałem się z powodu tej niespodziewanej reakcji. Gdy jednak przenieśliśmy się do jej sypialni, zerwałem z niej ubranie. Ciało, którego istotę stanowiła biel, w przyciemnionym świetle lśniło jeszcze bardziej podniecająco. Rozebrałem się i rozłożyłem swoje ciało na obfitej, białej rozciągłości od jej bioder aż po brzuch. Moje „to" było na jej wzgórku łonowym. Pełzając to w górę to w dół, ocierałem się o jej ciało. Moje „wszystko" szczelnie przylgnęło do miękkiej, niczym zmoczony jedwab, skóry. Pogrążyłem twarz w dolinie gładkich piersi Liz. Pomyślałem, że do tej białej, aż do złudzenia przypominającej śnieg, skóry najbardziej pasowałaby czerwona krew. Odniosłem wrażenie, że można pojąć, dlaczego krew Teruhiko została rozlana na śnieg. Nagle pokierowany impulsem, chciałem rozciąć miękką skórę Liz. Zdziwiłem się tej żądzy. Poczułem się jak Kuba Rozpruwacz. Zwątpiłem nawet, czy sam jestem normalny. Zrozumiałem jednak, że stale odczuwałem to pożądanie, ale do tej pory aż tak silnie nie dopuszczałem tego do świadomości. Prawdopodobnie wszyscy ludzie miewają podobne skłonności. Różnica polega tylko na tym, czy zrealizują je, czy też nie. Ale z powodu tej skóry, która przylgnęła do moich dłoni, te ciemne uczucia i myśli w końcu przezwyciężyły rozum. W prostej linii lekko rozciąłem sztyletem białą skórę jej obu pagórków. Wydała z siebie nieprzyzwoity okrzyk, wyprężyła ciało i spojrzała szeroko otworzywszy oczy. Ale jej wzrok bynajmniej nie wyrażał gniewu. Wypłynęła krew. Pomyślałem, że to piękny kolor. Czubkiem ostrza wytarłem krew i podsunąłem jej przed oczy. Liz wbiła się oczami w splamiony krwią sztylet z macicą perłową. W niebieskich jak lazuryt źrenicach w jednej chwili mignął okrutny, szary błysk. Rozpoznałem w nim pewnego rodzaju okropny zamęt ducha. Ta kobieta też jest szalona. To zabiło Teruhiko.

Wychodząc na przeciw cichej nocy, która została pozbawiona ram czasu, urządzaliśmy wszelkie możliwe, bezbożne szaleństwa. Wytrwale oplątywaliśmy się ciałami, wielokrotnie byliśmy wzajemnie zatopieni w swoich skórach, zajmowaliśmy się z entuzjazmem rozniecaniem pożądania i bez wytchnienia powtarzaliśmy szalone zabawy. Zamierzając w pełni zasmakować cielesnych przyjemności, wszedłem w królestwo śluzu i być może brutalnie przekroczyłem chorobliwą linię zboczenia splamionego krwią. W nienormalnym podnieceniu moje ciało do głębi wstrząsane dreszczami i przyprawiane o częste zawroty głowy kurczyło się jak w gorączce. Na koniec Liz odchyliła głowę i naprężając białą, piękną szyję osiągnęła szczytowy punkt. Niebawem żądza, która prawie zaczynała tracić równowagę, stała się wyczerpanym ze zmęczenia ciałem, odzyskała spokój i czystość. Nasze ciała zaczął ogarniać prosty, pełny, nieskazitelny spokój. Uczyniłem z ramienia poduszkę dla Liz i przyglądałem się sufitowi. W pokoju panowała idealna cisza, być może dlatego, że hałas ulicy pochłaniany był przez sypiący za oknem śnieg.

Po jakimś czasie Liz uniosła się. Zamierzając doprowadzić do ładu potargane, żywe, rude włosy, potrząsnęła głową i rozczesała je palcami obu rąk. Potem poprosiła mnie o szklankę wody. Ponieważ ja także odczuwałem silne pragnienie, przyniosłem z kuchni dwie szklanki, dla niej i dla siebie. Nie wiadomo dlaczego, zawstydziliśmy się jak dzieci, których psoty zostały odkryte; usiedliśmy, opierając się plecami o siebie. Za każdym razem, gdy wypijała łyk wody, odczuwałem to całym ciałem.

– Liz, kto właściwie ukradł tamtą ofiarę pieniężną?

– ...

– Może jeden z kolegów z grupy? Uprzednio wszystko zaplanował i wziąwszy włos Teruhiko położył go obok sejfu. Ale chociaż to taka sama instytucja religijna, to w japońskim buddyzmie byłoby to niemożliwe. A to dlatego, że wszyscy mnisi mają ogolone głowy.

Skręcając się ze śmiechu, toczyliśmy się po *futonie*. Jeszcze przez jakiś czas śmiała się aż do łez, aż wreszcie, aby nie pozwolić mi żartować, powstrzymała moje wargi palcem wskazującym i sama przejęła inicjatywę. Przesuwała usta po moim ciele od szyi przez piersi, brzuch do ud. Potem wzięła do ust moje „to", pieściła językiem i podniebieniem i od czasu do czasu lekko gryzła. W mojej dolnej części ciała czerwone, gęste włosy kołysały się w górę i w dół, w lewo, w prawo i na skos. Jej wargi pieściły mnie na przemian to wolno, to szybko, to płytko, to głęboko, a niekiedy długo krążyły nad żołędzią. Gdy byłem już blisko, nagle powiedziała, że jest śpiąca. Uniosła głowę a po chwili położyła się obok mnie i natychmiast zapadła w głęboki sen. Zdaje się, że lekarstwo zaczęło działać.

Przed chwilą, gdy zostałem poproszony o wodę, włożyłem do jej szklanki podwójną dawkę swojego środka nasennego, który zawsze mam przy sobie w czasie podróży. Nie obudzi się prawdopodobnie aż do jutrzejszego popołudnia. Niemniej jednak zaniepokoił mnie ten zdobiony macicą perłową sztylet. Na wszelki wypadek wolałem zachować ostrożność i schowałem go w kącie półki na książki. Zanim Liz go znajdzie, minie trochę czasu. Wydało mi się, że wreszcie będę mógł spać spokojnie. Jutro wczesnym rankiem, gdy ona będzie jeszcze spała, chciałbym stąd wyjechać. A może za bardzo się pilnuję. Ale czyż nie jest podejrzane, że przysłała mi telegram dwa miesiące po śmierci Teruhiko? Zwłaszcza, że nie byłem ich przyjacielem. To niepojęte... Nie jestem aż tak dobrym mężczyzną, żebym rozkochał w sobie obcą kobietę, spotykając się z nią zaledwie kilka razy. Przestępstwa seksualne są często powtarzane. Nie ma to jak być ostrożnym.

Włożyłem prawe ramię pod głowę śpiącej Liz i znowu uczyniłem z niego poduszkę dla niej. Jej słodki oddech muskał mój prawy policzek. Pomyślałem, że jest piękną kobietą. Jej uroda przypomina ozdoby z macicy perłowej, jest mieszaniną blasku, wspaniałości, błękitu, czerwieni, bieli. Ale ona i miecz?... To niebezpiecznie odmienne a jednocześnie zbyt piękne. Jeśli ktoś natknąłby się na takie piękno, musiałby cierpliwie wyrabiać w sobie odporność i wytrzymałość albo po prostu oderwać oczy. W przeciwnym razie doszedłby do szaleństwa. Raden... Liz powinna była na tym poprzestać...

KONIEC

Z japońskiego przełożył MARIUSZ ŁATA

MIŁOŚĆ I ASCEZA

ZEMSTA

Pechowy kandydat na maturzystę (myślę, oczywiście, o maturze przedwojennej!) mógłby oblać egzamin dojrzałości, gdyby okazało się, że nic nie wie ani o Arymanie, ani o jego zemście. *Aryman mści się* – tę nowelkę Żeromskiego czytało się jednym tchem. (I z wypiekami na twarzy). Oto chłopcu, wychowanemu z woli ojca w pustelni, w całkowitym odosobnieniu, z dala od świata, i to w taki sposób, ażeby nigdy nie usłyszał o kobiecie ani nie zobaczył kobiety, zaczynają śnić się po nocach jakieś dziwne zjawy ludzkie. Niby podobne do mężczyzn, ale jakże od nich różne!... Wyciągają do chłopca ręce, żądają, aby do nich przyszedł... Nie, to nie sen, to rzeczywistość – tak stają się natrętne. On od nich uciekł, ale one przyszły do niego.

Zważyłem dokładnie – powiedział kiedyś 38-letni Balzac Dumasowisynowi pod arkadami Palais Royal – *Zważyłem dokładnie, ile nasz umysł traci przez jedną noc miłości. Słuchaj uważnie młodzieńcze: pół tomu. Nie ma kobiety, której warto oddać dwa tomy rocznie.*

Wróćmy jednak do Arymana.

Zmysłowość poskromiona

Nie da się dokładnie określić czasu, w jakim żył Zaratusztra, prorok i reformator religijny, twórca irańskiego dualizmu, a pośrednio inspirator wielu doniosłych przeobrażeń w bliskowschodnich wierzeniach i wyobrażeniach religijnych. Prawdopodobnie Zaratustra (Zoroaster) żył gdzieś pomiędzy piątym a dziesiątym stuleciem p.n.e. Znaczenie jego reformy religijnej dawno już wykroczyło poza granice Iranu. Zoroastryzm przecież – to nie tylko ostro zarysowany dualizm Dobra i Zła. To także oryginalna eschatologia (doktryna o rzeczach ostatecznych), angelologia, demonologia i pneumatologia, a więc świat duchów czystych i nieczystych. To etyka religijna, w której problem erotyzmu i ascezy odgrywa pierwszoplanową rolę.

Świętą księgą zoroastryzmu jest *Awesta*. Opowiada ona o odwiecznej walce Ormazda z Arymanem. Ormazd jest dobry, Aryman zły, i wyznawca zoroastryzmu służyć powinien Ahura Mazdzie (Ormazdowi), stwórcy nieba i ziemi, Białemu Panu Gathy. Pamiętać jednak należy, iż siły obu tych bogów są niemal równorzędne. Chyba że przyjmie się kult Czasu (Zerwana), z którego wywodzić by się mieli obaj bogowie. Tak wierzą zerwaniści.

W stanowiącym część składową *Awesty* „Prawie przeciwko złym duchom" (*Vendidad*) znaleźć można proste, dosadne sformułowania dotyczące obowiązków męża i żony. *Kto ziemię tę uprawia, o Spitama Zaratusztra, lewą ręką i prawą, prawą ręką i lewą, ten daje jej dar zupełnie tak samo, jak ukochany mąż ukochanej żonie, spoczywając na posłanym łożu daje syna lub podarek... Albowiem nierada jest ziemia, która długo leży odłogiem i która powinna być zaorana przez rolnika, ziemia która pragnie dobrej roboty od swych mieszkańców, podobnie jak piękna kobieta, która długo bez dzieci chodzi i dlatego dobrej roboty od swego męża pragnie* (przekład Stanisława Łypacewicza).

Sam Zaratusztra ma się zresztą pojawić na świecie jako nowy prorok po upływie tysiąca lat, gdy ogólne i moralne położenie świata stanie się tak złe, że będzie już nie do zniesienia. Jego duchowa istota, przebywająca wciąż w niewidzialnym świecie, czuwa nad tym i wcieli się również w postać Saoszianta (Pomocnika), ostatniego ze zbawicieli, który spowoduje zmartwychwstanie zmarłych. Dlatego nasienie Zaratusztry przechowywane jest w wodach czystego jeziora. W odpowiedniej chwili przedostanie się ono do ciała czystej dziewicy, która będzie się w nim kąpała. W ten sposób Zaratusztra pojawiać ma się co pewien czas na świecie widzialnym.

W ogóle etyka zoroastryjska pochwala wielodzietność, a surowe przepisy nakazują, aby temu właśnie celowi służyły wszelkie stosunki pomiędzy płciami. Odrzuca natomiast bezżenność, umartwienia i ascezę.

Brzydka dziewczyna

A jednak zoroastryzm nie idealizuje ani kobiety, ani życia erotycznego. Kiedy dusza zmarłego wstępuje po śmierci na most Czinwat, aby przedostać się do „tamtego świata", spotyka na środku mostu szpetną postać dziewczęcą. Zastępuje ona zmarłemu drogę. „Kim jesteś – pyta przerażony i zdjęty wstrętem zmarły – Kim jesteś, tak brzydka, jak tylko można to sobie wyobrazić, i dlaczego zastąpiłaś mi drogę?" „Jestem sumą twych złych uczynków – odpowiada brzydka dziewczyna – Byłam wprawdzie zawsze brzydka, ale twoje postępki uczyniły mnie jeszcze brzydszą. A teraz runiemy razem w przepaść!"

Można wprawdzie spotkać na moście i piękną dziewczynę, jeżeli żyło się sprawiedliwie, dziewczynę, która przeprowadzi zmarłego bezpiecznie na Drugi Brzeg, ale któż jest na pewno tym sprawiedliwym?

Z zoroastryzmu, z dualizmu zoroastryjskiego wyrósł m.in. manicheizm, w którym za źródło wszelkiego zła, degeneracji i stale pogarszającego się oblicza świata uznano materię, cielesność, zmysłowość, życie płciowe oraz... rozmnażanie się i przyrost naturalny. Dlatego manicheizm zaleca wstrzemięźliwość płciową, bezdzietność i ascezę. Wiele wątków zoroastryjskich przeniknęło również do islamu odmiany szyickiej. „Nasz islam jest inny" – stwierdzają dzisiejsi mieszkańcy Iranu, wskazując z wyraźną dumą na ślady dawnych „wież milczenia", kultu ognia i inne pamiątki po religii proroka Zaratusztry. Zresztą wyznawcy zoroastryzmu, tej jednej z najstarszych religii starożytnych, żyją jeszcze (choć w niewielkich grupach) w Iranie i w Indiach, gdzie nazywa się ich parsami, a ich religię parsizmem. W XIX i XX wieku wielu intelektualistów w Europie i w Ameryce odkryło zoroastryzm i uległo fascynacji postacią Zaratusztry. W Niemczech najlepszym tego przykładem był Fryderyk Nietzsche, u nas zaś Stefan Grabiński.

Niewolnice Smoka

Jednym z najważniejszych i najstarszych obrzędów liturgicznych w zoroastryzmie był noworoczny ceremoniał „zabijania Smoka". Smok ów

ARYMANA

(Aži Dahaka) panował nad całą krainą, zatrzymywał deszcz i powodował długotrwałą suszę. Zabił go jednak wraz z Tisztrją, demonem suszy, heros imieniem Feridun (Thraetaona). Dla uczczenia tego doniosłego legendarnego wydarzenia organizowano corocznie uroczystości, polegające m.in. na świętych zaślubinach (hieros gamos) herosa z kobietami, które były przez Smoka więzione.

Zoroastryjczycy jako ,,czciciele ognia'' nadawali licznym obrzędom ogniowym moc zarówno oczyszczającą, jak i odradzającą czy odnawiającą życie. Młodzi mężczyźni, zwłaszcza rycerze, należeli do licznych tajnych związków, w których praktykowano różne własne obrzędy. Niektóre z tych obrzędów wiązały się najwyraźniej z kultem fallicznym i miały podkład erotyczno-seksualny.

Pierwszym człowiekiem stworzonym przez Ahura Mazdę (Ormazda) miał być, wedle wierzeń zoroastryjskich, Gajomart. To przeciwko niemu spiskował zły Aryman. Z ciała tego pięknego i wiecznie młodego praojca ludzkości powstały wskutek knowań Arymana metale. Jednakże sperma Gajomarta kryła w sobie Armaiti, czyli ziemię. Wyrosły z niej – wbrew woli Arymana – dwa krzewy: Maszja i Maszjanah. Byli to pierwsi ludzie. Pamięć o Praczłowieku pozostała jednak nadal żywa.

Według innego przekazu, świat niewidzialny zmaterializował się i istniał w stanie doskonałości pod rządami Praczłowieka oraz Prabyka (prototypu świata zwierzęcego), dopóki Aryman (Angra Mainju) nie przedostał się na świat. Zabił wówczas Praczłowieka i Prabyka, a stworzone przezeń demony rozeszły się po całej ziemi. Z nasienia Praczłowieka powstała jednak pierwsza para ludzi, a z nasienia Prabyka – bydło. Dobro i Zło przemieszały się z sobą. Dopiero przyjście na świat Soaszianta przyniesie oddzielenie, a w konsekwencji i zniszczenie wszelkiego zła. Tym, co oczyści i uszlachetni świat, ma być ognisty strumień metalu, żar ,,świętego ognia''...

Kto w końcu silniejszy?

Wiara w istnienie dwóch silnych bogów (dualizm) okazuje się więc na dłuższą metę trudna do utrzymania. Któryś z nich musi w końcu okazać się silniejszy. Ormazd pokona kiedyś Arymana. Tę ,,piętę Achillesową'' dualizmu manichejskiego zaatakował w swych polemicznych pismach św. Augustyn, biskup Hippony, wskazując na nierównorzędność dobra i zła, w sensie rodowodowym. Jedynie Bóg – twierdził Augustyn – był Twórcą wszystkiego. Wszystko, co Bóg stworzył, było dobre. Zło stanowi ,,brak dobra'', nie posiada zaś wartości samoistnej. Ów ,,brak dobra'' powstał w rezultacie sprzeciwu, buntu przeciwko Bogu. Zło nie było zatem odwieczne i kiedyś nadejdzie jego kres.

Co począć jednak z ,,dualizmem'' erotyki i ascezy? Uległ on niesamowitemu wyostrzeniu w różnych kulturach, religiach i relacjach cywilizacyjnych. Wspomniany już w poprzednim odcinku przykład Orygenesa, który dokonał na sobie aktu samokastracji, nie był wypadkiem odosobnionym. W XIX wieku w Rosji pojawiła się wyrosła na glebie prawosławia sekta ,,skopców'' (kastratów), do której należeli głównie bogaci kupcy i wyżsi urzędnicy. Warunkiem przyjęcia była oczywiście kastracja. Stając się eunuchami, ,,skopcy'' nie wyrzekali się erotyki całkowicie. Stan podniecenia seksualnego, w jaki od czasu do czasu popadali (bez możliwości zaspokojenia popędu płciowego w sposób naturalny), sprawiał, że wielu z nich to sobie właśnie najwyżej ceniło. Formalnie jednak przyjmowano pogląd o ,,diabelskim'' pochodzeniu wszelkich przejawów zmysłowości i chciano się tych ,,chuci diabelskich'', tej pożądliwości cielesnej raz na zawsze radykalnie pozbyć.

Nie da się również ukryć, że ascetami – niezależnie od niezaprzeczalnych walorów ćwiczeń ascetycznych, ich pozytywnego wpływu na rozwój duchowy człowieka – byli w niektórych przypadkach masochiści, a nawet... erotomani (!).

Między umartwieniem a lubieżnością

A może po prostu jedna skrajność pociąga za sobą drugą? Może żądza umartwiania się bierze się z przesytu i z nadmiernego ulegania cielesnym żądzom? Może seksualna asceza i erotomania są w istocie dwiema stronami jednego i tego samego medalu?

Tak twierdzić mogą ,,umiarkowani'', czyli zwolennicy ,,równowagi i umiaru'' w zaspokajaniu naturalnego popędu seksualnego człowieka. Należał do nich chyba i Marcin Luter, który w jednej ze swych *Gadek przy stole* (*Tischreden*) wypowiedział ową niezrównaną sentencję: *Gdy dwakroć w tygodniu tej sztuki dokona, zadowolony mąż, zadowolona i żona*... Cóż to jednak znaczy ,,umiar'', w sprawach, gdzie właśnie brak wszelkiego umiaru wydaje się najistotniejszy!

Symbolem zoroastryzmu jest uskrzydlony człowiek. Przekonanie, że pełnia życia erotycznego koliduje z ,,uskrzydleniem'' człowieka i że zmysłowość kłóci się z duchowością, oraz że paraliżuje jej rozwój, jest jednak późniejsze niż zoroastryzm. W dualizmie zoroastryjskim widać co najwyżej jego zalążek (,,in statu nascendi''). Rozdwojenia tego nie ma również w islamie. Przenosi się tam nawet rozkosze życia ziemskiego w zaświaty, obiecując mieszkańcom raju Mahometa obcowanie z czarnookimi, nigdy nie starzejącymi się wiecznymi dziewicami-hurysami. Igraszki miłosne hinduistycznego boga Kryszny, otoczonego przez rój pięknych pasterek, zdają się również dowodzić, że zmysłowość i erotyka nie muszą tak bardzo szkodzić... filozofowaniu i medytowaniu!

Nie dezawuuje to jednak doniosłości spostrzeżeń autora *Komedii ludzkiej* ani doświadczeń dawnych i współczesnych zwolenników ascezy. Nie wszyscy oni w końcu – jak utrzymują złośliwcy – byli zwykłymi impotentami. Warto im więc poświęcić jeszcze uwagę.

ANDRZEJ TOKARCZYK

VERNON SULLIVAN / BORIS VIAN

One nie mają pojęcia

Rozdział siedemnasty

Kwadrans, to nie za wiele, by wyszczególnić rozliczne wdzięki tej uroczej Sally, więc mam czas jedynie, by jej zaprezentować tylko próbkę tego, co potrafię. Bez najmniejszej wątpliwości ma niezłe warunki i nadaje się do dalszej hodowli. Skórę ma delikatną i umie całować, co do reszty, to widać, że brak jej praktyki, lecz chętnie się wszystkiemu poddaje... zresztą niewiele czynię... dopiero zbieram informacje. Jednak, mimo zmęczenia, po dziesięciu minutach zdążyłem się zdenerwować, lecz ona przewraca mnie na plecy i wślizguje się na mnie.

– Mój morderco... – szepcze. – Mój morderco kochany.. zadaj mi ból... ugryź mnie..

– Och! do psa starego – odpieram. – Nikogo nie zabiłem.

Chyba walę ze zbyt grubej rury... wpada mi do głowy, że może przez to prysnąć czar, lecz siadam, przekładam ją przez kolano i spuszczam jej niezłe manto. Trzepocze się jak węgorz, udaje jej się wyrwać i ponownie przewrócić mnie na plecy i znów na mnie wskakuje. Spoglądam na zegarek. Najwyżej trzy minuty.

Miota się, urocza radocha. Ta dziecina jest pełna zapału.

– Uduś mnie... – woła. – Zadaj mi ból.

Na dłuższą metę wywiera to na mnie efekt wprost przeciwny do zamierzonego... Opuszczam pole walki, co ona dostrzega i robi dziwną minę.

– Nie podobam ci się? – pyta.

– Gdybyś się zamknęła – odpowiadam – to może by do czegoś doszło, lecz te twoje popaprane przynudzanki wcale mnie nie inspirują.

– Och!... – odpiera... – Francis... zabij mnie... Jestem zbyt nieszczęśliwa.. Zabij mnie tak, jak zabiłeś tego Chińczyka.

Odsuwam ją od siebie i wstaję.

– Widzę, że potrzebny ci jest prawdziwy twardziel, kawał sukinsyna, żeby ci wlał i jeszcze na dokładkę uczęstował jakąś solidną chorobą. Wtedy dopiero byłoby fajnie.

W tym czasie ponownie się ubieram... w damskie ciuchy, oczywiście. Mam już pięć minut spóźnienia i mam nadzieję, że Ritchie nie będzie się niepokoił znalazłszy ,,Kane Juniora'' i nikogo w środku.

– Francis – dziewczyna szepcze nieśmiało.

Idę do okna i spoglądam na kanał. Podpływa jakaś łódź i zatrzymuje się. To prawdopodobnie Ritchie. Muszę spadać.

– Zostań tu – mówię do Sally – i zaczekaj aż wrócę. Wtedy wszystko sobie wyjaśnimy.

– Wrócisz? – pyta.

Milusia jest ta idiotka. Podchodzę do łóżka i całuję ją w oba policzki, jak brat. Ma mordkę dziewczynki, która zrobiła głupstwo i nie chce płakać, lecz by się ukarać sama idzie do kąta.

– Żabciu – mówię – naprawdę mi się spieszy, a w ten sposób nic dobrego zrobić nie można. Zaczekaj tu grzecznie, a ja za godzinę wrócę.

– Naprawdę? – pyta.

– Słowo – odpowiadam.

I spadam.

Po wyjściu na taras galopuję aż do pomostu. To Ritchie. Zatrzymał się przy ,,Kane Juniorze'' i lekko zdziwiony przygląda się poduszkom.

Wskakuję do środka, odczepiam linkę i w pięć sekund opowiadam mu o wszystkim, w tym także o facecie w boksie i o laniu, jakie sobie zafundowaliśmy.

Ritchie'emu to wszystko się nie podoba.

– Nic już nie rozumiem – wyznaje. – Ale mam truposza, jest przebrany i ucharakteryzowany, mam także w rezerwie pół litra krwi, żeby pokropić łódź.

Och! od tych wszystkich historii żołądek wędruje mi do gardła.

– Ritchie – mówię – niezły zawód sobie wybrałeś.

Protestuje gwałtownie.
– Powiedz no, kto się wpieprzył w te paskudną historię? – pyta. – Ty czy ja?
W czasie dyskusji płyniemy burta w burtę w stronę domu jego kumpla. Jest to mniej więcej o milę drogi, warsztat naprawczy dla łodzi znajduje się nad samą wodą i można do niego wprowadzić ,,Kane Juniora'' prawie w całości. W ten sposób nikt wiele nie zobaczy.
Przywiązuję ,,Kane'a'' do pierścienia i wyskakuję na beton. Patrzę, w garażu jest oszklone okno, a buick Ritchie'ego stoi na zewnątrz.
– Ty go... hm... przywiozłeś w tym? – pytam.
– Owszem – odpowiada Ritchie. – Jeszcze tam jest. Weź go i przynieś.
Idę. To nieodpowiednia chwila, żeby pękać. Jest to wielki wór ze sztywnego płótna, coś jak wojskowa torba na ubranie.
Ciężki bydlak. Udaje mi się zawlec go aż do łodzi.
– Zdejmij wór – mówi Ritchie.
– Chętnie – odpieram – ale wolałbym nie patrzeć.
– Masz fart – mówi Ritchie. – Jest trochę do ciebie podobny i młody.
– Na co umarł? – pytam.
– Wylew krwi do mózgu – odpowiada Ritchie. – Ale z pestką, jaką zapakujemy mu do łba, nikt się nie domyśli.
Przełykam z trudem ślinę.
– Hm... – mówię. – Zrobisz to, co, Ritchie?
Patrzę na niego jak się szczerzy. Wyciągam gościa z wora. Odwracam głowę, po czym w porę uciekam, przebiegam przez drzwi i wymiotuję oparty o ścianę garażu.
Wracam na drżących nogach.
– To zasrańcy, jak mogli coś takiego zrobić staremu Wu Changowi – mówię.
Dodaje mi to odwagi. Trzeba jednak wyrolować tę bandę świń.
Wyciągam olbrzyma z kufra łodzi i ładuję go.
– Podaj mi to – mówi Ritchie.
– Dobra – mówię – już mi przeszło. Jestem gotów.
Pokazuje mi kierunek.
– Strzelaj tam... – mówi. – W tę stronę. Zaczekaj!
Bierze kawałek brezentu, walający się po kufrze i przykrywa twarz faceta. Sadza go na siedzeniu łodzi.
– Dobrze by było, żeby nas nie opryskało – mówi. – Teraz wal. Przez to.
Podaje mi stary szalik. Pojmuję i owijam nim spluwę, żeby zagłuszyć hałas. Wsadzam, tak jak mi kazał, lufę między zęby nieboszczyka. Naciskam.
Słychać stłumiony huk i odskakuje mi ramię. Ritchie zdejmuje swój kawałek materiału. Ja nie patrzę.
– Spal szalik – mówi. – Przy pomocy benzyny.
Zajmuje się tym w jakimś kącie i słyszę gulgul opróżniającej się flaszki. Pewnie Ritchie wygładza mu makijaż.
– Teraz – mówi – weź notes i napisz, że masz tego dość i, że wolisz skończyć w taki sposób.
Wykonuję posłusznie. Wszystko robię machinalnie. Szalik wreszcie się zapala kopcącym płomieniem, wydzielając przy tym smród palącej się wełny, prawie nieznośny.
Skończywszy pisać mówię do Ritchie'ego:
– Co pomyślą rodzice?
Studzi go to znacznie.
– Nic nie szkodzi – mówi – już za dwa dni będzie po wszystkim.
– Optymista z ciebie – stwierdzam.
Potrząsa mną i podaje piersiówkę.
– Posłuchaj Francis. Jesteś cykor. Łyknij i weź się w kupę. Bo w końcu nawet mnie zdemoralizujesz. To jak, wisi ci co stanie się z Gayą? I z całą tą resztą narkomanów, znajdujących się w podobnej sytuacji, co ona? Zniesmaczasz mnie. Przyznaję, że narobiliśmy bzdur, ale co chcesz, przecież nie można przez cały czas kręcić młynków, kiedy te łajdaki robią bezkarnie swoje świństwa. Ja myślę, że tamten wujek leży w łodzi i, że im dłużej tu pozostajemy, tym mniej jest to zdrowe.
– Naprzód – mówię. – Spójrz za siebie i jeśli jest czysto, wyciągamy ,,Kane juniora'' i puszczamy go z prądem.
Tak też czynimy. Wsiadamy do drugiej łodzi, ciągniemy ,,Kane'a'' na środek kanału, pozostawiając na przedzie opuszczoną plandekę .. tak jest lepiej. Później puszczamy wszystko i szybko wracamy. Cumujemy łódź na miejscu, zamykamy drzwi garażu i zmykamy. Buick stoi nadal.
– Wiesz dokąd jedziemy? – pytam Ritchie'ego.
– Do Louise? – pyta.
– Do Louise – odpowiadam. – Trzeba zbadać co tam biega.

Rozdział osiemnasty

Prawdę mówiąc, kompletnie zapomniałem o Sally, i prawdopodobnie tak jest lepiej, bo mam teraz co innego do roboty. Pędzimy możliwie jak najszybciej, jednak nie tak szybko, by dać się złapać gliniarzom, bo to byłoby niezdrowe. Zawsze ci gliniarze. Nigdy tyle o nich nie myślałem, co od chwili, kiedy sam zabawiam się w gliniarza.
Buick sunie pośród natury.
Przypominam sobie piersiówkę z whisky, którą Ritchie podał mi przed chwilą i proszę go o nią.
– Och... Ritchie... daj się napić.
– Źle robisz – odpiera.
I podaje mi butekę.
– Nie – odpowiadam.
Pociągam solidny łyk.
– Muszę sobie podbudować morale – dorzucam. – Nie czuję się zbyt dobrze, a poza tym nie mam najmniejszego pomysłu, w jaki sposób będziemy tam działać.
– Zobaczy się – mówi Ritchie.
– Wiesz co nam powiedziała Donna – przypominam mu. – Jeśli Louise Walcott nas capnie, to ciachnie nam wszystko.
– Wisi mi to – odpiera Ritchie. – Na mnie połamie sobie wszystkie brzytwy.
– No, no – odpowiadam – to ładnie się chwalić, ale chyba jednak trochę przesadzasz.
– Wała – mówi Ritchie.
– Chuchnij w moją stronę.
Chucha, a ja spostrzegam, że ten łajdak sam cuchnie whisky na cały regulator. Chyba naprawdę musiałem mieć cykora, że nie zauważyłem tego przed chwilą.
– Nachlałeś się – mówię.
– Ależ skąd – odpowiada Ritchie. – Spójrz. Jadę całkiem prosto.
Patrzę na drogę, akurat mamy solidny zakręt.
– Może nie tutaj – mówię. – Zaczekaj Ritchie, aż będzie trochę dalej.
Przyspiesza.
– Jak na filmach gangsterskich – mówi. – Posłuchaj opon.
Słychać bzzzzuii... Jeśli wiecie co mam na myśli.
– A twoje gumy są chociaż w dobrym stanie? – pytam.
– Nie wiem, nigdy się nimi nie zajmuję.
– Skręć w prawo.
Właśnie wjechaliśmy na Potomac Road i tam właśnie polecimy. Prosto aż do Falls Road. prosto – to tylko tak się mówi – bo do Falls droga wznosi się i wykręca.
– Teraz możesz przycisnąć – mówię. – Nie będzie więcej przedstawicieli prawa.
Jedziemy i jedziemy. Jest jakieś dziesięć mil do zrobienia. W tym tempie to kwestia kwadransa.
Nawet nie. Dwanaście minut. Już tędy przejeżdżaliśmy... to mi przypomina pewną dziewczynę na skraju drogi..
Dokładnie w tej chwili myślę o małej Sally.

– Ritchie – mówię. – Znasz Sally, z Klubu? Mała siedemnastka?
– Owszem – odpiera. – Na tyle wygląda.
– Znasz ją dobrze? – pytam.
– Och! – odpowiada – przeleciałem ją, tak jak i kumple.
– Ach! – mówię nieco ostudzony – wszyscy jej używają?
– Niekoniecznie – mówi Ritchie. – Ma swoich wybrańców.
– To tak się tylko mówi – odpieram. – Myślisz, że długo będzie czekała? Powiedziałem jej, że wrócę za godzinę.
– Och! Pośpi sobie – odpowiada Ritchie. – Już jest późno.
Faktem jest, że z tego wszystkiego zrobiło się już wpół do piątej, ale w lipcu trudno powiedzieć, że to późna pora.
– Ritchie, nie pojedziemy tam natychmiast. Najpierw trzeba odpocząć – proponuję.
– Jesteś głąb – mówi Ritchie. – Pękasz.
– O matko!
Czuję się jak biedny, mały maminsynek.
– Więc przyciskaj, świnio – podsumowuję.
Już jest Falls Road i zamiast nią pojechać skręcamy w lewo.
A Ritchie przyciska, ale niezbyt długo, bo ktoś mógłby powiedzieć, że naprawdę coś podjeżdża. Przystaje na skraju drogi. Trzysta metrów przed nami stoi wielki, biały budynek, którego dach widać poprzez drzewa. Niewątpliwie wiązy.
Ritchie patrzy i mówi:
– Nie da rady nic zrobić. Za widno.
– Pękasz – stwierdzam.
– Akurat – odpowiada. – Odpoczniemy i ruszamy. Dobrze nam to zrobi.
– Tam do licha! – mówię – mogłeś mnie ostrzec. Poszedłbym do Sally.
– To byłby błąd... – mówi Ritchie przyglądając mi się.
– Dlaczego? – pytam.
– Masz ochotę się leczyć? – mówi.
– Niech to szlag! Panienka, której dałoby się komunię bez spowiedzi.
Te myszki są niesłychane. Naprawdę, one nie mają pojęcia.
– Do licha – mówię do Ritchie'ego. – Uciekłem jej spod topora.
– Zawsze byłeś farciarzem – stwierdza. – Ostrzegam cię również, że wcale nie ma siedemnastu lat. Tylko dwadzieścia osiem. Chodź się zdrzemnąć.
Jestem zdruzgotany.
Ruszamy dalej. Przejeżdżamy obok domu, nie ma mowy o pomyłce, to jedyny w okolicy. Potem skręcamy w pierwszą drogę i ustawiamy buicka tak, by był gotów do wyruszenia we właściwym kierunku.
Rozkładamy się na plecach z ramionami skrzyżowanymi na karku.
Rośnie tam pełno drzew, a wieś jest piękna. Przyglądam się temu przez jakiś czas i nagle widzę faceta, który wychodzi nie wiadomo skąd. Ma śliwkę pod okiem, jest wysoki i napakowany. Rozpoznaję jego twarz. Jest nieco zapuchnięta. Gość ma garnitur z pasiastego brezentu.
– No, Francis – mówi. – Wrócimy na chwilę do zagadnienia... Należy mi się rewanż.
To mój G man. Patrzę na Ritchie'ego. Ani drgnie. Widzę, że drugi facet trzyma go na muszce prawdziwego, profesjonalnego zrównywacza, przyrządu, który ma kaliber przynajmniej pięć centymetrów.
Nic się nie da zrobić.
– Życzysz sobie demonstracji? – pytam.
Po czym robię zwód. Łapię go za ramię i facet frunie. Już drugi raz robię mu tego psikusa.
Tymczasem on posyła mi niezłego klapsa... Cóż... Trzeba przecierpieć. Wyrywam się. Są na to różne sposoby, na przykład dobrze umiejscowione atemi, którym można się zemścić.
Nie wyprowadzam ciosów z całej siły, on również nie... Nie jesteśmy dzikusami.
Zabawiamy się tak przez pięć minut i obaj jesteśmy nieźle spoceni.
– Gdybym nie miał tej kretyńskiej spódnicy – mówię – poszłoby to znacznie szybciej.
Tamten zatrzymuje się.
– Wystarczy – stwierdza. – A tak poza tym, czy ktoś ci kiedyś powiedział, że jesteś potrójnie złamanym ch...?
Stoję z rozdziawioną gębą. Tamten z tego korzysta i wali mnie w podbródek. Zwalam się, a on podnosi mnie z miłością.
– Byłem ci to winien, kochasiu – mówi. – Nie gniewam się wcale, ale byłem ci to winien. Prawdę mówiąc, powiadam ci to od razu... Chińczyk nie umarł.
Mówię z trudem, lecz pozwala mi to na użycie bardziej kwiecistego słownictwa.
– Wy, blacharze – mówię – jesteście bandą fałszywych patafianów. Ta wasza mania okładania lolami porządnych gości tak, że im śmiech kołkiem w gardle staje; jak na was patrzę, przewraca mi się w wątpiach.
– A tak przy okazji – pyta Ritchie – czy moglibyście nam powiedzieć, cóż takiego uczyniliśmy?
– To było między nami dwoma – odpowiada gliniarz.
Zbieram się w sobie – trochę symulowałem – teraz moja kolej. Prosto w żołądek. Zgina się wpół i dostaje w klipę kolanem.
– Jak na targu – powiadam. – Trzeba wyjść na swoje tak, czy inaczej.
Drugi gliniarz zaczyna rechotać.
Cóż, ci dwaj są nieźli. Pierwszy się podnosi. Czuje się marnie.
– Odpuszczam – mówi. – Wystarczy, Francis, jesteśmy kumplami.
Wyciera sobie łeb, należy mu się to, bo mam twarde kolana. I zaczynamy rozmawiać jak starzy kumple.
– Jak to się stało, że jesteście tutaj? – pytam.
– A wy? – odpowiada.
– Posłuchaj – mówię – przypuszczam, że jesteś federalny?
Przytakuje.
– Dobra – stwierdzam. – I nazywasz się Jack Carr?
Masuje sobie flaczory.
– Jack Carruthers – odpowiada.
Do licha, znam to nazwisko.
– Holender – mówię. – W takim razie, to jakaś grubsza afera.
Wygląda na mile połechtanego. Teraz ostrożnie maca sobie nos.
– Jest pełno gliniarzy dookoła domu – odpiera. – Wasza obecność została zasygnalizowana przez walkie-talkie.
– Nie aresztujesz mnie? – pytam.
Uśmiecha się.
– Zmartwiłoby to twojego ojca... chociaż tobie zrobiłoby dobrze... powtarzam raz jeszcze, że nic ci nie grozi... Chińczyk przemówił.
– A gazety? – pytam.
– Bałach – odpowiada. – Pułapka na niejaką Walcott.
Patrzę na Ritchie'ego.
– Widzisz – stwierdzam – mówiłem ci.
– Zbierajcie się, odwiedzimy Louise. Już jesteśmy na miejscu.
– Jak to? – pytam.
– Gaz łzawiący.
Udaje się w kierunku drogi.
– Chodź – mówi do Ritchie'ego.
– Pocę się od tego – odpowiada Ritchie. – Ja nie znam tej laluni. Idę się zdrzemnąć. Mam zaległości.
Wsiada do buicka, zanim ktokolwiek wykonał najmniej-

szy gest, by mu w tym przeszkodzić i przykleja się do kierownicy.

Wygląda, jakby mu to szło z trudem.

I nagle silnik warczy, a samochód rusza z kopyta.

Bang! Bang!... Bang!...

To Carruthers i drugi gliniarz strzelają do bryki, lecz ta skręciła już za rogiem. Patrzę na Carruthersa dławiącego się z wściekłości i nagle dostaję puckę w łeb.

Przed odfrunięciem mam jeszcze dość czasu, by stwierdzić, że był to cios rękojeścią i że pistonówki prawdziwych gliniarzy nie są jednak aż tak ciężkie.

Rozdział dziewiętnasty

Znajduję się – o ile można to nazwać znalezieniem się, bo mam wrażenie, że brakuje mi paru kawałków – w pustym pomieszczeniu, o opuszczonych żaluzjach. Jest jeszcze widno i dość światła przechodzi, by oświetlić miejsce, którego ściany są białe i nagie.

Przeżuwam przez pięć minut jęzor grubości gąbki i w kąciku ust udaje mi się znaleźć nieco śliny.

Dodaję, dla jasności wypowiedzi, że ręce mam spętane za plecami i stąd bierze się uczucie brakujących kawałków. Poruszam palcami najlepiej jak tylko mogę, by spróbować przywrócić krążenie i usiłuję się podnieść. Leżę rozciągnięty pod ścianą z nosem w kącie, co nie jest zbyt wygodne.

Rzec by można, że nie jestem sam. Są jeszcze dwaj inni lokatorzy. Kobieta z głową opuszczoną na piersi, oparta plecami o mur tak jak ja, po lewej stronie, a obok niej jakiś wydłużony kształt.

Widzę coraz lepiej.

– Kim jesteś? – pytam cichym głosem.

– Donna Watson... biedna Donna Watson... – odpowiada ona.

– Donna... to ja, Francis.

Zaczyna się śmiać cichym, zdławionym śmiechem, strasznym, że aż ciarki mi chodzą po plecach.

– A tam... – ciągnie – to John... niejaki John Payne.. facet, którego nazywano Johnem Payne'em..

Mam stracha. Ona potrafi wywołać wrażenie.

– Donna... mówię – uspokój się... Co jest? Jakoś się z tego wyliżemy..

– Tak jak John – odpowiada. – Jak chłopak, który nazywał się John Payne, dopóki Louise Walcott nie pochlastała go brzytwą.

Nagle udaje mi się stanąć zaparłszy się o ścianę.

– Donna – mówię – na litość boską, zamknij się i przestań gadać bzdury.

Głowa jej opada i milczy. Stoję całkiem pokręcony, srogo mnie sprali.

Podskakuję aż do Johna – o ile to on. Leży obok Donny z rękami związanymi z tyłu, tak jak moje i jej, twarz ma białą. Ubrany jest na jasno. Spodnie ma powalane krwią. Olbrzymia plama, monstrualna. Krew wypłynęła dookoła niego. Po prostu w niej pływa.

– Nie żyje – mówi Donna – Wył przez dwadzieścia minut i umarł. Zmasakrowała go brzytwą..

– Dość, Donna – mówię.

Czuję w tym momencie do tej Louise Walcott ślepą nienawiść, ochotę do rozdarcia jej na strzępy.

– Donna – mówię – musimy stąd wyjść.

Śmieje się cicho i ponuro.

– Ty, Francis – stwierdza – też pójdziesz pod brzytwę. Dla mnie będzie rozpalone żelazo. Żelazna nakrętka, rozpalona nad lampą lutowniczą... Wsadzi mi ją tam...

– Donna – mówię – wyjdziemy stąd.

Patrzę na więzy na mych nogach. Są grube, lecz jakoś to będzie.

– Potocz się pod okno – mówię.

Nie rozumie.

– Przesuń się pod okno tocząc się – powtarzam.

Wykonuje.

– Żeby zagłuszyć odgłos szyby, którą stłukę – wyjaśniam jej. – Spadające kawałki nie mogą narobić hałasu.

Zbliżam się do niej pod okno i próbuję cicho podskoczyć

Napieram na szybę. Żaluzja na zewnątrz jest opuszczona, jak wam już mówiłem... to fart.

Naciskam powoli na szkło. Oby tylko nikt nie usłyszał hałasu.

Chrup... pęka. Spory kawał spada na Donnę, a czubek wbija jej się w plecy. Cała podskakuje, lecz nic nie mówi.

Udało mi się. Jest kawałek, który został na krawędzi dziury, jaką zrobiłem.

– Odsuń się teraz – mówię. – Po cichu.

Wykonuje posłusznie. Zajmuję jej miejsce i udaje mi się umieścić po jednym bucie z obu stron pozostałego kawałka szyby.

Mam ściśnięte kostki i szyba musi przejść pomiędzy nimi, kiedy przetnie pierwszy węzeł. Ostrożnie podnoszę i opuszczam nogi.

Dobra. Jeden z węzłów puścił. Inne ani drgną. Sporo ich. Trzeba je będzie przeciąć jeden po drugim.

Kiedy przesuwam kostki, czuję jak kawałek mięsa zostaje na szybie, lecz zaciskam zęby; idzie, pękają czwarty i piąty.

Moje nogi są wolne. Kilka przysiadów.

Tylko żeby się nie zdrzemnąć. Lecz co to? Ktoś idzie korytarzem.

Dwa, trzy szybkie skłony.

– Połóż się, Donna – mówię bardzo szybko. – Nie ruszaj się. Udawaj martwą.

Siadam koło niej w kucki. Drzwi otwierają się. Wchodzi jakaś kobieta. Obserwuję ją spod przymrużonych powiek Znam ten pysk.

Louise Walcott.

Jest sama. Zamyka drzwi

Ma coś błyszczącego w dłoni. Brzytwa. Ubrana jest w czarną, mocno wydekoltowaną suknię bez zarzutu. Ładniejsza i bardziej łajdacka niż kiedykolwiek.

– No proszę – mówi... – Było nam za gorąco? Więc stłukliśmy szybę... A może po to, żeby wzywać pomocy?

Śmieje się.

– Tobie, Donna Watson, zaraz będzie cieplej – mówi.

Zbliża się do Johna Payne'a.

– Nie żyje? – pyta. – To zabawne, że faceci nie mogą żyć bez tego.

Ależ ona ma głos, ta megiera! Podchodzi do mnie.

– Tobie także się troszeczkę dostanie, mój koteczku – mówi. – Dobrze ci to zrobi. Połóż się. To będzie taka mała przystawka

Nie poruszam się. Podchodzi jeszcze bliżej. W porządku. Przygląda się swojej brzytwie...

– Nie jest zbyt dobrze naostrzona – mówi. – Była już używana na Johnie.

– Dlaczego chcesz się cieszyć widowiskiem w samotności? – pytam. – Czyżby w domu nie było chętnych?

Cofa się o krok.

– Coś podobnego! Odzyskałeś mowę – stwierdza. – W końcu skoro masz stracić co innego... lecz nie od razu. Tym razem przyszłam jedynie po to, by narobić ci smaku. Chodź. Zobacz.

Łapie mnie za kołnierz i ciągnie aż do Johna.

– Przyjrzyj się! – mówi.

Dobry Boże!

Teraz jestem w dogodniejszej pozycji, na to czekałem. Nie wiem, czyście słyszeli kiedy, przy okazji wolnej amerykanki o triku, który się nazywa cios nożycami.

Wyskakuję, zaś moje nogi wyrzucone w powietrze zamykają się wokół talii Louise Walcott.

Mam ochotę krzyczeć z radości, gdyż słyszę suchy stukot o podłogę. Upuściła brzytwę. Robię straszny wysiłek i przewracam ją na ziemię, używając do tego całej mocy moich ud. Jej głowa wali o ścianę. Zaciskam, zaciskam ze wszystkich sił. Słyszę, jak trzeszczą jej ostatnie żebra. Natężam się, o mało nie zemdleję. Ona nie może krzyczeć. Nic już nie może zrobić. Wydaje niewyraźne mruknięcie i mięknie.

Za moimi plecami coś się rusza. To Donna podpełzła aż do mnie. Odwróciwszy głowę widzę ją jak gryzie ziemię.

– Nie ruszaj się, Francis – mówi.

Pojmuję, że udało jej się podnieść brzytwę zębami.

Nadal ściskam Louise. Czuję jak niezręczne ostrze brzytwy przecina mój nadgarstek.

– Nieco wyżej, Donna.

Tnie jeden z węzłów. Robię straszny wysiłek i wszystko pęka. Mam wolne ręce. A przeguby bardzo mnie bolą.

Poruszam palcami. Są martwe. Naprzód. Wysilam się. Podnoszę ręce do góry, żeby odpłynęła z nich krew.

Zaczyna krążyć. Lecz przypominam sobie, że należy zmylić towarzystwo. Ryczę.

– Ach!... Louise... dziwko... Na pomoc... tylko nie to... Aaaa...

Donna wskakuje na brzytwę, która wypadła jej z ust. Skaleczyła się podnosząc ją, krwawi, przecinam jej więzy, masuję i całuję z dubeltówki.

– Donna! – wołam. – Fajna z ciebie dziewczyna. Jesteś najdroższa, bardzo cię lubię.

– Och! Francis – mówi – biedny John... Zabij ją, zabij tego śmiecia.

– Nie mogę – odpowiadam – policja na pewno będzie chciała wydusić z niej wiele rzeczy. Lecz możesz na nich liczyć w temacie zadania bobu.

Znowu zaczynam się nieco wydzierać dla pucu, a Donna się śmieje.

Po czym szybko i po cichu dyskutujemy.

– Chcę jej ździebko dołożyć – mówię. – Ale bez zabijania.

Łapię ciało Louise i rozciągam na ziemi. Później w trzech ruchach łamię jej oba przeguby. Nie podaję szczegółów, bo to nic interesującego, lecz bardzo to krzepiące. Budzi się nagle, lecz Donna zatyka jej usta. Daję jej solidnie pięścią w ucho i odlatuje do krainy snów.

– Złam jej nogę, Francis – mówi Donna. – Nogę też.

– Jeszcze się ocknie na dobre – odpieram – a poza tym nie mam w sobie nic z rzeźnika. Zbyt jest dla mnie odrażająca. A tak nie może się bronić.

Przeszukuję ją. Pod pachą ma automatyczny rewolwer, jak prawdziwy mały gangster. To dlatego nosi zawsze tak wydekoltowane suknie... żeby móc go szybko wyciągnąć.

Donna sugeruje mi jeszcze, bym zrobił tamtej całe mnóstwo różnych historii.

– Posłuchaj, skarbie – mówię – kangurowi mógłbym to zrobić, ale tej babie – to już wolałbym się powiesić. Nie zasługuje na to. Biedny John!

Na wspomnienie o Johnie Donna zaczyna płakać, po czym dalej się śmieje, bo kontynuujemy naszą komedię.

Jestem uzbrojony, wolny... i w tym pokoju. Jedyne wyjście, przez okno.

– Co jest w ogrodzie? – pytam. – Damy radę?

– Nie mamy zbyt wielu szans – odpowiada Donna. – Jesteśmy na pewno na drugim. To piętro cel. W ogrodzie jest tylko drewniana komórka, która sfajczyłaby się jak nic, gdyby chcieli nas wykurzyć. Nigdzie nie damy rady.

Idę do okna i podnoszę żaluzję. Fakt. Opuszczam ją.

– Za wysoko – mówię. – Trzeba wyjść drzwiami.

– Naprzód – odpowiada.

Jest bardzo blada i dodaje:

– Jak zejdziemy na dół, będziemy ugotowani.

– Kto tu stale przebywa?

– Jest ogrodnik, potężny, rudy prostak, Mac Coy, niezbyt niebezpieczny. A poza tym dziewczyny. Zostały prawdopodobnie trzy czy cztery, a inne są na mieście. Z pewnością jest Viola Bell, szefowa, prawdziwe monstrum. Byłyśmy kumpelkami... – dodaje Donna.

Drży.

– Kiedy pomyślę, że byłam po ich stronie!

– Znam ogrodnika – mówię. – Przykro na niego patrzeć.

– To jedyny mężczyzna tutaj – odpiera Donna.

– A Richard Walcott?

– Rzadko przychodzi. Siedzi w Waszyngtonie z kumplami. Poza Violą, Beryl i Jane są tu z pewnością. Morderczynie. I Rossie Lance, kucharka.

– Również ma spluwę, jak sądzę?

– Owszem – odpowiada Donna. – Wszystkie miałyśmy. Ćwiczyłyśmy w piwnicy.

Nie bardzo ma chęć ciągnąć dalej.

– Na facetach? – pytam.

– Tak – odpowiada. – Na facetach. Martwych.

– Na tych, którymi Louise osobiście się zaopiekowała?

– Tak.

– Dobrze – mówię. – Trudno. Schodzimy.

– Cicho – szepcze Donna.

Na schodach słychać kroki.

– To Viola... – mówi Donna. – Rozpoznaję jej chód.

Kroki przesuwają się i zbliżają do drzwi. Rozbrzmiewa głos:

– Louise...

Brak odpowiedzi, wiadomo dlaczego.

– Louise Walcott.

Klamka porusza się. Szybko odpycham Donnę do tyłu i podchodzę.

Najwyraźniej Viola waha się. Trzyma za klamkę i nie może zdecydować się na wejście.

Jedyna rzecz do zrobienia. Cicho chwytam za tę niezdecydowaną klamkę i silnie pociągam do siebie. Viola traci równowagę i przewraca się. Jej rewolwer splunął.

Raz, nie dwa. Drugi strzał jest pięścią w łeb. Z całych sił. Powaliłby byka.

Najwyraźniej Viola nie jest aż tak solidnej budowy. Obszukuję ją. Ta dla odmiany nie nosi majtek. Jeden rewoler na tyłku, drugi za stanikiem. Do głowy przychodzi mi pewien pomysł. Rozbieram ją całkiem.

– Zrób to samo Louise – mówię do Donny. – Ciężko im będzie tak łazić.

Nie ma na co patrzeć. Viola jest kiepsko zbudowana. Chuda, bez piersi, chłopięce biodra.

Porusza się. Łapię ją za kark i daję jej w pysk, aż dudni jak bęben. I na Boga, sprawia mi to przyjemność. Tamta zapomina o wszystkim.

Znajduję jeszcze przy niej mały sztylet, przyczepiony do prawej łydki dwoma rzemykami, oraz pęk kluczy.

– Co za arsenał... – mówię.

Sprężamy się, bo bez wątpienia inni zaraz przylezą. Nadstawiam ucha i nagle uderza mnie pewna myśl.

– A Jack? – pytam Donnę. – Kto to?

Opisuję fałszywego Carruthersa.

Donna zastanawia się.

– Pojmuję, co chcesz powiedzieć, lecz nie wiem, jak on się nazywa – odpowiada.

– To on mnie złapał – wyjaśniam. – Toteż chciałbym dostać go gdzieś w kącie. Był z nim jeszcze drugi mężczyzna. Mały brunet z olbrzymim rewolwerem. Szczupły, z ustami jak od ciosu szablą.

Śmieje się.

– To nie mężczyzna – mówi. – To Rossie, kucharka,

– Dobra – to tylko jedna więcej... więc schodzimy... Weź to.

Podaję spluwę Donnie, tak że ona ma jedną, a ja dwie.

– Prowadź – mówię.

– Można by zaczekać aż nadejdą – odpowiada Donna. – Załatwilibyśmy ich wszystkich, jednego po drugim.

– Uważam, że lepiej zaatakować – odpieram. – A niechby tak podłożyli ogień i odeszli.

Mam zaćmiony umysł wizją tego ognia.

– Och! Naprzód – mówi Donna.

Przyciska się do mnie.

– Nie zostawisz mnie, jeśli coś się wydarzy?

– Donna, a co by się miało przydarzyć?

Całuję ją delikatnie i wychodzę pierwszy.

– W lewo – mówi. – Schody.
Przemieszczam się bezgłośnie. Donna zebrała ciuchy Louise i Violi Bell oraz zamknęła na klucz drzwi od pomieszczenia, w którym obie leżą rozciągnięte.
Jestem na schodach. Zaczynam posuwać się w dół. Nic się nie dzieje.
Zastanawiam się, gdzie jest Ritchie.
Oto podest pierwszego piętra. Posuwam się wzdłuż ściany i rzucam okiem.
Tak jak na drugim jest czworo czy pięcioro drzwi wychodzących na korytarz.
Donna jest tuż przy mnie.
– W prawo – mówi. – Pierwszy pokój. Tam powinny być.
Zanim mam czas cokolwiek zrobić, wyprzedza mnie i wchodzi.
Słyszę dwa strzały i czyjś jęk. A potem jakiś ruch na parterze, więc wchodzę i docieram do Donny. Klęczy na ziemi, przed drzwiami. A w pomieszczeniu jest kobieta.
No cóż... była kobieta.
Donna ma rację, nauczono je strzelać.
Była to młoda, ładna blondynka, lecz o dzikim spojrzeniu. Siedzi na fotelu za stołem. Ma na sobie białą szmizjerkę. Czerwona plama rozpływa się na lewej piersi.
Podnoszę Donnę.
– Co ci jest?...
– Uwaga – szepcze. – Ktoś wchodzi.
Odwracam się i puszczam ją. Słyszę, jak kuśtyka aż do stołu. Podnoszę pistonówki.
Strzelam pierwszy. I jest to pierwszy strzał w moim życiu, jaki oddaję do dziewczyny. Mam nadzieję, że ostatni. Spluwa wypada jej z łap i wydaje okrzyk, gdyż jej kciuk poleciał razem z nią. Daję jej w zęby i przysięgam wam, że nawet nie próbuję jej łapać, kiedy pada.
– Łapy do góry!...
Niech to. Ktoś był za nią. Ten niby Carruthers. Nie rozumiem, dlaczego nie strzelił.
Rzucam narzędzia. Nic się nie da zrobić. Lecz nagle kula świszcze mi za uchem, a twarz faceta po prostu rozpryskuje się przede mną. Krew strzyka na mnie, więc się cofam, gotów zwymiotować.
– Dzięki, Donna – mówię, nie odwracając się.
Zbieram spluwy i idę do drzwi. Mam wrażenie, że zrobiliśmy czystkę. Zamykam drzwi i próbuję zająć się Donną.
– Jesteś poważnie ranna? – pytam.
Leży zwinięta w kłębek i oddycha z trudem. Kładę ją na stole.
– W płuco – odpowiada.
– To drobiazg – mówię – z tego się wychodzi. Nie ruszaj się i oddychaj powoli.
– Nie warto, Francis – odpiera. – Po co! Zapakuj mi drugą kulę. Tak czy inaczej, mam dość na sumieniu, żeby mi przyłożyli ze trzydzieści lat do odsiadki.
– Mowy nie ma – mówię. – Jak sądzisz, dlaczego nie strzelił do mnie?
– Nie wiem – szepcze.
Podkładam jej pod głowę ciuchy Violi, których nie wypuściła z ręki.
– Myślę, że właśnie pokapowałem – mówię. – To dlatego, że jestem wart trochę forsy. Rozumiesz, gość sądził, że mój tata jest senatorem. Z pewnością chciał mnie porwać.
Dziewczyna uśmiecha się słabo.
– Nic z tego, Francis – mówi.
– Szczerze mówiąc, to ma on tyle szmalu, co pięciu czy sześciu senatorów do kupy – ciągnę. – A z tobą też się jakoś ułoży. Tylko się nie przejmuj.
W czasie gdy Donna odpoczywa, przeszukuję kieszenie faceta. Oto portfel, który mi pokazywał. Są w nim papiery. Lecz w wewnętrznej kieszeni są jeszcze inne.
No proszę. Pan ów w rzeczywistości nazywa się sam Sam Driscoll – co jest całkiem bez znaczenia. Faktycznie jest prywatnym detektywem z Nowego Jorku. I nie mniej faktycznie został zatrudniony przez ojca Gai Valenko do pilnowania jego córki. Trzy miesiące temu.
No cóż, miał dziwny sposób pilnowania... Przychodzi mi do głowy, że ten ptaszek chciał upiec dwie pieczenie na jednym ogniu i nadał sprawę Louise Walcott.
Co nie wyszło mu na zdrowie, jak sądzę. Nie będzie wsadzał nosa w cudze sprawy przez jakiś kawałek czasu...
Chowam kwity do kieszeni i wracam do Donny. Nie wygląda zbyt dobrze. Dotykam dłonią jej czoła. Ma gorączkę.
A jednak odnoszę wrażenie, że o czymś zapomniałem.
Zastanawiam się usilnie. No tak. Gdzie jest ogrodnik, ten wstrętny, półtonowy rudzielec?
– Donna – mówię – nie odpowiadaj, lecz słuchaj. Chcąc powiedzieć tak, mrugnij powiekami, w przeciwnym razie, nie ruszaj się. Czy były tu jeszcze inne dziewczyny?
Mruga, że tak.
– Ta to Beryl?
Brak odpowiedzi.
– Jane?
Tak? Dobrze. Beryl hasa pośród przyrody. Albo po korytarzu. Czeka, żeby mnie napakować ołowiem.
– Były jeszcze inne?
Tak.
– Lecz ty ich nie znasz?
Odpowiada cichutko.
– Tamte tu nie mieszkały. Tu była kwatera główna Louise. Inne chodziły po rozkazy do baru.
– Nic nie mów – odpieram. – Zrozumiałem.
Lecz na Boga, co robi Ritchie?
W tym momencie słyszę podjeżdżającą brykę. Biegnę do okna. Samochód wjeżdża i zakręca przed domem. Przygotowuję się do wyskoczenia na zewnątrz.
– Francis...
Donna na wpół się unosi.
– Francis... uważaj...
Dostaje czkawki i podnosi rękę do piersi.
– To... to samochód Louise... to Jane... uważaj...
Dobry Boże... muszę wyjrzeć... Na końcu korytarza jest okno wychodzące na ogród. Biegnę.
Cholera. Już wysiedli i weszli. Błyskawicznie przebiegam przez strefę schodów i chowam się. Obserwuję, starając się być niedostrzegalnym.
Ktoś wchodzi. Mam teraz ochotę mordować. A oto pojawia się mój braciak Ritchie. Twarz ma pokrytą krwią. Za nim rudzielec i krótkowłosa dziewczyna o prostackiej gębie, w czarnych spodniach i swetrze. Trzyma sztylet i dźga w plecy Ritchie'ego, żeby się posuwał naprzód. A on ma związane ręce.
Na szczęście dla mnie nie podnoszą oczu. Lecz jeśli strzelę, mogę zranić Ritchie'ego.
Cofam się, wchodzę do pokoju i bezgłośnie zamykam drzwi. Z pewnością zamkną go gdzieś na górze.
Przez drzwi słyszę jak niucha dziewczyna ubrana na czarno.
– Dziwnie tu pachnie – szepcze. – Ktoś tu strzelał.
– Zaprowadź go na górę, Dan – mówi. – Ja zajrzę do biura.
A w biurze jestem ja. Cofam się.
Rusza klamką, lecz drzwi nie otwierają się.
– Louise!
– Beryl!...
Brak odpowiedzi. Słyszę, jak mruczy pod nosem.
Po czym cisza. Na górze kroki. Odgłos upadku.
Nagle galopada na schodach.
– Dan!...
To powrócił ten kolos. Słyszę, jak szybko dyskutują.
– Wyważ drzwi...
Przygotowuję się. Tamten nabiera rozpędu... czuję to... przyklejam się do ściany.
Drzwi rozsypują się w kawałki, a ten bydlak przewraca się na środek pokoju.
Strzelam z obydwu rąk do tej, co stała za nim. Ma dosyć. Nawet nie stęknęła. Czarna kupa na ziemi.
Rudzielec wstaje. Nic nie kuma.
– Nie ruszaj się! – wołam.
Idzie ku mnie.
– Stój! – wyję.

No tak. Jestem ugotowany. Tamten widzi, że nie mógłbym strzelić. Nerwy mnie zawodzą. Tamten się śmieje.

– Strzelaj – mówi..

Biorę się w garść. Rzucam spluwy na stół, gdzie nieruchomo leży Donna.

– Wykończę cię własnoręcznie – mówię.

Bo nie mogę zabić ot tak, po prostu, z zimną krwią... nie mam już na to ochoty. To zbyt wstrętne..

Uchylam się przed pięścią wielkości trzykilowego bochenka i walę go w wątrobę. Boże! Ręka zapada mi się na dwadzieścia centymetrów i mam wrażenie jakbym palnął w pierzynę. Szybko stawiam gardę.

Ma przerażająco długie ramiona. Muszę go złapać za pomocą jakiegoś chwytu judo lub z wolnej amerykanki. Bez tego, kiszka.

Tańczę wokół niego, szykując się do chwytu. Ten cios muszę przyjąć .

Jest w dobrej pozycji. Rzucam się, robię zwód i naruszam jego równowagę. Przewracamy się ze strasznym hałasem.

Dzwoni telefon...

Wielkolud leży na ziemi na prawym boku, a mnie udało się wyrwać. Przystawiam mu stopę do szyi i łapię za lewą rękę. Wyskakuję w powietrze i spadając wykręcam mu ramię.

Dobra. Złamane. Sporo już dziś nałamałem!

Tamten odpuszcza sobie.

Wstaję i ocieram twarz. Jestem jak we śnie. Telefon dzwoni nadal. Podnoszę słuchawkę.

– Halo... Tu Richard..

– A tu sam Pan Bóg – odpowiadam.

Właśnie rozpoznałem głos tego śmiecia, Walcotta.

– Halo?... Louise?

Wygląda na to, że jest osłupiały.

– Nie pójdziesz do raju – powiadam – bo za bardzo wyglądasz na ciotę. Żarty na bok. Tu Sam. Przyjeżdżaj. Louise chce cię widzieć. Cześć.

Odkładam słuchawkę i wykręcam inny numer.

– Policja?

Mam ich.

– Tu mówi życzliwy – stwierdzam. – Przyjedźcie w takie a takie miejsce (wyjaśniłem im możliwie jak najlepiej), a znajdziecie interesujące rzeczy. Przywieźcie ze sobą trumny.

Ponownie odkładam słuchawkę i wyskakuję zobaczyć co z Ritchie'em. Szukam i otwieram drzwi kluczami Violi. Znajduję go w drugim pomieszczeniu. Leży w kącie wyczerpany i cały w łachmanach. Nie ma już marynarki, koszula w strzępach, nie rusza się. Mam cykora. Klękam przy nim i przecinam więzy sztylecikiem, który zachowałem. Masuję go.

– Ritchie... Ritchie... budzisz się?

Zaczyna reagować. Jest sflaczały.

– To ja, Francis – mówię. – Francis. Twój brat, Ritchie, obudź się, gliniarze zaraz przyjadą. Trzeba pryskać.

– Gliniarze? – mruczy. – Mowy nie ma.

Dobra. Odnajduję mojego Ritchie'ego. Natęża się, a ja pomagam mu wstać.

– Moje nogi... – mówi.

Całe plecy ma pokrwawione od ciosów noża, które tamta dziwka mu zadała przy wchodzeniu po schodach. Na szczęście rany są powierzchowne.

Kulejąc robi dwa kroki.

– Jak tam sprawy wyglądają? – pyta.

Wyjaśniam mu wszystko w czasie schodzenia po schodach, zaś on opowiada jak rudzielec i dziewucha ubrana na czarno ruszyli za nim w pościg samochodem. Swoim starym buickiem nie mógł nic poradzić i wysypał się na zakręcie.

– Byłem na wpół ogłuszony – mówi – więc capnęli mnie jak kwiatuszek.

Opowiadam mu jak Donna utargowała kulkę w dudki oczyszczając teren przede mną.

– Ciężko? – pyta.

– Musisz sam to zobaczyć – odpieram.

Dotarliśmy do biura. W kącie, oparty o ścianę leży nieruchomo jęczący rudzielec. Na podłodze pseudo-Carruthers o prostackiej gębie. Na fotelu Jane, a na stole Donna. Nieruchoma. Ritchie pochyla się nad nią.

– Nic się nie da zrobić – mówi. – Ona jest załatwiona.

Dziewczyna uśmiecha się niewyraźnie, dotykam jej czoła. Wygląda jakby na nas patrzyła. Drżę mimo woli.

– To była niezła dziewczyna – mówię.

– Niezła – odpiera Ritchie jak echo. – To naprawdę szkoda, że one nie mają pojęcia. Za dwie godziny będzie martwa.

Schodzimy. Cóż możemy zrobić innego? Przecież nie będziemy czekać na gliniarzy.

Kluczyki są w samochodzie. To packard, ostatni model. Ludzie już ich wcale nie chcą, bo zbyt są podobne do karawanów, lecz nie zaskakuje mnie, że Ritchie dał się złapać. Wsiadamy do niego.

Nadal jestem w dziewczęcym ubraniu i zaczynam mieć już tego trochę dość... Mam dwie spluwy. Wrzucam je do pudła na desce. Skręcamy, by powrócić do Waszyngtonu.

– Co robimy? – pyta Ritchie.

Doprowadził się trochę do ładu i nie wiadomo skąd wytrzasnął marynarkę.

To prawda... nadal jestem poszukiwany przez gliniarzy. Och! Mam już tego wszystkiego potąd... przypuszczam, że to z powodu Donny opada mnie chandra.

– John – mówię do Ritchie'ego. – John Payne. Był na górze.

– Wiem – odpiera Ritchie. – Dan mi go pokazał przed zamknięciem.

Zasuwamy. Mijamy jakąś brykę

– Stopuj – mówi Ritchie.

Nie trzeba powtarzać. Widziałem Walcotta.

Robię zwrot i przyciskam do dechy. Łapiemy go po trzystu metrach. Przyciskam jeszcze solidniej i zaraz przyklepiemy mu w tyłek. Ritchie wystawia rękę przez okno i wywala w niego cały magazynek.

Samochód Walcotta skacze do przodu. To lincoln i sądzę, że będziemy z nim mieli kłopoty.

– Grzej, Francis – woła Ritchie.

Zasuwam ile wlezie. Przejeżdżamy obok domu Louise. W takim tempie na pewno gdzieś się wypieprzymy, lecz Walcott za bardzo mnie słabi.

Osiągnąłem już maksimum i bardzo mizernie się do niego przybliżam, lecz nie da rady nic zrobić.

– Przywal mu jeszcze Ritchie.

Jest o dwadzieścia metrów przed nami. Gdy tylko zdążyłem powiedzieć to Ritchie'emu, nasza przednia szyba rozpryskuje się po mojej prawej stronie. Tamci także strzelają.

Ritchie nie spieszy się. Celuje i wypuszcza pierwszą kulę. Pozostało nam ich jeszcze pięć.

Droga zaczyna kręcić i tamci muszą zwolnić, ja także, bo zaczyna nas trochę nosić.

– Grzej – mówi Ritchie.

Uderzenie w lewy wspornik przedniej szyby. Rozlega się przyjemna melodia. To mój braciak włączył radio.

– Naprzód – mówi. – Nie przejmuj się.

Przyciskam. Opony wyją. Zyskujemy sześć metrów.

Prosty odcinek. Jak burza przelatujemy przez jakąś wieś. Ponowne zakręty. Mały mostek.

Udało mi się zrównać z Walcottem. Pędzę i ocieram mu lewy bok. Ma cykora. Ritchie wali do niego ze spluwy dwa razy, a ja spycham go na prawo przed samym mostkiem. Jego samochód przełamuje barierę i w mgnieniu oka widać jak koziołkuje i rozsypuje się w kawałki.

Następuje wybuch, zapalił się zbiornik. Dobra rzecz.

Tak mówi mi Ritchie, podczas gdy ja próbuję wyprowadzić brykę z tych cholernych zakrętów.

Ocieram się o słup... Wóz kołysze się, lecz jedzie. Wreszcie mogę ulitować się nad przyspieszaczem.

– Jedź dalej prosto – mówi Ritchie. – Mam kumpla, który mieszka w pobliżu i będzie mógł nas przechować przez kilka dni.

Ten facet ma stada kumpli...

Rozdział dwudziesty

Nigdy w życiu nie byłem tak szczęśliwy pod względem fizycznym jak znalazłszy się u kumpla Ritchie'ego, pod solidnym prysznicem, z mydłem, ręcznikiem... no i z czekającymi na mnie po drugiej stronie męskimi ciuchami.

Bo, zdaję sobie sprawę, że na dłuższą metę w babskich szmatkach robię za złotą rybkę, to smutne, kiedy jest się tak milusim jak ja.

Jestem cały w mydlanej pianie, kiedy otwierają się drzwi.

– Spokojnie! – woła do mnie głos Ritchie'ego. – To ja.

A ja już prawie się zabunkrowałem. Z przyzwyczajenia.

– Dzwoniłem do taty – mówi Ritchie.

No... hm... ja bym się nie ośmielił.

– Co mu powiedziałeś?

– Wszystko – odpiera mój braciak.

– No i?

– No i powiedział, że niezła z nas para palantów.

– I miał rację.

Puszę się z dumy. To fajnie mieć niegłupiego staruszka.

– Spróbuje nas wciągnąć do policji jako inspektorów – dodaje Ritchie. – Lub jako śledczych z District Attorney. Ma tam jakiegoś bliskiego kolesia. A że jest to afera narkotykowa, będzie miał przy okazji reklamę. Zaś my będziemy kryci.

– Dobra – mówię.

– Mamusia kazała mi cię opieprzyć – dodaje.

– Też miała rację.

Sympatyczni rodzice. Byłbym całkiem szczęśliwy, gdyby Donna się z tego wykaraskała... Cóż... No i jeszcze John Payne... Biedny John. To nasza wina. Cóż. Ale spędził miłe chwile, nim go to trafiło.

– Powiedziałeś mu, żeby załatwił to możliwie jak najszybciej?

– Zadzwoni do nas za dziesięć minut.

– Nic więcej?

– Ach! owszem... zapytał mnie jak to się stało, że zostawiłeś dziesięć tysięcy dolarów przyczepione w bryce do kolumny kierowniczej. Jakiś mechanik przyniósł mu je natychmiast.

Aż usiadłem.

– Są jeszcze uczciwi ludzie... – mówię.

– Dał mu pięćset w ramach rekompensaty – odpiera Ritchie. – I ma nadzieję, że się zgadzasz.

– A co z Wu Changiem?

– Uprzedzono go – mówi Ritchie – znaczy się tatusia. Wu nic nie jest, a nasi rodzice wiedzieli, że cała impreza była wymyślona, żeby wciągnąć Louise Walcott w pułapkę.

– Cudownie!... – wołam. – Więc historia, którą wymyślił ten łajdak Driscoll była prawdziwa!...

W gruncie rzeczy powinienem był być może poinformować was na samym początku, że mój ojciec zarobił swoje pieniążki sprzedając przedestylowany alkohol biedakom cierpiącym na pragnienie w czasie prohibicji, co jest, moim zdaniem, działalnością filantropijną. A później, w tak zwanym międzyczasie, został szefem policji w Chicago, co jest niezłym miejscem na trzaskanie szmalu, zaś obecnie udał się do Waszyngtonu na emeryturę. Toteż nie brak mu jak widać różnych możliwości.

No.

– Nieźle się napracowaliśmy – mówię do Ritchie'ego.

– Mowa! Tatuś jeszcze dodał, że o mały włos schrzanilibyśmy całą sprawę. Policja śledziła Louise już od miesiąca, a teraz powie więcej. W sumie, ponieważ zlikwidowaliśmy mniej więcej całą bandę, nie są zbyt wkurzeni, ale co by to mogło być!...

Ha! Dajmy temu spokój.

– To wszystko? – pytam.

– Wszystko.

– Przynieś tu telefon.

Ritchie wykonuje. Wykręcam numer Gai.

– Halo?

– Halo, Gaya?

Rozpoznałem jej głos.

– Francis Deacon. Wskakuj w brykę i przyjeżdżaj.

– Dokąd? – pyta.

– Do Bena Kirby. Znasz? Mam coś dla ciebie.

Odkładam słuchawkę i zaczynam sobie nieco masować mięśnie i stawy. Jestem nacętkowany siniakami i guzami, zaś moja twarz jest napuchnięta mniej więcej wszędzie. Gaya musi być w transie, bo nie ma tego świństwa do wstrzyknięcia. Będzie jej potrzebne dwadzieścia minut, nie więcej.

Ritchie także się właśnie sobą zajmuje, cały jest pokryty plastrami.

– Ritchie! – wołam. – Czujesz się na siłach, żeby jej dołożyć zdrowia?

– Komu?

– Tej bździągwie Gai – odpowiadam.

– Hm... – mówi – tej akurat wolałbym złożyć wyrazy szacunku.

– Świetnie. Jedno drugiemu nie przeszkadza – stwierdzam.

Masujemy się i pielęgnujemy, a w dwadzieścia minut później podjeżdża jakiś wóz. Gaya szybko do nas dotarła; w tej chwili obaj jesteśmy w pokoju, który dał nam Ben, w bieliźnie i szamiemy.

– Dzień dobry – mówi. – Masz?

– Chodź dać nam buzi, koteczku – odpieram. – Tak się nie wchodzi do ludzi.

Jest cała drżąca i kiepsko się czuje. Ja zaś mam wrażenie, że moje lekarstwo jest lepsze.

– Ritchie, zamknij drzwi.

Wykonuje posłusznie.

– Rozbieraj się Gaya – ciągnę dalej.

Ponieważ się ociąga, chwytam za coś wystającego i drę wszystko na strzępy. Ritchie przychodzi mi z pomocą.

– Pod prysznic – mówię do niego.

Ciągniemy ją pod prysznic i puszczamy na nią solidny strumień, i, wierzcie mi, ta dziewczyna pod wodą jest jeszcze ładniejsza niż na powietrzu.

– Nie jesteś większym nałogowcem ode mnie – ciągnę dalej. – Chciałaś się tu zgrywać na wielką narkomankę. Bez sensu. Takie małe odświeżenie jak to, oto czego ci trzeba.

Po czym wysyłam ją na łóżko solidnym kopniakiem w tyłek. Dziewczyna całkiem traci głowę i zaczyna płakać.

Spuszczam zasłonę, bo jest to właśnie stosowna chwila, żeby ją pocieszyć.

Zresztą historia jest prawie zakończona.

Rozdział dwudziesty pierwszy

No cóż, przeczytawszy moje zapiski, mam wrażenie, iż ani razu nie powiedzieliście sobie, że napisał to jakiś facet po studiach. Kwestia słownictwa? Nie. Moim zdaniem brak tu przede wszystkim łacińskich cytatów. Na początku trochę się starałem, lecz widzę, że dałem się wciągnąć i pomimo startu w cholernie wygładzonym stylu, natura wzięła górę.

Trudno. Lecz teraz chciałbym podkreślić wymowę moralną tego całego biznesu.

Najważniejsze, jak sami widzicie, to być porządnym. Nie jestem dokładnie kimś, kogo nazywa się dobrze ułożonym facetem, lecz wszystko, co uczyniłem, było szczere i w porządku.

No i poza tym, należy szanować więzy rodzinne. Dałem mojemu braciakowi skorzystać ze wszystkiego. Dobrego i złego... lecz zawsze jak brat bratu. Ręka w rękę.

Powiecie mi, co do myszek, że trochę byliśmy dla nich za ostrzy...

Lecz, co chcecie, przecież one i tak nie mają pojęcia.

KONIEC

Przełożył MAREK PUSZCZEWICZ

Jan III Sobieski



Henryk Kotarski

Motto. *Będziesz Europa insze elogije kować*
W marmurach, my zaś w sercach musimy rysować,
Iześ Ojcem ojczyzny: najbardziej z tej proby,
Gdy wprzód jej całość kładziesz, niż swoje ozdoby
(Wespazjan Kochowski (1633–1700) Królewska na tron droga Najjaśniejszego Monarchy Jana III...)

Jan III Sobieski utrwalił się w narodowej tradycji z dwóch głównie powodów: jako szczęśliwy pogromca Turków i wybawiciel Wiednia oraz namiętny kochanek, zasypujący swoją umiłowaną Marysieńkę nieodmiennie czułymi listami, których gorącości nie zdołał ostudzić narastający staż małżeński.

Barwne i burzliwe koleje jego życia zapoczątkowały już same urodziny, gdyż, jak to utrwaliła, dzięki babce Zofii Daniłowiczowej, rodzinna tradycja, ,,biły pioruny'', a do wrót zamkowych szturmowali Tatarzy. Akuratna w swym macierzyńskim powołaniu i zaopatrzona we wszechwiedzę astrologii matka Teofila z Daniłowiczów, druga żona Jakuba Sobieskiego, kasztelana krakowskiego, zanotowała już spokojniej w swojej kroniczce rodzinnej, że był to dzień 17 sierpnia 1629 r. *między godziną 14-tą a 15-tą w piątek, ostatniego dnia miesiąca* (tj. księżyca – H.K.), *a nazajutrz nów nastał, w Olesku.*

,Jachniczek'', mający już o rok starszego brata Marka, ulubieńca matki, podczas gdy on sam był pupilem babki, dostał się po jej przedwczesnej śmierci (1634) w surowy rytm wychowawczy, najpierw w rodzinnym Złoczowie, a potem w Żółkwi. Wychowanie patriotyczne opierało się od zarania na uświęconym tradycją obowiązku poświęcenia się, gdy trzeba, dla Ojczyzny i pomszczenia na Tatarach i Turkach tragicznej śmierci sławnych przodków, czemu dawał dobitny wyraz napis na grobowcu Stanisława Żółkiewskiego, pradziadka od strony matki, i jego syna Jana: *Exoriare aliquis nostris ex ossibus ultor!* (Niech powstanie z kości naszych mściciel.)

Trzeba tu jednak zaznaczyć, że rzeczony napis wprowadził dopiero sam Jan Sobieski i to już jako król, prawdopodobnie w roku 1677. Napis wcześniejszy był mniej bojowy i brzmiał dosłownie: *Quam dulce et decorum est pro Patria mori* (Jak słodko i zaszczytnie jest umierać za Ojczyznę).

Nasz bohater należał do bogatej i wpływowej rodziny magnackiej, mającej rozległe dobra głównie na Rusi Czerwonej i Ukrainie i dzięki temu mógł zdobyć szerokie wykształcenie.

Kolejne etapy edukacji, rozsądnie sterowane przez światłego ojca, to najpierw nauka pod okiem domowego nauczyciela, a potem pobyt w towarzystwie brata Marka w głośnym wówczas Kolegium Nowodworskiego w Krakowie – klasyczna szkoła średnia (1640–3), studia na Wydziale Filozoficznym Akademii Krakowskiej (1643–6) i wreszcie przeszło 2-letnia peregrynacja po płn. Niemczech, Niderlandach, Francji i Anglii z dłuższymi studiami w Paryżu (łacina, jęz. francuski, jazda konna i szermierka) i w holenderskiej Hadze (fortyfikacja i artyleria).

Powrót do kraju wypadł dramatycznie, bo wdowa po zmarłym tymczasem (1646) Jakubie Sobieskim wezwała synów do natychmiastowego powrotu w związku z wybuchem na Ukrainie powstania Kozaków pod wodzą Bohdana Chmielnickiego. Towarzyszyła mu interwencja zbrojna Tatarów Krymskich, gdyż Chmielnicki poddał się pod protekcję Turcji. Wypadało, zgodnie z tradycją rodu, stanąć do walki i wrócić „z tarczą, lub na niej", czyli z nieskalanym honorem.

Młodzi Sobiescy, obdarowani starostwami: Marek – krasnostawskim, Jan – jaworowskim, zaciągnęli na własny koszt po jednej chorągwi jazdy i ruszyli w bój, by pomścić hańbę piławiecką. Przy tym Marek bronił potężnie obleganego Zbaraża przed głównymi siłami Kozaków i Tatarów, natomiast Jan wziął udział w desperackiej odsieczy, prowadzonej przez samego Jana Kazimierza i o mało co nie zakończonej katastrofą. Za to w morderczej 3-dniowej bitwie walnej pod Beresteczkiem, toczonej w dniach 28–30.VI.1651 r. obaj bracia, stojący na prawym skrzydle, mieli możność zapoznać się ze znakomicie realizowanym przez króla współdziałaniem jazdy, piechoty i artylerii, łamiących krok za krokiem wszelkie poczynania ofensywne nieprzyjaciela. Jednakże sam Jan, który walczył pod nieudolnym i warcholskim dowództwem hetmana w.kor. Mikołaja Potockiego, został w drugim dniu bitwy ciężko ranny w głowę, co zresztą wyszło mu na dobre, bo uniknął w roku następnym (1652) okrutnej rzezi pod Batohem, gdzie Tatarzy wiarołomnie, bo już po bitwie wycięli w pień sam kwiat polskiego wojska, przy milczącej zgodzie Chmielnickiego, świadka egzekucji. Po śmierci Marka, którego tam właśnie zamordowano, został Jan dziedzicem potężnych fortun rodów magnackich: Żółkiewskich, Daniłowiczów i Sobieskich, oraz jedynym mścicielem śmierci wspaniałych przodków, wykrwawionych w walce z Tatarami i Turkami.

Na razie jednak dotychczasowi nieprzyjaciele stali się cennymi sojusznikami, gdyż trudną sytuację Rzeczypospolitej postanowiła wykorzystać Rosja i poddać całą Ukrainę pod swoją protekcję. Dlatego też niezbyt fortunnie prowadzona przez Polaków wyprawa żwaniecka skończyła się ugodą z chanem (1653). Dało to Sobieskiemu sposobność bliższego, pokojowego zapoznania się z Tatarami i Turkami, gdyż najpierw przebywał na Krymie jako zakładnik, a następnie w 1654 r. wziął udział w poselstwie Mikołaja Bieganowskiego, chorążego lwowskiego, do Stambułu. Przebywał tam od 29.III do 21.V wnikliwie obserwując stosunki tureckie i wyzwoleńcze nastroje podbitych narodów południowosłowiańskich, co znalazło dobitny wyraz w jego późniejszym memoriale sejmowym z dn. 5.III.1673 r.

Na przełomie 1654/5 stanął znowu do walki na Ukrainie, ale tym razem przeciw potężnej koalicji rosyjsko-kozackiej, biorąc udział w dramatycznej, nie rozstrzygniętej bitwie pod Ochmatowem (29.I – 2.II.1655 r.).

W maju i czerwcu 1655 r. błysnął 26-letniemu staroście pierwszy promyk-zapowiedź miłości stulecia, gdy przybył na sejm do Warszawy i tam podczas balów i maskarad ujrzał duże, ciemnopiwne oczy pełnej wdzięku i zalotności 14-letniej, nad wiek rozwiniętej dwórki królowej Ludwiki Marii – Marii Kazimiery d'Arquien, rodem z Francji. Trudno powiedzieć, zwłaszcza z perspektywy następnych lat, jakie właściwie wrażenie na urodziwej panience wywarł ten młody, waleczny, dobrze zapowiadający się magnat z dużą ogładą towarzyską i biegłą znajomością jej ojczystego języka francuskiego. Można chyba zaryzykować opinię, że i w jej serce musiało zapaść ziarenko autentycznego uczucia, skoro po pięciu mrocznych latach ujawniło się z całą mocą.

Na razie jednak wszystko sprzysięgło się na przekór temu kiełkującemu uczuciu. Najpierw nastąpił wielki najazd szwedzki, utrwalony w tradycji pod nazwą „potopu" i bezprzykładna, masowa zdrada magnaterii i szlachty, której nie oparł się i pułkownik wojska kwarcianego Jan Sobieski, składający wraz ze swym bezpośrednim przełożonym Aleksandrem Koniecpolskim, oboźnym koronnym, przysięgę wierności królowi szwedzkiemu Karolowi X Gustawowi. Działo się to pod Krakowem dn. 16.X.1655 r. Fakt ów tak dalece poróżnił Sobieskiego z Ludwiką Marią, że rychło jego miejsce na dworze zajął Jan Zamoyski (sienkiewiczowski „Sobiepan"), wierny stronnik Jana Kazimierza w najcięższych chwilach i dzielny obrońca Zamościa z lutego 1656 r. On też, skądinąd postać bez wyrazu, a przy tym birbant i rozpustnik, ożenił się z Marią Kazimierą d'Arquien dn. 3.III.1658 r.

Tymczasem Jan Sobieski plamił się zdradą aż do końca marca 1656 r., kiedy to zgłosił się w pobliżu Łańcuta pod rozkazy regimentarza Stefana Czarnieckiego. Trzeba podkreślić, że świeżo nawrócony grzesznik bardzo starał się zmyć swoje winy, a poza tym półroczny pobyt w szeregach najlepszej wówczas armii europejskiej przydał mu wiele cennych doświadczeń wojskowych. Król ze swej strony usilnie podtrzymywał wiarę nawróconego grzesznika nadając mu już 26 maja tego roku ważny urząd chorążego koronnego, który zazwyczaj otwierał drogę do godności hetmańskiej.

Szczególne znaczenie dla przyszłego wodza miał podczas „potopu" udział w 3-dniowej bitwie walnej ze Szwedami pod Warszawą (28–30.VII. 1656 r.), stoczonej (z obu stron!) na wysokim, europejskim poziomie, oraz oblężenie Torunia (wrzesień – grudzień 1658), gdzie praktykował w znakomitej szkole wojennej hetmana polnego koronnego Jerzego Lubomirskiego, późniejszego rokoszanina. Wreszcie w 1659 r. spróbował swych sił w polityce, występując jako poseł sejmowy i jeden z komisarzy do podziału dóbr cerkiewnych na Ukrainie. Akcję tę podjęto w następstwie zawarcia polsko-kozackiej ugody w Hadziaczu. Kontakt wojskowy z Lubomirskim odnowił się w 1660 r., gdy wojska polsko-litewskie ruszyły do kontrofensywy przeciw Rosji na obu teatrach wojennych, tj. litewskim i ukraińskim. Sobieski stał się już prawą ręką swojego szczególnie aktywnego wodza i jako dowódca dywizji odegrał znaczącą rolę w walkach pod Lubarem, Cudnowem (z Rosjanami) i Słobodyszczem (z Kozakami Jerzego Chmielnickiego, syna Bohdana) we wrześniu i październiku tr., przyczyniając się walnie do odniesienia ogólnego sukcesu.

Powiew optymizmu zmąciły wydarzenia 1661 r., kiedy to Sobieski wystąpił już wyraźnie jako stronnik królowej na sejmie, na którym ważyły się losy legalnej drogi reformowania państwa poprzez wybór nowego monarchy jeszcze za życia Jana Kazimierza (*vivente rege*) i przez to uniknięcia szczególnie zgubnych następstw wolnej elekcji. Niestety, koterie magnackie, ingerencja państw ościennych i wreszcie błędy dworu, który nie potrafił odpowiednio urobić opinii mas szlacheckich, utrąciły całą akcję.

Te niepokoje wewnętrzne, spotęgowane zawiązaniem konfederacji niepłatnego wojska (Związek Święcony), uniemożliwiły wyzyskanie dotychczasowych sukcesów w wojnie z Rosją. Trzeba się było zdobyć na nowy wysiłek militarny i skołatany Jan Kazimierz podjął go w 1663 r. po starannych przygotowaniach w kraju i na Ukrainie, gdzie przeciągnięto część Kozaków pod atamanem Pawłem Teterą. Zdołano też sobie zapewnić pomoc Tatarów. Jan Sobieski spełniał podczas całej kampanii wiele samodzielnych i odpowiedzialnych zadań, m.in. jako dowódca straży przedniej i tylnej. Ponieważ jednak ten okres działań wojennych nie doczekał się, jak dotąd, swojej monografii, trudno ferować wyroki o przyczynach polsko-litewskich niepowodzeń.

Nierównie więcej wiemy o działaniach Czarnieckiego w 1664 r. na Ukrainie prawobrzeżnej, którą starał się utrzymać w wierności dla Rzeczy-

pospolitej, dysponując bardzo szczupłymi siłami i w dodatku niemal bez piechoty i artylerii. Jak wykazały badania Wiesława Majewskiego, działania te stanowiły ostatnie, cenne ogniwo w łańcuchu edukacji wojennej Sobieskiego, gdyż zapoznał się tu ze znakomicie stosowanym systemem zagrożeń wobec silniejszego przeciwnika oraz wiązania działań ruchowych między samodzielnymi grupami wojska.

Dwa kolejne lata: 1665 i 1666 to w działalności publicznej Sobieskiego okres bardzo dramatyczny – musiał bowiem wybierać między przyjętą racją stanu a poczuciem lojalności wobec swego byłego dowódcy, a obecnie bezpardonowego rokoszanina – Jerzego Lubomirskiego. Miał też świadomość, że łamie instrukcje przedsejmowe swoich szlacheckich wyborców z Rusi Czerwonej. W wyniku wewnętrznych rozterek stanął w zasadzie po stronie dworu, chociaż nie wziął udziału w sądzie sejmowym nad Lubomirskim, a wakujące po nim urzędy przyjął z pewnym opóźnieniem, w 1665 r. (marszałkostwo wielkie kor.) i 1666 (hetmaństwo polne kor.). Podczas wojny domowej 1665–6 doradzał wprawdzie zdecydowaną akcję zbrojną przy użyciu potężnego zagonu kawaleryjskiego, wspartego dragonią, ale sam działał bez większego przekonania. Skutkiem zajęcia takiej postawy (hołdował jej i sam król) była dotkliwa klęska pod Mątwami nad Notecią koło Inowrocławia (13 VII 1666), gdzie wycięto prawie całą dragonię, a Sobieski ratował się ucieczką, gubiąc po drodze część oręża.

W końcu Lubomirski ugiął się przed królem, dokonał publicznych przeprosin i opuścił kraj; jednakże idea elekcji *vivente rege* została ostatecznie pogrzebana.

Parę lat wcześniej Sobieski stał się bohaterem romansu o posmaku obyczajowego skandalu. Maria Kazimiera, obecnie już pani Janowa Zamoyska, pragnęła początkowo być wzorową, oddaną żoną, ale okazało się wkrótce, że pana męża cechuje niechlujstwo osobiste, bezprzykładna rozrzutność i zamiłowanie do pijackiej kompanii (*grube chłopy* – według określenia Marii Kazimiery). Chociaż więc rozczarowana i pozbawiona możności rządzenia, młoda żona rodziła Zamoyskiemu dzieci, ale owe trzy kolejne córeczki zmarły w niemowlęctwie, zapewne w wyniku choroby wenerycznej, którą zaraziła się od męża. Gdy więc w pobliskich, bo odległych o kilka mil od Zamościa, dobrach pilaszkowickich, pojawiał się coraz częściej ich właściciel, a jej pierwszy adorator – Jan Sobieski, nawiązała z nim flirt, początkowo towarzyski, przeradzający się jednak już chyba w 1660 r. w miłosny. Coraz bardziej poufna korespondencja zaczyna obfitować, w obawie przed łamaniem jej tajemnic przez dworaków Zamoyskiego, w szczególny żargon. Przejęto go głównie, choć nie tylko, z obszernego, poczytnego wówczas francuskiego romansu Honoriusza d'Urfé: *Astrea*. Z książki tej nasz sarmacki Celadon przejął również styl szczególnego, uduchowionego uczucia, okazywanego ubóstwianej kobiecie, co Marii Kazimierze bardzo odpowiadało i w końcu (1661 r.) zdecydowała się wyznać szczerze, że załączone do gorącego listu „pomarańcze" (kryptonim miłości) są przeznaczone wyłącznie dla Sobieskiego.

Mimo jednak całej gorącości uczuć, była to miłość żałosna, jak zauważył Michał Komaszyński, bo bez żadnych szans na urzeczywistnienie. Trudno bowiem było, z różnych względów, zerwać na gruncie praw Rzeczypospolitej dotychczasowe więzy małżeńskie „Marysieńki". Przy tym i Sobieski, choć kawaler, musiał się liczyć ze zdaniem swojej purytańskiej i władczej matki, której śmiercią (27 XI 1661 w Żółkwi) nie był, zdaje się, zbyt głęboko wstrząśnięty, choć sprawił jej wystawny pogrzeb.

Wreszcie skołatana sprzecznymi uczuciami pani Zamoyska wyjechała wiosną 1662 r. do Francji, licząc bardzo na przybycie tam Sobieskiego. Gdy to nie nastąpiło, wróciła w 1663 r. do Polski, ale od 1664 r. przebywała u boku Marii Ludwiki w Warszawie, dając się używać jako narzędzie królowej do werbowania stronników dworskich. W ten sposób niewątpliwie ułatwiła wciągnięcie w szeregi stronnictwa francuskiego Jana Sobieskiego, co jej zresztą Sobieski później wypominał. Nareszcie śmierć Jana Zamoyskiego (7 IV 1665 r.) położyła kres rozterkom zakochanej pary. Wkrótce potem, nie czekając na upłynięcie zwyczajowej rocznej żałoby, urządzono huczne wesele w dniach 5–7 lipca tr., podobno poprzedzone, za sprawą królowej, tajnymi zaślubinami lub tylko zaręczynami podczas którejś majowej nocy. Andrzej Morsztyn, znakomity poeta barokowy, ale jednocześnie urodzony intrygant i notoryczny malwersant grosza publicznego, skomentował to złośliwym wierszem, z którego Komaszyński przytoczył bardziej cenzuralny wyjątek:

Moda nastała poprzedzać wesele:
Umie to Wenus i jest tego wiele,
Kto umie, wszystkiego dokazywać może,
A komuż wadzi skryte nasze łoże?

Owocem namiętnej miłości tej głośnej już w Rzeczypospolitej pary był pierworodny syn Jakub, urodzony 2.IX 1667 r. w Paryżu, gdzie przezorna matka szukała fachowej i skutecznej opieki u tamtejszych lekarzy.

Tymczasem Jan Sobieski musiał rychło zacząć czynić zadość swojemu hetmańskiemu urzędowi, gdyż zawarty w styczniu 1667 r. w Andruszowie rozejm polsko-rosyjski, acz w ówczesnej sytuacji konieczny, przekreślał nadzieje na korzystne dla Rzeczypospolitej zakończenie konfliktu. Co więcej, za złudne nadzieje polityczno-wojskowego sojuszu przeciw Turcji, zapłacono nie tylko utratą Smoleńszczyzny ze Smoleńskiem, Ukrainy Lewobrzeżnej z Kijowem i Zaporoża z wyspą Chortycą, ale i podważeniem polskiego zwierzchnictwa nad Prawobrzeżem.

Nowy hetman Ukrainy Prawobrzeżnej Piotr Doroszenko (od 1665) coraz wyraźniej szukał protekcji tatarsko-tureckiej, która ujawniła się w całej swojej grozie w 1667 r. Bardzo ograniczone środki finansowe, uchwalone na sejmie wiosennym tr., nie ułatwiły Sobieskiemu zadania. Szlachta bowiem, podejrzewając dwór o manipulowanie Tatarami w celu osadzenia siłą w Polsce kandydata francuskiego, nie miała zaufania i do jego wiernego stronnika.

Tymczasem Sobieski najpierw umiejętnie sparaliżował akcje zagonów tatarskich, a potem, w jesieni tak zaszedł na tyły głównych sił kozacko-tatarskich Doroszenki, że zmusił je do przyjęcia bitwy zaczepno-odpornej w korzystnym dla Polaków miejscu. Aktywna i skuteczna obrona zaimprowizowanego obozu pod Podhajcami (6–19 X 1667) przy równoczesnym uniemożliwieniu grabieżczych wypadów tatarskich i zagrożeniu ze strony sprzymierzonych Zaporożców Iwana Sirki samemu Krymowi, skłoniły Doroszenkę do ugody, a Tatarów do opuszczenia Ukrainy.

Te bezprecedensowe sukcesy Sobieskiego zmieniły od ręki klimat poli-

tyczny, duszący go dotąd dokuczliwie. Stał się nagle obrońcą ojczyzny, bohaterem narodowym, któremu szlachta była gotowa oddać koronę po abdykującym, skompromitowanym Janie Kazimierzu. Ale Sobieski przyjął tylko 5 II 1669 r. hetmaństwo wielkie koronne. O karierze politycznej i to na najwyższym szczeblu państwowym nie marzył i z wielką szkodą dla Polski z niej wówczas zrezygnował. Na ogół jałowe są rozważania w stylu, co by było, gdyby... pewne jest jednak, że w 1668 r. był już Sobieski człowiekiem w pełni dojrzałym i ukształtowanym, o dużej wiedzy i doświadczeniu, zdolnym do energicznego uchwycenia w swe ręce nawy państwowej. Gdy zdecydował się na to w sześć lat później, proces rozprzężenia wewnętrznego pod nieudolnymi rządami Michała Korybuta Wiśniowieckiego tak dalece się pogłębił, że było już za późno na lansowanie jakiegoś dalekosiężnego programu reform. Zresztą i Sobieski stracił owe sześć lat na tragiczne i wysoce demoralizujące rozgrywki polityczne. Działając obok zacietrzewionego prymasa Mikołaja Prażmowskiego na czele stronnictwa francuskiego, lansował na tron polski jakąś kolejną marionetkę króla francuskiego – po obaleniu aktualnego monarchy siłą! Prawdą jest również, że go w tych działaniach podtrzymywała Maria Kazimiera, niesłychanie aktywna na linii Warszawa – Paryż (dwukrotnie wyjeżdżała wówczas do Francji).

Wprawdzie w obliczu zagrożenia z zewnątrz dla całości państwa umiał się Sobieski wznieść ponad najgłębsze antagonizmy, ale ogólne zacietrzewienie, do którego sam się przecież przyczyniał, doprowadziło tymczasem do zaniku odruchów samozachowawczych. Pierwszą ich ofiarą stał się on sam, dyskryminowany przez nieufnego i małodusznego króla nawet wtedy, gdy stawał się mężem opatrznościowym ojczyzny, zdolnym zapewnić jej ocalenie.

Nie pomogły więc wysiłki Sobieskiego, aby ratować sytuację na Ukrainie, gdyż miał za mało wojska. Poza tym odrzucono jego koncepcje polityczne, zmierzające do uspokojenia Prawobrzeża i to zarówno przy pomocy ustępstw, jak i demonstracji siły; w myśl oświadczenia pułkownika Łubieńskiego-Szamryćkiego z 1660 r.: *Chto budiet silen, towo że i my* (cytuję za W. Majewskim). Tak więc miejscowe separatyzmy pogłębiły się. Jeszcze w 1671 r. podjął Sobieski rozpaczliwą próbę zniechęcenia Tatarów do mieszania się w polskie sprawy i podczas błyskotliwej wyprawy na Bracław, Mohylew i Kalnik rozbił ich raz jeszcze i wyparł na koczowiska.

Już jednak zawisła nad Rzeczpospolitą groźba bezpośredniej agresji ze strony państwa, przed którym drżała cała Europa, tj. Porty Ottomańskiej. W historiografii polskiej toczy się spór o to, czy konfliktu polsko-tureckiego można było uniknąć, skoro permanentna wojna stanowiła niejako czynnik składowy egzystencji tego imperium. A właśnie skończyły się krwawe walki Turcji z Wenecją o Kretę. Z kolei orientacja proturecka Doroszenki i zamęt wewnątrz Rzeczypospolitej rokowały uzyskanie łatwych sukcesów. Z ostatnich badań I. Czamańskiej zdaje się wynikać, że władze polskie same położyły niejako głowę pod topór, nie próbując, nawet za cenę większych ustępstw, dogadać się z Doroszenką, ku czemu właśnie skłaniał się Sobieski.

Podczas narad w początkach 1672 r. Sobieski wskazywał na Rosję, jako głównego wroga Rzeczypospolitej. Jednakże na wypadek wojny sam na sam z całą potęgą turecką radził silnie ufortyfikować Kamieniec i opatrzyć liczną załogą, powierzoną doświadczonemu dowódcy. Opowiadał się za użyciem głównie wojsk zawodowych i wyasygnowaniem znacznych sum na wyprowadzenie całej artylerii w pole. Te światłe rady wodza i męża stanu, jakim nie waha się go nazwać wielki znawca czasów Sobieskiego – Zbigniew Wójcik, nic nie pomogły, bo utarczki między stronnictwami doprowadziły do zerwania obu sejmów. Padł więc rychło (26.VIII tr.) Kamieniec, Turcy oblegli Lwów, a Tatarzy rozlali się po całej Rusi Czerwonej.

Zdesperowany król wysłał komisarzy do ustalenia warunków kapitulacji (6 X 1672 r. wyruszyli ze Lwowa do Buczacza) i udał się do pospolitego ruszenia, które stało od 11 X tr. pod Gołębiem, radząc nie o obronie kraju, lecz o represjach przeciw tzw. malkontentom, tj. stronnictwu francuskiemu. Co rozsądniejsi senatorowie, towarzyszący królowi, jedyny ratunek widzieli jeszcze tylko w Sobieskim, prosząc go o darowanie uraz w imię nadrzędnej miłości ojczyzny i spieszenie jej na ratunek. Powyższej grupce ośmiu senatorów przewodził podkanclerzy kor. Olszowski i kanclerz lit. Krzysztof Pac. Apel wystosowano z Janowca dn. 8 IX 1672 r.

Sobieski stał tymczasem w Krasnymstawie na czele 3150 jazdy i dragonii i gdy czambuły tatarskie przekroczyły Wieprz, San i Wisłok, ruszył 4 października na swoją sławną ,,dwunastodniówkę'' (Dodecameron), w toku której przebył ok. 300 km w kierunku południowym, tj. osiągnął Petrankę za Dniestrem, rozbił w kolejnych atakach do 20 tys. Tatarów i uwolnił podobno ponad 40 tys. jasyru. Ta wyjątkowa w dziejach wojskowości wyprawa nie mogła oczywiście zmienić losów katastrofalnej kampanii, ale wpłynęła ewidentnie na złagodzenie warunków pokoju, tj. zmniejszenie haraczu ze 100 tys. do 22 tys. czerwonych złotych i nazwanie go ,,upominkiem''.

Początek następnego roku przyniósł jednak otrzeźwienie umysłów, które dokonało się podczas długotrwałego sejmu ,,pacyfikacyjnego'' (4 I 8 IV 1673). Wtedy to nawet taki zagorzały malkontent, jak wspomniany już Morsztyn napisał dowcipny apel do Sobieskiego, kiedy ten groził wprowadzeniem wojska do ogrodów królewskich, że:

Omyłka to jest i szkoda,
Czynić fortecę z ogroda.

Natomiast nakłania go do *główniejszych zabaw*, tj. odebrania Podola i zatknięcia znaków krzyża w samym Stambule, bo:

Niech Bóg szczęści, kto w tej wojnie...
A tego niech diabeł ciśnie,
Co mi wlezie na me wiśnie!

Sobieski jednak był zbyt przejęty losem ojczyzny, by potrzebować szczególnych zachęt do jej ratowania. Dostępne materiały świadczą, że już w początkach marca miał jasno sprecyzowany plan podjęcia wojny ofensywnej, bazując na zaciągu 60-tysięcznego wojska zawodowego, w tym 24 tys. piechoty i 6 tys. dragonii oraz minimum 6 tys. bardzo przydatnej w walkach z Turkami husarii. Działania zbrojne planował przenieść od razu do Mołdawii. Różnił się on od rozważanego wcześniej memoriału Andrzeja Maksymiliana Fredry, kasztelana lwowskiego, sporządzonego 5 XI 1672 r., który kładł nacisk na utworzenie liczniejszego (80 tys.) i tańszego wojska narodowego (rekruci powiatowi). Doraźnie lepsze efekty zapewniał sposób Sobieskiego, perspektywicznie – trend europejski zmierzał do modelu Fredry.

Sejm zaakceptował propozycje hetmańskie i uchwalił stosowne podatki. Ponieważ jednak były, jak zwykle, trudności z rychłym ich wyegzekwowaniem, koncentracja wojsk na polach gliniańskich na wschód od Lwowa zakończyła się dopiero 8 października. I tu należy podnieść szczególne walory Sobieskiego, który w obliczu późnojesiennych słot i zimy, tj. czasu przeznaczanego zwykle na leże zimowe, powrotu króla z powodu choroby do Lwowa i wreszcie nieustannych zatargów z Michałem Pacem, hetmanem wielkim lit., zdecydował się podjąć marsz po tzw. liniach wewnętrznych i zaatakować główne, środkowe zgrupowanie Turków pod Chocimiem. Przy tym atak miał nastąpić od tyłu, tj. od południa, przy zdaniu sobie sprawy, że brak decydujących rozstrzygnięć do 15 listopada, kiedy to kończył się opłacony termin służby, spowoduje rozpad wojska.

Sobieski, w pełni świadomy podejmowanego ryzyka i panującego szoku z powodu zeszłorocznej katastrofy, potrafił wojsku przywrócić wiarę w sukces i poprowadzić je do czynów, od których zatrzęsła się chrześcijańska Europa. Wspaniałe zwycięstwo pod Chocimiem (10–11 XI 1673 r.), które niemal zmiotło silną armię turecką Husseina paszy, ponownie kreowało Sobieskiego na bohatera narodowego. Powszechne nastroje znakomicie uchwycił anonimowy autor *Pieśni Dziękczynnej P. Bogu za zwycięstwo pod Chocimiem*, pisząc wkrótce po bitwie:

(...) *Wielki Sobieski, marszałku, hetmanie,*
Niech Ci za triumf nieśmiertelność stanie,
Bądź twej Ojczyźnie teraz opiekunem, Turkom piorunem.
Lud pospolity z serca się raduje
z tego zwycięstwa, a Tobie winszuje
(...)

Ponieważ zaś król Michał tymczasem zmarł (10 XI 1673), na polu elekcyjnym na Woli pod Warszawą w dn. 21 V 1674 r. okrzyknięto Sobieskiego królem Rzeczypospolitej.

Sceptycznie zrazu nastawiony do Sobieskiego nuncjusz Franciszek Buonvisi, uważnie śledzący przebieg elekcji, na wieść o jego wyborze uległ z miejsca powszechnemu aplauzowi i zanotował: *Spodziewano się, że będzie królem jednym z najsławniejszych, jakich miała Polska, ponieważ jest mądry i roztropny, i jego waleczności obawiają się Turcy i Tatarzy.* Dn. 2 czerwca tr. wysłano mu z Rzymu depeszę, donoszącą, że *szybkość elekcji, powszechna zgoda, walory osoby wybranej – przyniosły niewymowną pociechę papieżowi*.

Z elekcją Sobieskiego związane jest ciekawe podanie lokalne, dotyczące pobytu naszego bohatera w lutym 1665 r. w okolicach Pomorzan. Oto podczas łowów zagubił się, sam jeden, w pogoni za dzikiem, aż dotarł późną nocą do chatki pustelnika bazyliańskiego Gedeona Bujnickiego, który powitał go od progu słowami: *na waszej hołowi wyżu korołewsku koronu, a na waszym serdciu napysano: sława wo wiki.* I dalej opowiedział mu swój sen, w którym była mowa o narodzinach w Olesku dziecięcia o imieniu Jan, które w przyszłości, z koroną królewską na głowie i mieczem w dłoni, zwali do swych stóp głowy muzułmańskie i liczne buńczuki.

Toś Ty, Panie – zakończył relację pustelnik.

Sobieski zabrał następnego dnia ojca Gedeona ze sobą i dn. 3 III 1665 r. wystawił we Lwowie akt fundacyjny dla klasztoru oo. Bazylianów w Krasnopuszczy. Następnie, już jako król, w 1679 r. powiększył fundację dla klasztoru, kazał ze zdobytych dział odlać dzwony oraz swemu nadwornemu malarzowi Bazylemu ze Lwowa wykonać cały ikonostas, słynny z wielkiej piękności. Sam polubił to miejsce i zawsze odwiedzał, ilekroć bawił w tych stronach. Zaś wdzięczni Bazylianie ustawili kamienne tablice z napisami na cześć fundatora i hołubili ciepłą pamięć o nim poprzez wieki.

Powyższy, nieco wydłużony zarys, ukazujący drogę Sobieskiego do korony został wprowadzony celowo, gdyż po pierwsze była to elekcja nie dynasty, lecz jednego z magnatów, którego na tron wyniosły własne walory, ujawnione już wielokrotnie w służbie publicznej. Po drugie, wkraczał w swoje panowanie z koncepcjami wojskowymi i politycznymi, które posiadał już w pełni ukształtowane.

cdn.

HENRYK KOTARSKI

Andrzej Paczkowski

WSZYSCY LUDZIE MARSZAŁKA...

Wiosną 1929 r. powstaje rząd pod prezydenturą Świtalskiego, uznany w opinii opozycyjnej za „rząd pułkowników", czyli grona najbliższego Piłsudskiemu. Uznał on najwidoczniej swych „podopiecznych" za dojrzałych do gremialnego objęcia czołowych stanowisk w administracji państwowej – zarówno inicjatywa powierzenia Świtalskiemu fotela premierowskiego, jak i decyzja o ustąpieniu rządu wyszły z Belwederu, a nie od samych zainteresowanych. Późniejsze nominacje Sławka, Prystora, Janusza Jędrzejewicza, Leona Kozłowskiego potwierdziły ten zamysł i w zasadzie wszystkie odpowiedzialne stanowiska państwowe przeszły w ręce ścisłej elity piłsudczykowskiej. „Poputczycy", tacy jak Bartel, Moraczewski czy ministrowie konserwatywni, zniknęli z widowni po odegraniu swej roli w okresie przejściowym. Wszystko to wygląda jak przesuwanie pionków na szachownicy przez wytrwałego gracza. I tak to chyba było w rzeczywistości: Marszałek osobiście nadzorował przesunięcia personalne, które szczególnie intensywne były w wojsku, aktywnie uczestniczył w pracach całego rządu (choć gdy objął stanowisko premiera na swego zastępcę wziął Bartla), a całością spraw politycznych sterował głównie za pośrednictwem swych najstarszych towarzyszy Sławka i Prystora. Obaj jednak niezbyt nadawali się do prowadzenia gry politycznej, rozmów roboczych czy prowadzenia akcji rozłamowych. Na tym polu pierwsze skrzypce zaczął grać, jak można sądzić z jego własnych notatek, Świtalski, powiadamiany o poleceniach lub wskazówkach Marszałka przez obu wyżej wymienionych. Sam z kolei często przekazywał polecenia dalej i to nieraz osobom, które zajmowały dosyć wysoką pozycję w nieformalnej hierarchii obozu (np. Carowi). Znaczącą rolę, ale jako „przekaźnik" odgrywał wciąż Wieniawa, rosło znaczenie jednego z najmłodszych z tego kręgu, Józefa Becka, który dzięki zajmowanemu stanowisku miał codzienny kontakt z Marszałkiem.

O tym, które decyzje podejmował Piłsudski, a które rodziły się w jego najbliższym kręgu i ewentualnie były mu przedstawiane do akceptacji niewiele wiadomo, mimo iż opublikowano już sporo książek i ogłoszono niemałą garść wspomnień i zapisków ludzi z tego kręgu. Wydaje się, że – wznowione niedawno – „Strzępy meldunków" Sławoja Składkowskiego dają mocno wypaczony obraz bezpośrednich kontaktów Marszałka z najbardziej zaufanymi. Niewątpliwie jednak dosadny i brutalny język – oczywiście tylko jednej strony – tych konwersacji stał się rzeczą normalną. Choć umiał Piłsudski mówić i pisać piękną, bogatą polszczyzną, na niektóre gusty może zbyt nasyconą stylistyką Młodej Polski, to w wielu wypowiedziach publicznych nie krępował się bynajmniej słowami, uwielbiał kalambury i neologizmy. Ta brutalizacja języka politycznego, stosowana dla zwiększenia efektu propagandowego, towarzyszyła mu także w dyskursach w gronach zamkniętych. Trudno orzec czy piłsudczycy między sobą – oczywiście poza okopowymi czy koszarowymi wspominkami – też mówili tak brutalnie czy wręcz wulgarnie. Na zewnątrz prezentowali się wszakże inaczej, poruszali się z gracją po „warszawce", wielu utrzymywało przyjacielskie stosunki ze światem teatru, ludźmi pióra i sztuki. Wysokie stanowiska w wojsku czy administracji nie tylko pozwalały na podniesienie standardu życiowego, ale także wprowadzały w kręgi elity finansowej i towarzyskiej, zwłaszcza że flirt Piłsudskiego z ziemiaństwem przedłużał się. Za tym eleganckim sztafażem Marszałka o czystych rękach i skromnych wymaganiach, jego najbliższych podwładnych paradujących w dobrze skrojonych mundurach lub garniturach od znanych krawców, zasiadających w eleganckich gabinetach i jeżdżących służbowymi samochodami, kryła się jednak nie tylko nerwowa i żmudna praca polityczna, ale także – zwłaszcza w latach 1927–1928 – nieco „mokrej roboty". Marszałek dość często, także publicznie, mówił o „biciu po mordzie", czy „kopniakach", a dla swoich przeciwników miał nieograniczony niemal repertuar wyzwisk. Na słowach jednak się nie kończyło: zaginął w dość jednoznacznych, ale nie wyjaśnionych do dziś okolicznościach, osadzony w więzieniu 15 maja 1926 r., gen. Włodzimierz Zagórski, znaki zapytania stoją wciąż nad przyczynami zgonu gen. Tadeusza Rozwadowskiego, miało miejsce wiele wypadków brutalnego pobicia działaczy i dziennikarzy opozycyjnych przez „nieznanych sprawców". Choć dla biegu wydarzeń politycznych te akty agresji i śmiercionośnej zemsty nie miały istotnego znaczenia, zarówno ówcześni obserwatorzy, jak i historycy zadają sobie pytania: na jakim szczeblu zapadały decyzje o tego typu działaniach, kto typował ofiary, jakimi kanałami i komu (jakim służbom?) przekazywano polecenia? Choć Piłsudski w uzasadnieniach przewrotu dość często mówił o konieczności „wyplenienia" prywaty, malwersacji i „machlojek", wymiarowi sprawiedliwości oddano niewielu winnych (wśród nich gen. Michała Żymierskiego) lub tylko niesłusznie podejrzanych. Miejsce sądów zajmowały samosądy – kto je sprawował? Fakt, iż po pierwszym czy drugim przypadku agresje te nie ustały zdaje się świadczyć, iż cieszyły się one co najmniej pobłażaniem ze strony Marszałka, ale oczywiście nie ma dowodu, że to on sam wyrokował. Lubił spektakularnie brutalne działania i stosował je w życiu publicznym nieraz, bez trudu znajdując wykonawców, zamachy te i pobicia leżały więc w „stylu" rządzenia i bez żenady przejmowali je wpatrzeni w Komendanta podwładni.

Awanse na wysokie stanowiska nie zawsze kończyły się dobrze. Przykrą wpadkę, wykrytą przez NIK, miał jako minister Bogusław Miedziński. Piłsudski wyciągnął wobec niego konsekwencje osobiste, odsuwając na pewien czas z kręgu bliskich współpracowników, ale Miedziński nie tylko uniknął grożącej mu odpowiedzialności karnej, lecz także nie utracił swej pozycji towarzyskiej i przyjaciele nie wyrzucili go za burtę, a po przejściu „kwarantanny" znów pojawił się w pierwszej linii. Choć musiały to grono nurtować jakieś rywalizacje osobiste, anse i ambicje, nie przenikały one na zewnątrz i nie zostawiały śladów w dokumentach czy pamiętnikach. Ważniejsze „wzloty" i „upadki" wynikały raczej z woli Marszałka niż z tarć między piłsudczykami. Trudno wykluczyć

jednak, iż jedni drugim szyli buty wyzyskując łatwiejszy dostęp do wodza. Jedną z najbardziej niespodziewanych była niełaska z do dziś niejasnych powodów w jaką popadł w 1933 r., od trzydziestu lat znany Piłsudskiemu, premier Aleksander Prystor, po zamachu majowym niewątpliwie jeden z najbliższych podwładnych, należący do grona paru osób, które nie miały trudności, aby uzyskać rozmowę z gospodarzem Belwederu, do wiosny 1929 r. prawa ręka Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych w robieniu czystki w wojsku, a później wielokrotny minister. Fakt, iż ponad środowiskiem znajdował się czynnik władczy uciszał być może wewnętrzne tarcia. Tym bardziej, że miał Marszałek także, stałych niejako, współpracowników poza kręgiem towarzyszy walki z I Brygady i POW. Taką osobą, której obecność co najmniej parę razy niepokoiła piłsudczyków był Kazimierz Bartel, przez cztery lata utrzymywany w ścisłej elicie władzy, z którym Piłsudski spotykał się wielokrotnie. O tym z kogo składała się grupa, potocznie i do dziś nazywana „grupą pułkowników" zaświadczyć może zestaw obecnych na zebraniu, które odbyło się 21 grudnia 1929 r., a miało na celu – jak zanotował Świtalski – uzgodnienie stosunku do Bartla, świeżo i kolejny już raz mianowanego premierem. Mniejsza tu o przebieg dyskusji, ale udział w spotkaniu wzięli: Świtalski, Sławoj Składkowski, Matuszewski, Prystor, Car, Pieracki, Stamirowski, Miedziński, Koc i Beck. Dziwi brak Sławka, ale wynikał on być może z jakichś obiektywnych okoliczności. Między majem 1926 r. a śmiercią Piłsudskiego żadna z tych osób nie pełniła stanowiska niższego niż wiceminister, dwóch (ze Sławkiem trzech) było premierami, a czterech przewinęło się przez MSW. W zachowanej agendzie i na jej podstawie sporządzonych zapiskach Świtalskiego, jeśli nie liczyć spotkań związanych z montowaniem kampanii wyborczej na przełomie 1927/28 r. zestaw rozmówców – kolejno: dyrektora departamentu, ministra, premiera, Marszałka Sejmu – jest dość monotonny: Sławek, Prystor, Składkowski, Matuszewski, Beck, Pieracki. Wydaje się, że Świtalski żył w kręgu kilkunastu osób. I tak zapewne było, przynajmniej jeśli chodzi o osoby, z którymi spotkania uważał za warte odnotowania. Do tego kręgu „spływały" opinie i polecenia od wodza wzajemnie sprzężoną siatką. Raz Sławek komunikuje Świtalskiemu co mówił mu Marszałek, innym razem Świtalski przekazuje treść rozmowy w Belwederze lub gmachu GISZ Prystorowi. Częstotliwość tak przesyłanych dyrektyw była różna, zależna od sytuacji i wymogów chwili. Aż do końca 1930 r. Piłsudski trzymał w ręku wszystkie nitki władzy: w ciągu 20 dni, które minęły od wyborów sejmowych w marcu 1928 r. Świtalski i Sławek spotkali się razem u Marszałka co najmniej 5 razy; w ciągu 10 dni września 1929 r., gdy szykowała się kolejna „siłowa" rozgrywka z Sejmem, Świtalski, jako premier, był cztery razy w Belwederze; w czasie przygotowań do „wyborów brzeskich" Sławoj Składkowski, jako minister spraw wewnętrznych, poza kontaktem na posiedzeniach Rady Ministrów był 11-krotnie wzywany do złożenia meldunków i przyjęcia rozkazów.

29 kwietnia 1931 r., po powrocie z długiego wypoczynku na Maderze, dość poważnie już schorowany Marszałek uznał, że czas przekazać dotychczasowe „ręczne sterowanie". Rozbicie opozycji (jak się wydawało – na długo), komfortowa większość w Sejmie i Senacie, uporządkowane sprawy personalne w wojsku i administracji, pozwoliły ograniczyć mu zakres działalności. Zakomunikował zebranym u niego Mościckiemu, Sławkowi, Prystorowi, Beckowi i Świtalskiemu, iż zatrzymuje dla siebie tylko wojsko i politykę zagraniczną. O całą resztę mają się martwić sami. Znamienna była na tym spotkaniu obecność Prezydenta, który do „klanu" nie należał, ale przywołanie na tę poufną odprawę czynić go miało nietykalnym dla starej gwardii. Bardziej sformalizowane grono stworzył Piłsudski na parę naście miesięcy przed śmiercią, zwołując 7 marca 1934 roku tzw. zgromadzenie lokatorów, byłych premierów po zamachu majowym, które miało się odbywać w obecności Prezydenta i aktualnego premiera, dla którego winno być pomocą i wsparciem. Instytucja ta nie odegrała jednak większej roli, a próby uniknięcia dzięki niej gwałtownego konfliktu wewnętrznego, który wybuchł po śmierci Marszałka i nagłym wzroście nastrojów opozycyjnych w kraju, nie powiodły się. I nie mogły – jedynym lepiszczem dla piłsudczyków był sam Komendant. Choćby środowisko było zwarte, zżyte, połączone jednakimi celami przez wiele, wiele lat, choćby cementowały go wspólne przeżycia i wspólni wrogowie, na ogół pęka, gdy jego twórca odchodzi. Zaczyna się nieunikniona walka o spadek, zawiązują nieoczekiwane koalicje, padają zdradzieckie ciosy. Dobrze jeżeli nie leje się krew.

Były to „metoda i zwyczaje Piłsudskiego – zapisał w swych pamiętnikach Maciej Rataj, dobry znawca arkanów polityki – otaczania się młodzieńcami i używania ich do najtrudniejszej pracy. Znajdował w nich pełne oddanie, fantazję nie skrępowane rutyną, złymi nawykami, widział w nich „wolnych ludzi". Tak to rzeczywiście wygląda: w 1905 r. Sosnkowski czy Biernacki byli dwudziestolatkami, a „weteran" Sławek miał lat 26; Tadeusz Żuliński stając na czele POW miał 25 lat, a drugi z kolei komendant tej organizacji, tak ważnej w kalkulacjach Piłsudskiego, Tadeusz Kasprzycki, obejmując dowództwo liczył lat 24; Rydz-Śmigły został dowódcą I pp w I Brygadzie w wieku lat 29. Ale ta promocja „młodych" zakończyła się na pokoleniu legionowym, co zresztą mogło wynikać nie tylko z decyzji samego Piłsudskiego, ale także z obronnych działań uformowanej – czy formującej się – grupy, która nie dopuszczała do siebie, ani w najbliższe otoczenie Komendanta, Naczelnika, Marszałka nowych osób. W istocie więc przez cały okres aktywności Piłsudskiego w II Rzeczypospolitej „orał" on tymi samymi ludźmi i tym samym środowiskiem. Z zewnątrz doszło naprawdę niewielu: Ignacy Matuszewski, który wojnę spędził w armii rosyjskiej i dopiero w 1917 roku przystąpił do konspiracji ZWC i POW (gdzie odegrał znaczącą rolę, a po 1918 r. stosunkowo długo kierował II Oddziałem), Stanisław Car, prawnik, który znalazł się w otoczeniu Naczelnika w 1918 r., ale po zamachu majowym zajął w nim znaczącą pozycję i był dopuszczony do najwyższych konfidencji, a także, jak się wydaje, całkowicie zaakceptowany przez grupę legionową, czy Kazimierz Glabisz, oficer armii niemieckiej, od 1929 r. I oficer do zleceń generalnego inspektora sił zbrojnych, który jednak w działaniach politycznych udziału nie brał, a był jedynym bliskim w otoczeniu Marszałka przedstawicielem ziem b. zaboru pruskiego.

Dość często ludzi z kręgu najbliższego Piłsudskiemu charakteryzuje się znacznie ostrzej i bardziej negatywnie niż uczynił to Rataj, który w dalszym ciągu cytowanej wyżej opinii pisał: „nie widział w nich braku doświadczenia, przygotowania do zadań, które mieli spełniać, i braku krytycyzmu przy najdalej posuniętej lojalności, którego od współpracowników wymagać i oczekiwać należy". Niektórzy historycy piszą o „selekcji negatywnej", o tym, że w miarę upływu czasu pozbywał się Marszałek ze swego otoczenia tych, którzy myśleli samodzielnie, wyrażali wątpliwości czy ośmielali się podejmować polemiki. Jest raczej oczywiste, iż rzeczywiście bardzo istotnym kryterium była dla Piłsudskiego lojalność, a nawet umiejętność pełnego podporządkowania się. W okresie legionowym i peowiackim rolę odgrywały też zapewne ujawnione talenty wojskowe i organizacyjne, zaś później – a zwłaszcza po zamachu

majowym – umiejętności typu menedżerskiego, zarządzania ludźmi. Charakterystyczny jest jego pomysł, przedstawiany na posiedzeniu Rady Gabinetowej w czerwcu 1928 r., aby „dobrać" trzech, czterech ludzi najodpowiedniejszych i zgranych, którzy by rządzili jeden po drugim. Tylko wtedy możliwa jest ciągłość linii rządów i odpoczynek jednego premiera przez czas, gdy pracuje inny. Talenty wiecowo-sejmowe były zawsze na drugim planie i ci wierni Piłsudskiemu, którzy się nimi cechowali nie znajdowali, jak się wydaje, w jego oczach większego uznania, co nie znaczy, że nie wykorzystywał ich wówczas, gdy była ku temu potrzeba. Można sądzić, że wszyscy ci, którzy – nawet z rozkazu – podjęli się działalności stricte politycznej w obrębie jakichś partii, tracili swój walor: tak było z Downarowiczem czy Arturem Śliwińskim, zawsze „z tyłu" byli Moraczewski czy Jaworowski.

Wśród licznych talentów Piłsudskiego jednym z najbardziej rozwiniętych było prowadzenie gry personalnej, którą w pewnych okresach niewątpliwie lubował się. Ale to nie siła, lecz jego charyzmatyczna osobowość, odwaga osobista widoczna w tak wielu ryzykownych zwrotach politycznych, śmiałe branie na siebie pełnej odpowiedzialności za to co robi, przyciągały do niego tak wielu ludzi, że miał kim takie gry personalne prowadzić. Na okres „przepychanek" z Sejmem i opozycją w latach 1926–1930 znalazł Bartla, ale gdy trzeba było „wziąć za mordę" wyciągnął dowódcę prowincjonalnego pułku piechoty „Kostka" Biernackiego. W swym najbliższym otoczeniu miał po zamachu majowym zręcznego gracza Świtalskiego, pryncypialnego Sławka, niezmordowanego wynalazcę wciąż nowych kruczków prawnych Cara i prostolinijnego Sławoja Składkowskiego, który – jak mówił mu to Marszałek – ma „bić jak najgorszy stupajka". Na otrzymanie rozkazu od wodza czekały tysiące ludzi. Nigdy nie uformował ich w jedną zwartą organizację. Wolał kierowanie całym obozem swych zwolenników poprzez więzi nieformalne, o niejasnej hierarchii, zezwalając na tworzenie się interesów grupowych uniemożliwiał ich utrwalanie się, zawsze mogąc promować kogoś, kto nie tkwił w gąszczu układów. Tak było np. z Bartlem, który choć znajdował się poza gronem prawowiernych piłsudczyków nie był bynajmniej w ich rękach marionetką, to raczej oni musieli się liczyć z jego osobą i zapewne z ulgą odetchnęli, gdy latem 1930 r. odsunięty został na daleki boczny tor. Jeszcze wybitniejszą rolę u boku Marszałka odegrał Ignacy Mościcki, jego dawny znajomy jeszcze z wczesnego PPS, który wprawdzie całkowicie uległy był swojemu politycznemu preceptorowi, ale zaufany zespół piłsudczyków miał na niego wpływ pośredni, tylko przez Marszałka. Po 1930 r. Piłsudski wyraźnie przyznał mu prerogatywy odnośnie niektórych spraw, a nigdy nie uchybiał wobec Prezydenta w wymogach protokółu przewidującego przecież, iż jest on Pierwszym Obywatelem Rzeczypospolitej. Inną jeszcze cechą charakterystyczną polityki personalnej Piłsudskiego, która mogła mieć wpływ na kontrolowanie tego co się dzieje w najwyżej nawet wtajemniczonych kręgach, było dość ścisłe oddzielenie spraw wojska. O ile bardzo znaczna liczba piłsudczyków przeszła ze służby w armii na stanowiska cywilne, bardzo rzadko miały miejsce powroty do czynnej służby. Na krótko Pieracki, na dłużej Sławoj Składkowski byli od tej reguły wyjątkami. Ponadto o ile przed zamachem majowym Marszałek tolerował – a pewnie nawet zachęcał – swych umundurowanych zwolenników do aktywności, która nie bardzo zgadzała się z głoszoną przez niego zasadą apolityczności armii, o tyle po 1926 r., ci którzy pozostali w armii do żadnych zadań politycznych nie byli kierowani. Stąd też, gdy bada się działalność polityczną Piłsudskiego i piłsudczyków w tym okresie, nie trafia się na nazwiska Rydza-Śmigłego, Dreszera, Piskora, Stachiewicza, Gąsiorowskiego czy Kasprzyckiego (no i oczywiście Sosnkowskiego po jego hamletycznym zachowaniu się 12 maja 1926 r.). Jedynym chyba wyjątkiem od tej reguły było wprowadzenie do westybulu sejmowego grupy kilkudziesięciu oficerów, których obecność miała służyć wywarciu nacisku na Sejm, a właściwie zastraszeniu posłów i opinii publicznej. Oczywiście wojsko jako całość, jako siła w życiu publicznym, w sposób szczególnie widoczny w prowincjonalnych garnizonach, honorowane, stawiane za wzór (także, a może szczególnie, dla młodzieży), licznie reprezentowane podczas oficjalnych uroczystości. Niemniej oficerowie służby czynnej z zasady nie brali udziału w rozgrywkach politycznych toczonych przez ich kolegów i przyjaciół, którzy wojsko opuścili. Poza spotkaniami towarzyskimi jedynym uprawnionym „łącznikiem" między nimi był sam Marszałek – on jeden wiedział czym kto się zajmuje.

Jeśli mówimy więc „ludzie Marszałka" pamiętać winniśmy, że mianem tym obejmowany jest – zależnie od intencji i zainteresowań mówiącego – bardzo różny krąg osób. W pewnym sensie „ludźmi Marszałka" byli ci wszyscy, którzy wierzyli w polityczny (czy wojskowy) geniusz Józefa Piłsudskiego, opowiadali się za nim publicznie, gdy tego sytuacja wymagała, wykonywali jego polecenia w kolejnych wcieleniach jakie przechodził. W tym sensie „ludzi Marszałka" były w Polsce dziesiątki – może setki – tysięcy, nawet jeżeli pominąć tych, którzy robili to ze względów czysto koniunkturalnych. Należeli do nich peowiacy, znaczna część legionistów (a niemal z reguły żołnierze I Brygady), pokaźna część zwolenników i sympatyków partii socjalistycznej, lewicowych partii chłopskich, lewicowo nastawieni przedstawiciele sfer inteligenckich. Zamach majowy, a zwłaszcza linia polityczna przyjęta w późniejszym okresie przez Piłsudskiego spowodowały, iż pewna część tej klienteli odwróciła się od dawnego lidera PPS, Komendanta i Naczelnika Państwa. Ale nawet wśród nich byli tacy, którym pozostał sentyment do Piłsudskiego, czasem podsycany naiwną wiarą, że to nie on jest odpowiedzialny za ataki na demokrację parlamentarną, że nie on steruje brutalnymi agresjami, choć z reguły Marszałek brał publicznie odpowiedzialność za bieg całości spraw. Już w początku lat trzydziestych – a zupełnie wyraźnie po śmierci Piłsudskiego – w środowiskach legionistów znaleźli się też i tacy, którzy domagali się „powrotu do dawnego (prawdziwego) Piłsudskiego", do atmosfery lat 1910–1917 nasyconej radykalizmem, hasłami egalitarnymi.

Ale najczęściej mówiąc „ludzie Marszałka" mamy na myśli pewną tylko, w sumie stosunkowo niewielką, grupę osób, które w ramach zamysłów politycznych Piłsudskiego, zrodzonych po upadku rewolucji 1905 r., wykonywali zadania o charakterze kierowniczym lub szczególnie ważne akcje. Grupa ta odznaczała się dość dużą stabilnością, a jej podstawowy trzon wykształcił się w latach 1910–1915 i późniejsze kooptacje były dość rzadkie, podobnie zresztą wypadanie z niej na stałe. W grupie tej znajdowali się ludzie chcący wykonać nawet najbardziej drastyczne polecenia, a jednocześnie tu właśnie skupili się ci, którzy mieli najdalej idące ambicje polityczne i mniej lub bardziej otwarcie aspirowali do udziału w schedzie po Marszałku. Była to grupa dość homogeniczna, nie tylko wspólną dla niej przeszłością, ale także wspólnym jej członkom zafascynowaniem władzą. Niezależnie od intencji Piłsudskiego ona właśnie nadawała ton polskiemu życiu politycznemu co najmniej od 1928 r. aż po tragiczny wrzesień 1939.

ANDRZEJ PACZKOWSKI

O tak zwanym proroctwie św. MALACHIASZA

JOACHIM KWIECIŃSKI

Wiara w możliwość odgadnięcia przyszłości tkwi głęboko w kulturze ludów śródziemnomorskich. Historycy i archeolodzy, badający inskrypcje i pisma starożytnych Egipcjan, Greków czy Rzymian lub wertujący dzieła średniowiecznych mnichów, natrafiali wielokrotnie na niejasne, nierzadko sprzeczne ze sobą teksty, opisujące przyszły bieg dziejów. Ich autorstwo przypisywano nie tylko mędrcom i kapłanom. Powszechne było przekonanie, że osoby znające przyszłość nie zawdzięczają tej umiejętności własnej wiedzy, lecz szczególnemu darowi, jakim był kontakt z siłami nadprzyrodzonymi. Funkcją proroka było więc wierne przekazanie wizji przyszłości, którą odsłoniło mu bóstwo – wizji nie zawsze zrozumiałej nawet dla samego jej głosiciela. Prorok był szczególnym wybrańcem sił nadprzyrodzonych, a ponieważ niepojęte były ich wyroki, mocy przepowiadania przyszłości udzielały one jedynie z rzadka i w sposób niepełny. Tym właśnie tłumaczono niejasność, wieloznaczność i ogólnikowość większości proroctw. Ci, za których pośrednictwem miało przemawiać bóstwo, byli to zawsze ludzie, których zachowanie odbiegało od ogólnie przyjętych norm, zjednując im opinię niezwykłych, świętych, często szaleńców. Po dziś dzień w wielu kulturach ludowych stawiany jest znak równości między szaleńcem a wybrańcem bożym

Wierze w możliwość przewidzenia przyszłych wypadków sprzyjało przekonanie, że historia dokonuje się w sposób zaprogramowany i konieczny, jest jak gdyby realizacją planu Stwórcy. Ma on swój początek i koniec, zapisany w księgach przeznaczenia. Przypomina nieco program wprowadzony do komputera, który można odczytać, przynajmniej częściowo jedynie wtedy, gdy sam autor uchyli rąbka tajemnicy.

Wśród tysięcy różnorakich przepowiedni są i takie, których popularność jest zaiste niezwykła. Nie istnieją dla nich granice pokoleniowe i geograficzne; nie poddają się z natury rzeczy naukowej krytyce; nie imają się ich żarty szyderców. ,,Dobra'' przepowiednia nie jest wszak kwestią wiedzy, lecz wiary, dopóki zatem znajduje wyznawców uznających jej autorytet, dopóty żyje, jest przekazywana z ust do ust i wpływa na zachowania ludzkie.

Proroctwo, o którym chcemy opowiedzieć, od setek lat pobudza wyobraźnię chrześcijańskiego świata. Przypisywane św. Malachiaszowi, irlandzkiemu biskupowi z XII wieku, nie jest ani akceptowane, ani odrzucane przez oficjalne czynniki kościelne. Jego treścią są losy papiestwa od Celestyna II (1143-1144) aż do ... Piotra II, którego pontyfikat jeszcze nie nadszedł.

Zacznijmy jednak od początku. Św. Malachiasz (ok.1094-1148) był jedną z wybitniejszych postaci XII-wiecznego życia intelektualnego Irlandii. Uchodził za człowieka wielkiej pobożności, którą manifestował w sposób właściwy swej epoce, podróżując pieszo po kraju, rozdając jałmużnę, uprawiając praktyki ascetyczne. Mimo swej popularności ponosił porażki; w niezbyt jasnych okolicznościach porzucił np.w 1137r. godność arcybiskupa Armagh i związany z nią tytuł prymasa Irlandii. Według przekazów z epoki pragnął poświęcić się bez reszty służbie Bożej.

W roku 1139 Malachiasz odbył podróż do Rzymu w interesach swojej diecezji. Przyjęty został z honorami przez papieża Innocentego II. Po drodze odwiedził opactwo cystersów w Clairvaux, gdzie zaprzyjaźnił się z najwybitniejszym chyba z ówczesnych autorytetów chrześcijaństwa zachodniego, opatem Bernardem. Podczas ponownej pielgrzymki do Stolicy Apostolskiej, w którą wybrał się po upływie dziewięciu lat, znowu zatrzymał się w Clairvaux, gdzie po krótkiej chorobie zmarł. Po paru kolejnych latach Bernard spisał żywot swojego przyjaciela. Przedstawił go w nim jako człowieka świętego, obdarzonego, oprócz innych przymiotów, mocą czynienia cudów i darem proroczym. W żywocie pióra Bernarda napotykamy zresztą wiele informacji potwierdzonych źródłowo, np.o założeniu w Irlandii przez byłego arcybiskupa Armagh czterech klasztorów cystersów. W 1190r. Malachiasz został kanonizowany.

Przez następnych 400 lat głucho było o spisanym rzekomo przez niego proroctwie o losach papieży. Dopiero w 1595r. uczony benedyktyn,Arnold de Wion, w wydanym w Wenecji dziele ,,Lignum vitae''(,,Drzewo życia'') zamieścił ową przepowiednię, którą jakoby znalazł w bibliotece klasztoru w Cremonie.

Jest to lista 112 panujących i mających panować biskupów Rzymu. Otwiera ją postać Celestyna II, którego pontyfikat przypadał na lata 1143-1144, a więc jeszcze za życia Malachiasza. Spis ten nie zawiera jednak ani nazwisk rodowych, ani imion przybieranych przez papieży po wyborze, lecz symboliczne określenia o aluzyjnym charakterze. ,,Wtajemniczonym'' kojarzą się one z odpowiednimi postaciami. Oto, dla przykładu, Lucjusz II (sprawujący swój urząd

w latach 1144-1145) figuruje w proroctwie jako *Inimicus expulsus* (wróg wygnany). Jego włoskie nazwisko brzmiało Caccianemici, co w tłumaczeniu polskim znaczy mniej więcej to samo. Z kolei Feliks V (1439-1449, co prawda antypapież) jest określony jako *Amator Crucis* (wielbiciel krzyża). Historykom postać ta znana jest również jako Amadeusz VIII, książę Sabaudii, gdzie rządził przed wyborem na papieża. Trzeba zaś wiedzieć, że dynastia sabaudzka miała w swoim herbie krzyż.

Symboliczne miana papieży, z których składa się proroctwo, wyrażane są zwykle w dwóch, czasami w trzech lub najwyżej czterech słowach, na pierwszy rzut oka całkowicie niezrozumiałych. Trzeba sporej wiedzy o dziejach papiestwa, by nadać im jakiś sens. Pojawiają się w nich nazwy roślin, zwierząt, miejscowości, pojęcia abstrakcyjne, nawet – choć bardzo rzadko – imiona bogów świata antycznego. Czy język ten został stworzony przez XII-wiecznego autora lub XVI-wiecznego fałszerza? Z pewnością nie; w podobnej konwencji utrzymane są teksty proroctw biblijnych, rzekome przepowiednie Sybilli i wiele innych. Aluzyjność jest zasadniczą cechą języka, którym posługuje się przepowiednia. Jest to wszak język symboli, czyli znaków wywołujących skojarzenia, choć nie całkiem dowolne. Złoto może np. oznaczać bogactwo, słońce lub władzę – a więc pojęcia mieszczące się w kręgu skojarzeń związanych z blaskiem, mocą, doskonałością; nigdy natomiast kruszec ten nie będzie oznaczał marności, nietrwałości czy ubóstwa.W danym kręgu kulturowym owe zespoły skojarzeń są w miarę stałe i raczej dobrze znane. Wiele z nich wywodzi się jeszcze z czasów przedhistorycznych i wiąże się ze światem otaczającej człowieka przyrody. Jeden i ten sam przedmiot lub cechę można oddać przy pomocy różnych znaków symbolicznych; z drugiej zaś strony, te same znaki mogą służyć do określenia rozmaitych postaci, przedmiotów i właściwości. Wszystko to tworzy rozległe pole dla najróżnorodniejszych, mniej lub bardziej uzasadnionych interpretacji, a zarazem uniemożliwia jednoznaczne ich przyjęcie bądź odrzucenie. Dzieje się tak zarówno wtedy, gdy do wyjaśniania symboli zabierają się laicy, jak i wówczas, gdy czynią to znakomici uczeni różnych epok.

Wróćmy jednak do *„Prophetio de summis pontificibus Romanis”* („Proroctwa o najwyższych kapłanach rzymskich”), gdyż tak brzmi łaciński tytuł interesującej nas przepowiedni. Zawarte w niej aluzyjne określenia papieży można podzielić na dziesięć grup.

I. Odniesienia do herbów rodowych. I tak Klemens IV (1265-1268) w tekście przypisywanym św.Malachiaszowi określany jest jako *Draco depressus* (smok poniżony). W herbie jego rodziny widnieje orzeł trzymający w szponach smoka. Honoriuszowi IV (1285-1287), na którego tarczy herbowej wyobrażony jest lew dzierżący różę, odpowiadają słowa *Ex rosa leonina* (dosłownie: z lwiej róży).

II. Aluzje do herbu i imienia ojca. Np. papież Adrian VI (1522-1523), określany w przepowiedni jako *Leo Florentius,* w herbie miał również lwa, zaś imię jego ojca brzmiało Florencjusz.

III. Aluzje do herbu i nazwiska rodowego. Urban III (1185-1186) pochodzący z włoskiego rodu Cribellich, w którego herbie występuje świnia, posiada w proroctwie określenie *Sus in cribro.*

IV. Odwołanie do herbu i mienia własnego. Przykładem może być wspomniany już Feliks V.

V. Aluzje do herbu i poprzednio piastowanego stanowiska. Znany renesansowy papież Aleksander VI (Rodrigo Borgia, 1492-1503) występuje w przepowiedni jako *Bos albanus in portu* (dosł. wół albański w porcie). Elementem herbu Borgiów jest wół; co więcej, przed powołaniem na Stolicę Apostolską przyszły papież był kardynałem z miastem Albano i Porto. Z kolei Klemens VI (1342-1352), którego pontyfikat przypadał na lata tzw. niewoli awiniońskiej papieży, miał w herbie różę, zaś przed wyborem był biskupem Arras (po łacinie Atrebatum). W przepowiedni odpowiadają mu słowa *De rosa Atrebatensi* (z róży Arras).

VI. Aluzje do dawniejszego stanowiska. Np. Pius II, papież w latach 1458-1464, wzmiankowany w proroctwie słowami *De capra et albergo,* był za młodu sekretarzem kardynałów Capranica i Albergati.

VII. Odniesienia do miejsca urodzenia. Eugeniusz III (1145-1153) urodził się w piemonckiej miejscowości Montemagno (Wielka Góra) Odnajdziemy go w tekście proroctwa pod numerem 3 wraz ze słowami *Ex magnitudine montis* (z wielkości góry).

VIII. Aluzje do miejsca urodzenia wraz z poprzednim stanowiskiem.

IX. Aluzje do samego nazwiska rodowego. Pius III został papieżem w 1503r., zmarł zaś już po kilku miesiącach pontyfikatu. Wywodził się z rodu Piccolomini, zaś przepowiednia określa go *De parvo homine* (z małego człowieka). Otóż nazwisko Piccolomini nasuwa podobne skojarzenie (włoskie *piccolo uomo* – mały człowiek).

Ostatnia grupa, o której będzie jeszcze mowa, to aluzje do okoliczności sprawowania pontyfikatu.

Wszystkie interpretacje zawartych określeń są, rzecz jasna, dziełem późniejszych komentatorów proroctwa. Od chwili opublikowania stało się ono bowiem przedmiotem niezliczonych domysłów i spekulacji. Już w 1600 roku doczekało się tłumaczenia włoskiego; w 1609r. – niemieckiego. Tylko w XVII wieku przedrukowano je kilkudziesięciokrotnie. Przypadkowi nieraz wydawcy nie kwestionowali na ogół ani dawnego pochodzenia, ani precyzji zawartych w nim określeń, choć i w tym stuleciu zdarzyło się kilku sceptyków, zwłaszcza protestantów, pozostających w naturalnym konflikcie z papiestwem. Wyniki kolejnych konklawe zdawały się jednak potwierdzać nieomylność proroka. Zawsze znajdował się ktoś, kto potrafił dopasować odpowiednie wyjaśnienie do aluzji i symboli. Niemałą rolę odgrywał też autorytet świętego, którego kwestionowanie nie było rzeczą bezpieczną.

Z biegiem czasu zaczęły jednak narastać wątpliwości i to zarówno dotyczące osoby autora, jak i niekwestionowanej wcześniej zgodności jego słów z faktami. Wiek XIX przyniósł niebywały rozwój naukowego krytycyzmu. Udoskonalono szczególnie metody badania autentyczności tekstów na podstawie cech języka i stylu. Opracowano też sposoby datowania starych rękopisów, badając materiał, na którym były spisane, i kształt samego pisma. Niestety, te ostatnie w naszym przypadku nie mogły być pomocne, skoro rękopis, na którym opierał się Arnold de Wion, nie był przez nikogo innego widziany. Nie musi to, co prawda, oznaczać, że nigdy nie istniał, niemniej jednak nakazuje ostrożność.

Z czasem zaczęto zadawać sobie i inne pytania. Jak to być mogło, że przez równe cztery stulecia tekst tak znaczący pozostawał w ukryciu? Dlaczego biograf Malachiasza, Bernard z Clairvaux, piszący przecież o cudach i umiejętnościach przepowiadania przyszłości, nic o tym nie wspomina? Dlaczego wreszcie tekst odnalazł się właśnie we Włoszech?

Wątpliwości zgłaszali także teologowie. Powoływali się oni na kilka ustępów z Nowego Testamentu (zwłaszcza na Ewangelię według św. Mateusza), z których niedwuznacznie wynika, że wiedza o zdarzeniach

przyszłych jest wyłącznym atrybutem boskim. Szczególnie data końca świata ma pozostać nieznana nawet prorokom. Przypomnijmy jednak, że w naszej przepowiedni nie została ona bezpośrednio oznaczona.

Zresztą każde z tych zastrzeżeń nie może być uznane za decydujący argument. Podobnie jak analiza językowa, w której pokładano wielkie nadzieje, a która nie była w stanie nawet ostatecznie wykluczyć średniowiecznego pochodzenia proroctwa. Metodę tę można stosować jedynie w odniesieniu do tekstów o złożonej strukturze gramatycznej. „Przepowiednia Malachiasza", w której nie występują nawet zdania, a jedynie zbitki dwu-trzywyrazowe, pojedyncze rzeczowniki i przymiotniki, opiera się takiej krytyce. Dwunastowiecznego pochodzenia tekstu nie da się zatem ani udowodnić, ani jednoznacznie wykluczyć.

Co prawda pewne podejrzenia mogłoby budzić kilka użytych w przepowiedni zwrotów, szczególnie dwie aluzje mitologiczne – do Jowisza i Eskulapa. Niektórzy uczeni sądzili na tej podstawie, że użycie podobnych sformułowań wskazywałoby na renesansowe pochodzenie całości. Wbrew jednak powszechnym nawet do dziś mniemaniom, wykształceni ludzie średniowiecza nieźle orientowali się w niektórych przynajmniej wątkach kultury antycznej i nie ulega raczej wątpliwości, że św.Malachiasz słyszał o Jowiszu.

Stosunkowo najbardziej ważkim argumentem wydaje się brak jakichkolwiek informacji o przepowiedni przed 1595 rokiem. Ale przecież biograf Malachiasza, Bernard, mógł jej nie znać albo z różnych względów pominąć milczeniem. Ci, którzy znają losy rozmaitych przekazów starożytnych i średniowiecznych, wiedzą też dobrze, iż bywały one odkrywane po upływie wielu stuleci od ich powstania, nawet w XX wieku. Również miejsce, w którym przepowiednia miała zostać odnaleziona, nie jest nieprawdopodobne. Wiadomo przecież, że Malachiasz był we Włoszech; zresztą rękopisy średniowieczne w odpisach lub oryginałach wędrowały po całej Europie.

Nie jest to jednak koniec zastrzeżeń, jakie można by sformułować. Przyjrzyjmy się z kolei czasom i środowisku, w którym przepowiednia się pojawiła.

Schyłek wieku XVI sprzyjał – znowu wbrew potocznemu mniemaniu – wielkiemu zainteresowaniu „naukami tajemnymi", Kabałą i przepowiadaniem przyszłości. Monarchowie ciągle jeszcze korzystali z rad astrologów; co więcej, czynili tak również kardynałowie i papieże. W samej tylko Wenecji w latach 1589, 1598 i 1600 ukazały się inne proroctwa, dotyczące dziejów papiestwa, co prawda nie tak trafne jak Malachiaszowe, choć pisane podobnym językiem. Uwagę zwraca szczególnie podejrzana mnogość aluzji heraldycznych. Właśnie wówczas, bardziej jeszcze niż w średniowieczu, herbom przypisywano istotne znaczenie. Miały one symbolizować charakter i przeznaczenie ich nosicieli, określać ich cechy osobiste, zalety i wady. Opowiadano fantastyczne historie o okolicznościach nadania herbów, tłumaczono na różne sposoby symboliczne znaczenie wyobrażeń umieszczanych na tarczach heraldycznych. Niekiedy wierzono nawet w magiczną moc tych znaków. Natomiast w wieku XII zasady „sztuki heraldycznej" dopiero powstawały, trudno zatem przypuszczać, by tak rozbudowana symbolika mogła pojawić się w dziele irlandzkiego biskupa. Znakomicie mógł nią natomiast operować Arnold de Wion lub ktoś z jemu współczesnych. Skądinąd wiemy, że ten uczony benedyktyn, być może subiektywnie uczciwy, łatwo dawał posłuch cudownym opowieściom i niezwykłym historiom. Wspomniane już *„Lignum vitae"* aż roi się od takich informacji, związanych z legendarnymi dziejami jego własnego zakonu. Niektóre z nich zostały podważone już w XVII wieku.

Ale jeszcze bardziej zastanawia fakt, że odnoszące się do kolejnych papieży epitety mniej więcej od schyłku XVI wieku zdają się zmieniać swój charakter. Nie chodzi tutaj o formę – język, styl, sposób obrazowania pozostają te same. Natomiast komentatorzy nie potrafią już tak jak uprzednio formułować jasnych i klarownych interpretacji. Znikają wierne nieomal tłumaczenia nazwisk i imion (typu Piccolomini); z rzadka jedynie pojawia się nie pozostawiająca wątpliwości aluzja do herbu, poprzedniej funkcji, czy miejsca urodzenia. Przeważają za to sformułowania, które mogą się kojarzyć z charakterem i okolicznościami pontyfikatu, cechami osobowymi czy polityką następujących po sobie biskupów Rzymu. Co więcej pojawiają się interpretacje zupełnie nieprzekonujące.

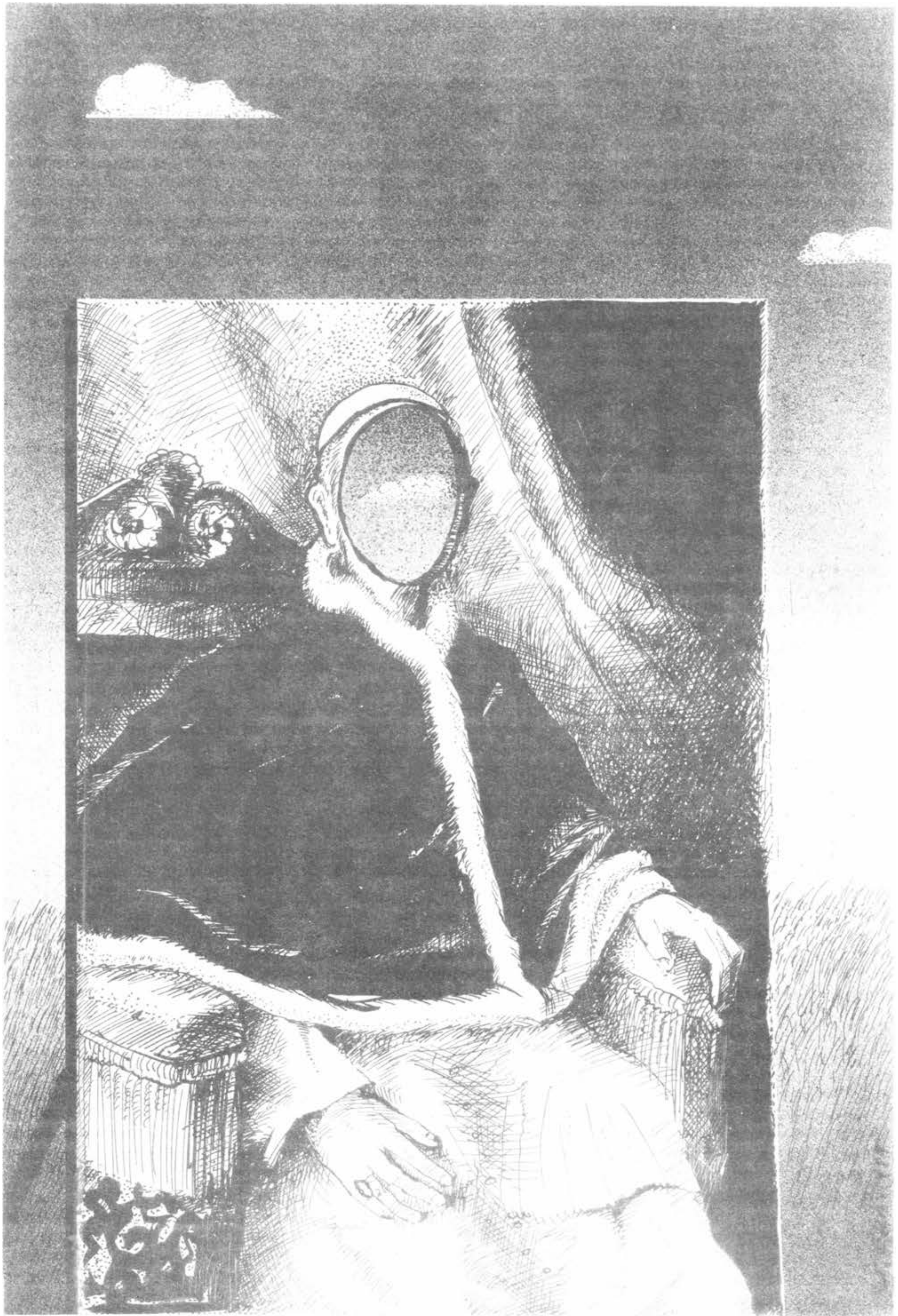
Oto np. panujący w latach 1769–1774 papież Klemens XIV (Lorenzo Ganganelli) został określony w przepowiedni jako *Ursus velox* (rączy albo chyży niedźwiedź). Tymczasem był to człowiek słaby i ulegający postronnym wpływom. Za jego czasów znaczenie papiestwa mocno podupadło; do głosu doszły monarchie doby oświeconego absolutyzmu, poczynił też postępy osiemnastowieczny antyklerykalizm. To właśnie ten papież został zmuszony do kasaty zakonu jezuitów. Nie przekonuje zatem powstałe *ex post* wyjaśnienie, że to zbliżającą się niby „niedźwiedź chyży" rewolucję francuską miał na myśli autor proroctwa. Wybuchła ona dopiero w pietnaście lat po śmierci papieża Klemensa.

Innemu osiemnastowiecznemu papieżowi, Benedyktowi XIII, proroctwo dało przydomek *Miles in bello* (żołnierz lub rycerz w walce). Trudno to w jakikolwiek sposób powiązać z jego znaną z łagodności osobą, czy stosunkowo spokojnym pontyfikatem.

Wszelako i pośród epitetów oznaczających papieży nowożytnych znajdują się takie, których nie sposób skwitować wzruszeniem ramion. Dla przykładu: prześladowanego i więzionego przez Napoleona Piusa VII (Gregorio Luigi Barnaba Chiaramonti, 1800-1823) możemy odnaleźć pod hasłem *Aquila rapax* (orzeł drapieżny), pasującym jak ulał do cesarza Francuzów. Nie ulega wątpliwości, że postać Napoleona zdominowała znaczną część tego pontyfikatu. A orzeł był przy tym jego ulubionym symbolem, umieszczanym zwłaszcza na sztandarach wojskowych. „Lotem orła" nazywano też jego ucieczkę z Elby i błyskawiczne choć krótkotrwałe opanowanie Francji w 1815 roku.

Obrany papieżem w 1846r. Giovanni Maria Mastai-Feretti (Pius IX) już na początku swego pontyfikatu zmuszony był uciekać z Rzymu, zagrożony rewolucją, która stanowiła fragment ruchów społecznych i politycznych zwanych Wiosną Ludów. W kilkanaście lat później utracił władanie nad Państwem Kościelnym, które weszło w skład zjednoczonego Królestwa Włoch, rządzonego przez dynastię sabaudzką. Zarówno Pius IX, jak i jego bezpośredni następcy nigdy się z tym nie pogodzili i uważali się za „więźniów Watykanu". Ich los porównywano do krzyża, symbolizującego, jak wiadomo, cierpienie. Otóż na liście aluzyjnych określeń, składających się na nasze proroctwo, Pius IX figuruje jako *Crux de cruce* (krzyż od krzyża) – a krzyż znajduje się w herbie dynastii sabaudzkiej...

Kolejny papież Leon XIII (Vincenzo Gioacchino Pecci 1878-1903) znany był z szerokich horyzontów intelektualnych. To on wydał w 1891r. encyklikę „Rerum novarum", wyrażającą nową doktrynę społeczną Kościoła, inspirującą poniekąd powstanie chrześ-



rys. Krzysztof Kozera

cijańskiej demokracji oraz katolickich związków zawodowych. Ten światły papież w Malachiaszowym rzekomo tekście nosi przydomek *Lumen in coelo* (Światłość na niebie). Na domiar wszystkiego w jego herbie widnieje kometa...

Z początkiem pontyfikatu Piusa X (Giuseppe Sarto, 1903-1914), z przydomkiem *Ignis ardens* (ogień gorejący), komentatorzy naszej przepowiedni ostrzegali przed jego następcą, któremu przyporządkowane zostało określenie *Religio depopulata* (wiara wyludniona). Łączono to wówczas z pogłębiającym się kryzysem instytucjonalnym Kościoła i postępującą laicyzacją życia, zwłaszcza w Europie zachodniej. Jak się niebawem okazało, pontyfikat ów przypadł na lata 1914-1922 i sprawiającego wówczas rządy Kościoła Benedykta XV (Giacomo della Chiesa) poczęto kojarzyć raczej z I wojną światową i rewolucją październikową... które istotnie wstrząsnęły chrześcijańską Europą.

Dwaj kolejni ,,najwyżsi kapłani'' (gdyż tak brzmi jeden z oficjalnych tytułów papieży), Pius XI (Achille Ratti, 1922-1939) oraz Pius XII (Eugenio Pacelli, 1939-1958) nie przywodzą na myśl jednoznacznych skojarzeń. Przepowiednia określa ich jako *Fides intrepida* (Wiara nieustraszona) i *Pastor angelicus* (Anielski pasterz). Za to ich następcę, Jana XXIII (Giuseppe Roncalli, 1958-1963) starano się ,,dopasować'' do przypadającego mu przydomka *Pastor et nauta* (pasterz i żeglarz). Przypominano, że przed wyborem był patriarchą ,,żeglującej po Adriatyku'' Wenecji.

Z kolei po elekcji Pawła VI (Giovanni Montini, 1963-1978), określonego jako *Flos florum* (kwiat kwiatów) zwracano uwagę na obecność kwiatów w herbie archidiecezji mediolańskiej, w której uprzednio sprawował rządy.

I tak doszliśmy do czasów współczesnych – zarazem zaś zbliżyliśmy się do końca listy. Wybrany 25 sierpnia 1978r. i zmarły po 33 dniach pontyfikatu Albino Luciani ma w przepowiedni przydomek *De medietate lunae* (ze środka albo z połowy księżyca). Obecny papież – Jan Paweł II (Karol Wojtyła, wybrany 16 października 1978 roku) – *De labore solis* (z pracy słońca). Nie potrzeba dodawać, że zwolennicy przepowiedni uznali to określenie za wyjątkowo trafne, widząc w nim aluzję do jego licznych, regularnych podróży duszpasterskich.

Doszliśmy tym samym do 110 pozycji spisu zwanego proroctwem św.Malachiasza. Sto jedenastym biskupem Rzymu ma być (czy też będzie?) osoba, z której pontyfikatem związane są słowa *De gloria olivae* (z chwały oliwki, tj.drzewa oliwnego).

Ostatniego papieża przepowiednia nie określa już w sposób symboliczny, lecz wprost, z imienia. Zacytujmy jej końcowe słowa:

,,Podczas ostatniego prześladowania świętego Kościoła Rzymskiego panować będzie wśród wielkich zaburzeń Piotr Rzymianin, po czym miasto na siedmiu wzgórzach (czyli Rzym) zostanie zniszczone, a sędzia straszliwy lud swój osądzi''. Mamy tu więc wizję końca świata.

Przekonanie o tym, że ostatni z ziemskich namiestników Chrystusa przyjmie imię Piotr jest przejawem wspomnianego już wcześniej poglądu, że historia Kościoła (podobnie jak historia świata) stanowi zamkniętą całość. Może się więc zaczynać i kończyć na Piotrze. Zwróćmy tu uwagę, że analogicznie interpretowano dzieje starożytnego Rzymu. Jego założycielowi (w 754 r.p.n.e.), legendarnemu Romulusowi odpowiada bowiem postać ostatniego z władców Cesarstwa Zachodniorzymskiego Romulusa Augustulusa, zdetronizowanego w roku 476n.e. Niewykluczone, że tym właśnie sugerował się twórca naszej przepowiedni.

Wizja końca świata jako logicznego zamknięcia dziejów, końca czasu i historii, jest ważnym elementem kultury chrześcijańskiej. Wywodzi się przecież z ,,Apokalipsy św.Jana'', integralnej części Nowego Testamentu i towarzyszy chrześcijaństwu od chwili jego powstania.

Dla wielu średniowiecznych kronikarzy opis zjawisk, które nastąpią w tym momencie – a więc straszliwych zniszczeń i kataklizmów – był równie naturalny, jak relacja o wydarzeniach minionych i współczesnych. Wiedza o rzeczach ostatecznych, pewność, że świat doczesny ulegnie unicestwieniu zgodnie z wizją świętego Jana, stanowiła część ,,wiedzy historycznej''. Wierzono także, iż mający nastąpić po końcu świata Sąd Ostateczny, podczas którego Chrystus zważy dobre i złe uczynki ludzkie oraz oddzieli wybranych od potępionych, otworzy ostatnią, nie ograniczoną już czasem epokę duchowej egzystencji ludzkości. Nie bez powodu wizja Sądu Ostatecznego jest jednym z częściej spotykanych motywów sztuki chrześcijańskiej, zarówno średniowiecznej, jak i nowożytnej.

Autor przepowiedni nawiązywał zatem do motywu powszechnie znanego, a co więcej, zgodnego z kanoniczną wersją Pisma Świętego. Tym bardziej wiarygodny stawał się w oczach swych czytelników.

Dla tych, którzy studiowali przepowiednię kilkaset lat temu, perspektywa końca świata była raczej odległa, a w każdym razie wykraczała poza perspektywę najbliższych pokoleń. Dzielił ich wszak od tej feralnej daty długi orszak kilkudziesięciu przyszłych papieży. Dla dzisiejszych zwolenników przepowiedni, którzy wskazują na zastanawiające zbieżności Malachiaszowych określeń pontyfikatów z rzeczywistością, perspektywa ta uległa zasadniczemu skróceniu. W najlepszym przypadku do lat kilkudziesięciu.

Niewykluczone, że właśnie to stało się źródłem odmiennych interpretacji proroctwa. Już przeszło pół wieku temu ks.Antoni Szlagowski, w wydanym własnym nakładem dziełku ,,Koniec świata. Oczekiwania i obliczenia. Stara przepowiednia o dziejach papieży przypisywana św.Malachiaszowi w nowym oświetleniu'', sugerował, że Malachiaszowa lista nie musi być kompletna. Przecież w tekście proroctwa nie stwierdzono *expressis verbis*, że Piotr II nastąpi b e z p o ś r e d n i o po przedostatnim na liście pontyfikacie, scharakteryzowanym słowami *De gloria olivae*. Pomiędzy nimi może się znajdować dowolna właściwie lista papieży, o których prorok nie wspomniał.

Możliwość takiego wyjaśnienia pozostaje w całkowitej zgodzie z regułami odczytywania tekstów mistycznych. Siła ich oddziaływania polega właśnie na tym, że podobnie jak dobre dzieło literackie poruszają one wyobraźnię i wpływają na emocje czytelnika, odpowiadając jego wewnętrznym, często nieuświadomionym potrzebom. Próba stosowania wobec nich tzw. ,,ścisłych kryteriów naukowych'' mija się przeto z celem. Dzieje recepcji ,,przepowiedni św.Malachiasza'' więcej mówią historykowi czy socjologowi o kolejnych pokoleniach jej czytelników i komentatorów, niż o przyszłych losach Kościoła. Są kolejnym przykładem trwałości dążeń człowieka, by wtargnąć w świat przyszłych zdarzeń i wyjaśnić sens własnej egzystencji.

JOACHIM KWIECIŃSKI

Jacek Golędzinowski

JAKUB BOEHME – UWZNIOŚLONA SZEWSKA PASJA

Pośród zawodów, których przedstawiciele wywołali najwięcej zamieszania w historii kultury i cywilizacji, zdecydowanie wyróżnia się... szewstwo. Galerię słynnych (i to bynajmniej nie dzięki swym umiejętnościom profesjonalnym) szewcom otwiera domniemany podpalacz biblioteki aleksandryjskiej – Herostrates. Na tej samej liście równie wysoko lokuje się, choć ze znacznie sympatyczniejszych powodów, szaleniec, geniusz i wizjoner – Jakub Boehme – nawiedzony szewc ze Zgorzelca. Filozof Teutoński, jak sam się określał. Mistyk o trwałym i szerokim wpływie, pod urokiem i oddziaływaniem którego pozostawali i nasi romantycy, i moderniści. (Sam Mickiewicz poświęcił mu zapomnianą dziś rozprawkę, wspomniał go w pięknych strofach Leśmian.)

Jednakże Boehme nie jest literackim i filozoficznym bibelotem interesującym jedynie historyków i filologów czy ekscentrycznych hobbystów. Głosił poglądy, które są w stanie przyprawić o dreszcz emocji zwolenników wielu jak najbardziej współczesnych teorii kosmologicznych, fizycznych czy psychologicznych. Na dobrą sprawę dziś dopiero system Jakuba Boehme nabiera właściwego znaczenia i staje się w pełni zrozumiały. Choć jego całkowite odkrycie mamy zapewne ciągle przed sobą...

Jakub Boehme urodził się w roku 1575 w miejscowości Altseidenberg położonej na górnych Łużycach w skromnej rodzinie chłopskiej. Jego wykształcenie ograniczyło się do kilku zaledwie klas wiejskiej szkoły. Większą część swego dzieciństwa spędził wypasając ojcowską trzodę na trawiastych zboczach rodzinnych stron. Zajęcie to niewątpliwie odpowiadało chłopcu o refleksyjnej naturze i skłonnościach do introspekcji. Któregoś dnia Jakub natknął się na wejście do jaskini oznaczone czterema czerwonymi kamieniami. Wewnątrz znalazł skarb złotych monet. Spiesznie opuścił pieczarę, by poinformować o znalezisku swoich kolegów i wspólnie wydobyć kosztowności. Niestety, po powrocie, mimo wysiłków, nie mógł znaleźć tego miejsca. Nie bogactwa doczesne miały stać się jego udziałem....

Rychło jednak okazało się, że Jakub nie jest wystarczająco silny, by być dobrym pasterzem. Opuścił więc ojcowiznę i poszedł szukać szczęścia w mieście. Miastem tym był leżący najbliżej Zgorzelec słynący podówczas (i długo jeszcze) z kunsztu licznie zamieszkałych w nim szewców, cholewkarzy i łataczy butów. Nic więc dziwnego, że 13-letni Jakub obrał tę właśnie profesję. O karierze zawodowej Boehmego świadectw jest niewiele. Te, które są, wskazują, że wiodło mu się niezgorzej. Wiadomo też, że w okresie terminowania przytrafiło mu się kolejne tajemnicze zdarzenie. Oto nieznajomy wyjawił mu jego niezwykłe przeznaczenie, zapowiedział przyszłą wielkość, ostrzegł przed prześladowaniami i zapewnił o łaskawości bożej. Pod wpływem tego epizodu w Jakubie nastąpiła korzystna przemiana. Podjął trud doskonalenia nie tylko siebie, ale i swego otoczenia. Walczył z prostactwem, grubiaństwem i wulgarnością. Nie zjednało mu to, niestety, sympatii środowiska. Majster wyrzucił go z roboty twierdząc, że kaznodzieja w warsztacie nie jest mu potrzebny. Na szczęście Boehme znalazł niebawem szlachetniejszego pryncypała.

W roku 1599 uzyskał dyplom mistrzowski i wkrótce potem ożenił się z Katarzyną, córką rzeźnika Kantzschmanna (wspólnie i szczęśliwie przeżyją dwadzieścia lat i będą mieli czwórkę dzieci). Młoda para zamieszkała w wynajętym domu nieopodal mostu na Nysie.

Już w owym czasie Jakub doświadcza niezwykłych przeżyć. Ma wrażenie, że otwierają się przed nim wewnętrzne właściwości rzeczy. Kształty, kolory i zapachy ujawniają inne jakości. W jakiś niezrozumiały sposób poznaje genezę, znaczenie i cel zjawisk. Owe ekstazy, czy jak powiedziałby współczesny psycholog Abraham Maslow – „doświadczenia szczytowe" prowokowane były przez dość zwykłe sytuacje, jak np. odbicie i rozszczepienie światła w cynowym dzbanie.

Wówczas także ogarnia Boehmego potrzeba pisania – rejestrowania treści swych doznań. Utrwalenia ich nie w celu publikacji – sądził bowiem, że jest zbyt prosty, niewykształcony, by pouczać innych – ale, jak sam powiadał, dla pamięci własnej. Dla przywołania wizji, gdy jej moc, intensywność minie.

Swą działalność literacką Boehme rozpoczął najprawdopodobniej tuż po uzyskaniu dyplomu mistrzowskiego, jeśli nie wcześniej. Z jej owocami świat zetknął się nieco później. Około roku 1612 ukończył traktat filozoficzny *Aurora oder Morgenröte um Aufgang* („Przedświt albo Jutrzenka o Wschodzie"). Manuskrypt wzbudził olbrzymie zainteresowanie. I z racji treści, i z powodu autora. Nie co dzień przecież spotyka się szewca-filozofa. Zaintrygowany wieściami o niezwykłym dziele niezwykłego twórcy, szlachcic Carl von Eudern wezwał do siebie sprawcę całego zamieszania. Poprosił o pożyczenie rękopisu. I, bez zgody Jakuba, wykonał kilka kopii. Krążyły odtąd z rąk do rąk sprawiając, że wkrótce wokół autora *Aurory* skupił się krąg miejscowych intelektualistów, myślicieli, znacznie przewyższających go w hierarchii społecznej. Zachęcali oni Jakuba do wydania drukiem pracy. Niestety, fatalne wydarzenie pokrzyżowało te plany. Oto kościół luterański wysunął wobec Jakuba Boehme oskarżenie o herezję. Został publicznie potępiony przez pastora Zgorzelca Gregoriusa Richtera, w którego ręce wpadł jeden z egzemplarzy *Aurory*. Ów gwałtownik plamiący godność kapłańskiego urzędu zaatakował go w kazaniu *O fałszywych prorokach*. Boehme, który był w kościele, udał się po mszy do zakrystii, pytając w czym zawinił. Richter jednak nie chciał w ogóle z nim rozmawiać. Nazajutrz zaś pognał do rady miejskiej i domagał się wydalenia Boehmego jako zaprzańca i wywrotowca. Radni obawiając się konfliktu z omnipotentnym autorytetem kościelnym wydali nakaz konfiskaty oryginału dzieła oraz wymusili na nieszczęsnym autorze obietnicę zaprzestania pisania. Miał wrócić do dratwy i szewskiego kopyta...

Blisko pięć lat Boehme był posłuszny nakazowi obawiając się prześladowań. Dręczyły go jednak wyrzuty sumienia, że uległ woli ludzkiej, a poniechał wyroku boskiego. Wreszcie, w roku 1618 sumienie (i namowy przyjaciół) zatriumfowały. Chwycił znów za pióro. Opracowywał traktaty polemiczne i wyjaśniające oraz, pełne skruchy, samokrytyki. Te ostatnie były jedynymi pracami, jakie za jego życia opublikowane zostały w formie książek. Nie wywołały one wrogości kół klerykalnych. Niestety, Boehme popełnił także znacznie mniej ostrożne dzieło – *Der Weg zu Christi* („Droga do Chrystusa"). Sprowokowało ono kolejną erupcję żywiołowej nienawiści ze strony dostojnika kościoła luterańskiego. Raz jeszcze Richter grzmiał z ambony. Tym razej jednak los był łaskawszy dla Jakuba. Elektor saski powołał specjalną sześcioosobową komisję dla zbadania „sprawy Boehmego". Odpowiedzi udzielane przez Jakuba podczas przesłuchań wprawiły w osłupienie członków uczonego gremium. „Jak możemy oceniać coś, czego nie rozumiemy" – powie jeden z doktorów. Ich zdania były podzielone, mimo to nie mogli się zdecydować, by uznać Boehmego winnym herezji. Szewc-filozof wrócił do Zgorzelca chroniony elektorską łaskawością, przeciwko której jego oponent nie mógł nic zdziałać.

Ostatnie lata swego życia Boehme spędził w spokoju, otoczony sławą i zainteresowaniem. Powalony gorączką podczas wizyty u śląskiego szlachcica ma przeczucie zbliżającej się śmierci. W niedzielną noc 21 listopada 1624 roku wzywa syna Tobiasza i pyta, czy ten słyszy dźwięki niebiańskiej muzyki. Pyta o godzinę. Kiedy słyszy, że jest druga, powiada, że jego ziemski czas dokona się za cztery godziny. O szóstej pożegnał zgromadzonych. Idę do raju – oświadczył.

Już w roku 1641 król angielski Karol I wyprawił do Zgorzelca uczonego, by ten przetłumaczył „dzieła wszystkie" Boehmego. Odtąd Boehme na dobre zadomowił się w mglistym Albionie. Dyskutowany i ceniony był nie tylko w środowisku teologów anglikańskich czy osób posiadających skłonności do mistycyzmu, zyskał również uznanie Newtona i Williama Blake'a. Jego zwolennicy tworzyli coś na kształt sekty religijnej. Podobnie działo się w Holandii, a także w Stanach Zjednoczonych, gdzie fanatycy Boehmego sformowali ruch znany jako „Filadelfianie" działający w XVIII i XIX wieku.

W Niemczech pierwszym wydawcą *Opera Boehmica* był, uwaga! syn śmiertelnego wroga Jakuba Boehme, pastora Richtera, zaś kontynuatorami jego myśli byli Hegel, Schelling, Schoppenhauer, Gichtel.

Dorobek Jakuba Boehme podzielić można na trzy części, z grubsza odpowiadające trzem okresom jego twórczości. Po pierwsze studia nad istotą, naturą bóstwa (*Aurora*). Po drugie – nad sposobami przejawiania się boskości w strukturze świata i człowieka (cztery fundamentalne prace – *Die Drei Prinzipien* – „Trzy Zasady"; *Vom Dreifachen Leben der Menschen* – „O Trojakim Życiu Człowieka"; *Von der Geburt* – „O Narodzinach"; *Von der Menschwerdung Christi* – „O Uczłowieczonym Chrystusie"). Po trzecie wreszcie, bardzo zaawansowne spekulacje teologiczne. Ich rezultatami były m.in. rozprawy *Von Christi Testamenten* („O Testamencie Chrystusa") oraz słynne *Mysterium Magnum* („Wielka Tajemnica").

Chcąc scharakteryzować jak najkrócej system Boehmego, powiada się, że obejmuje on ideę Boga jako *Urgrund* – praprzyczynę, pierwotne podłoże wszelkiego bytu (czy też *Ungrund* – nicość dążącą do stania się czymś, wszystkim) oraz dialektyczną koncepcję rzeczywistości traktowanej jako gra przeciwieństw. (W tak i nie istnieją wszystkie rzeczy). Zacznijmy jednak od początku. I to w sensie dosłownym, bo Jakuba Boehme najbardziej interesuje początek. Wielki Początek i to wszystko co nastąpiło później, a doprowadziło do grzechu (co pod nim rozumie, o tym dalej). Rekonstrukcja tajemniczego procesu, którego efektem jest nasz skalany świat i my sami, jest niezbędna dla znalezienia remedium na ów grzech. Pewnym ułatwieniem będzie okoliczność, że ów proces powtarza się w toku życia każdego z nas, w nas samych...

Trzeba więc cofnąć się do czasów przed czasem, choć grozić to może pomieszaniem zmysłów, i stwierdzić jak ujawniła się moc, siedem form natury, dwie odwieczne zasady – Ciemność i Gniew oraz Miłość i Światło. Jak powstał obecny świat trzeciej zasady, stojącej pomiędzy nimi i według nich kwalifikowany jako dobry lub zły..

Oto wszystko, co możemy powiedzieć o stanie poprzedzającym powstanie rzeczywistości zjawiskowej. Najwyższy Duch (którego nazywamy Bogiem) pozostawał w kondycji Pełnego Spoczynku. W nim było wszystko w stanie czystej możliwości. Wszystko było w nim jako niezróżnicowane elementy składowe Jego Bytu. Jako Esencja, Wola, Moc, a nie egzystencja. Z niego właśnie wywodzi się owych siedem form natury, form rzeczy.

Najpierw ze światła wyłonił się Mrok, gęstniejąca twardość (materia?). W sensie duchowym to moc egoizmu, samozadowolenia, opornego bezwładu. Później – przeciwstawna jej druga forma – Atrakcja. Dążenie do zmian, poszukiwanie nowych kombinacji. To zasada niepokoju, braku spoczynku. Duchowo to coś, co zmusza nas do aktywności, doświadczania. Z konfliktu dwóch pierwszych form powstaje trzecia – Gorycz. To napięcie wynikające z opozycji między nimi. Gorycz niezadowolenia, narzekanie, żal, skrucha. Wzrost napięcia wywołuje Ogień – czwartą formę. Pojawia się świadomość – wola i możliwość wyboru. Ogień może palić i niszczyć, ale i oświecać. Może stać się światłem miłości lub być płomieniem gniewu, złości, nienawiści. I Światło to właśnie piąta forma. Szósta to Brzmienie (dźwięki, kolory, zapachy, smaki). Siódma – Postać. Światło ujawnia rzeczy, jakimi są, zmienia ich charakter. Brzmienie czyni je dostępnymi postrzeganiu. Postać – zamyka je...

Trzy pierwsze formy są podstawowymi przyczynami całej różnorodności zjawisk. Czwarta forma otwiera, niejako, dwa kierunki biegu procesu. Ku dobru i ku złu, pięknu i szpetocie...

Nawiasem mówiąc, poważną przeszkodę w zrozumieniu (i w prezentacji) myśli Boehmego stanowi używana przez niego terminologia alchemiczna. Tę ostatnią Boehme, sam nie będący alchemikiem, pozna gruntownie podczas studiów nad Paracelsusem. Pojęcia alchemiczne zawierające w sobie inne poza zewnętrznym, oczywistym znaczeniem znakomicie nadawały się do ukrywania w nich rozmaitych aluzji duchowych, jakże często całkowicie nieczytelnych dla profanów. Przemiana metali pospolitych w złoto symbolizuje metamorfozę zewnętrznej upadłej natury w wewnętrzną, duchową, nieskalaną, w której stworzono człowieka na obraz i podobieństwo boże. Oto Opus Magnum – Wielkie Dzieło Regeneracji – zadanie stojące przed ludzkością. Zanim jednak powiemy o odrodzeniu, wyjawmy czym jest grzech.

Grzech, naucza Boehme, to nic innego jak... fałszywe wyobrażenie! Jeśli trwa wiecznie – po wieki jesteśmy w piekle. Jeśli zaś wyznajemy prawdziwe mniemania – jesteśmy w niebie! Nasza wyobraźnia właściwie odzwierciedla rzeczywistość, gdy wspomagana jest wewnętrznym światłem, jeśli go brak, obraz jest zniekształcony. Wykwity chorobliwej imaginacji, jakkolwiek byłyby nierealistyczne, istnieją! Wszak wyobraźnia określa, co jest dla nas realne, a co nie...

Konsekwencją grzechu jest zakłócenie wzajemnych relacji części i całości. Człowiek dla niższych istot powinien być tym, czym Bóg dla niego. Istota owych związków polegać winna na miłości, służbie i harmonii. Początkowa równowaga została unicestwiona przez Upadek. Najpierw Lucyfera, później Adama. Ten pierwszy wybrał Ogień, odrzucił światło, rzekł „Zło bądź dobrem". Nasz praojciec nie dość że pozbawił się swej pierwotnej, doskonałej dwupłciowości (stało się to w stanie zawężonej świadomości – we śnie), to jeszcze wykoncypował zupełnie opaczne poglądy na temat swojej i swojej małżonki roli w raju oraz podstaw działania. Zaiste, srodze zawiodą się pierwsi rodzice ufając swoim oczom i światu zewnętrznemu, czyniąc z nich własne miary dobra, przyjemności i mądrości. Zawiodą ich one ku śmierci... Na szczęście iskra boża tli się. Grzech Adama jest odwracalny za sprawą odtwarzającego jego rolę Chrystusa i jego testamentu, jakże pomocnego w dziele odrodzenia – a składają się nań m.in. chrzest i komunia. One to i nasze starania przywrócą nam to, co Adam utracił....

Dziwne to wyznanie wiary prostego łatacza butów ze Zgorzelca, nic dziwnego, że konfundowało mu współczesnych.

Dziś historycy filozofii są zgodni, że znaczenie Jakuba Boehme wyraża się w jego odkryciu, iż we wszystkich rzeczach dostępnych ludzkiemu rozumowi istnieje element ukryty i jawny. Badane oddzielnie mogą wydawać się absolutnymi przeciwieństwami, złem i dobrem. Nie trzeba jednak wcale niszczyć jednego, by mogło istnieć drugie. Należy łączyć siłę zła (pozbawioną jego cech) z dobrem. Zwiększa to jego moc. Potrzebna jest nie destrukcja, ale zmiana relacji, stosunków między rzeczami, aby świat stał się lepszy. Religijna wartość dzieła Boehmego to choćby oryginalny wykład etyki chrześcijańskiej. Co ciekawe, pisma Jakuba nie wyjawiają żadnej z gorączkowych ekstaz zapełniających prace innych mistyków. Boehme nigdy też nie twierdził, że utrzymuje ożywione kontakty z duchami i aniołami. Brak jest też jakichkolwiek relacji o cudach. Równocześnie jednak trudno oprzeć się wrażeniu, że autor wielu tak pięknych myśli, tu ledwie zasygnalizowanych, pozostawał w dziwnej zażyłości ze światem niewidzialnym. Schylony nad szewskim kopytem sięgał wzrokiem dalej niż ściany jego warsztatu... Dokąd?

JACEK GOLĘDZINOWSKI

JAMES THURBER

WSZYSTKO PRZEZ TE KRÓLIKI

Najmłodsze z dzieci długo pamiętało pewną króliczą rodzinę, która mieszkała w sąsiedztwie wilków. Razu pewnego wilki wydały oświadczenie, w którym stwierdzały, że stanowczo nie aprobują zachowania królików i ich sposobu życia. (Wilki są bowiem bardzo wrażliwe na punkcie ich własnego sposobu życia, ponieważ jest to jedyny możliwy i najlepszy sposób życia.) Pewnej nocy kilka wilków zginęło z powodu trzęsienia ziemi. Ale winne okazały się oczywiście króliki, ponieważ, jak wszyscy doskonale wiedzą, trzęsienia ziemi biorą się stąd, że to nie kto inny a właśnie króliki łomocą o ziemię tylnymi łapami, powodując wstrząsy tektoniczne. Innej znowu nocy jeden z wilków padł rażony piorunem. I znowu winę za to ponosiły króliki, bo, jak wszyscy mogą zaświadczyć, to właśnie te przeklęte sałaciarze powodują wyładowania atmosferyczne. Wilki zagroziły, że jeżeli króliki nie zmienią swych pożałowania godnych obyczajów, będą zmuszone podjąć zdecydowane kroki w celu ich ucywilizowania.

Króliki postanowiły więc zwiewać co sił w nogach na bezludną wyspę. Ale inne zwierzęta, żyjące w odległym sąsiedztwie, zawstydziły je mówiąc:

– Nie wolno wam uciekać. Musicie wytrwać dzielnie na swym posterunku. Ten świat nie jest dla eskapistów. A jeżeli wilki ośmielą się was zaatakować, przyjdziemy wam z pomocą. Możecie nam zaufać.

Tak więc króliki zdecydowały pozostać i nadal dzielić sąsiedztwo z wilkami. Ale pewnego dnia przyszła straszna powódź, która pochłonęła wiele ofiar wśród wilków. Winą, rzecz jasna, znowu obarczono króliki, ponieważ powszechnie znane fakty dowodzą, iż to te długouche zjadacze marchewki są przyczyną powodzi. Doprowadzone tą podłością do ostateczności wilki wkroczyły na terytorium królicze i dla ich własnego, królików, dobra uwięziły je w ciemnej jaskini, mając na uwadze wyłącznie ich własne, królików, bezpieczeństwo, rzecz jasna.

Kiedy o królikach było cicho przez kilka długich tygodni, inne zwierzęta zażądały wyjaśnień w tej sprawie. Wilki w odpowiedzi zakomunikowały, że króliki zostały zjedzone, i właśnie z tego powodu, iż zostały zjedzone, jest to ich, wilków, czysto wewnętrzna sprawa, w którą nikt nie ma prawa ingerować. Jednakże zwierzęta w wydanym przez siebie oświadczeniu jasno stwierdziły, iż czują się zmuszone ostrzec wilki, że jeżeli te nie podadzą powodów, dla których podjęły tak drastyczne działania przeciw królikom, one, zwierzęta, utworzą unię przeciwko wilkom.

Przyparte do muru wilki podały następującą przyczynę swojego postępowania: ,,Doniesiono nam, że króliki zamierzały uciec'' – brzmiała odpowiedź – ale, jak wszyscy doskonale wiemy, ten świat nie jest dla eskapistów''.

Morał: *Nie odchodź, ale zwiewaj co sił w nogach na najbliższą bezludną wyspę!*

SZYBA

Całkiem niedawno robotnicy pracujący przy budowie studia w Connecticut pozostawili tam ogromną, zupełnie przezroczystą, pionową szklaną płytę, całkiem o niej zapomniawszy. Szczygieł lecący wysoko ponad terenem budowy uderzył w tę szybę i spadł bez zmysłów na ziemię. Kiedy przyszedł do siebie, pospieszył czym prędzej do swego klubu, gdzie lokaj zabandażował mu głowę i podał coś mocniejszego.

– Co ci się, u diabła, stało? – zapytała Mewa.

– Leciałem sobie zwyczajnie nad polem, gdy zupełnie nieoczekiwanie skrystalizowało się przede mną powietrze – odpowiedział Szczygieł.

Mewa, Jastrząb i Orzeł roześmieli się serdecznie. Tylko Jaskółka uważnie słuchała w milczeniu.

– Od piętnastu lat, najpierw jako żółtodziób, a potem jako dorosły ptak, latam po tym kraju – stwierdził Orzeł – i zapewniam was, że nie ma nic takiego jak skrystalizowane powietrze. Woda, owszem, ale powietrze – nie!

– Może trafił ci się okruch gradu? – podsunął Jastrząb.

– Albo może miałeś kolizję z gromem? – spytała Mewa. – A ty, jak myślisz, Jaskółko?

– Ja? Dlaczego ja...? Aha, no więc myślę, że powietrze jednak mogło się przed nim skrystalizować – odrzekła z wahaniem Jaskółka.

Duże ptaki tak się zaniosły od rechotu, że Szczygieł zdenerwował się nie na żarty i założył się z każdym z nich o cały tuzin robaków, że nikt nie potrafi przelecieć tej samej trasy nad polami, nie natrafiając na stwardniałą atmosferę. Mewa, Orzeł i Jastrząb przyjęli zakład. Jaskółka zaś poleciała z nimi, żeby popatrzeć.

– Ty też chodź z nami! – zawołali do Jaskółki, szykując się do lotu.

– Ja? Ja... może lepiej nie – odrzekła Jaskółka. – Wolałabym nie ryzykować.

Wówczas trzy duże ptaki oderwały się równocześnie od ziemi i lecąc wskazaną drogą równocześnie uderzyły o szybę, spadając bez przytomności na ziemię.

Morał: *Niekiedy moment wahania oszczędza wielu przykrości.*

Przełożył ADAM CHMIELEWSKI

PIEŚNI BILITIS



rys. Krzysztof Tyszkiewicz

Deszcz

Pierre Louys

przekład
LEOPOLD STAFF

Drobny deszcz zwilżył wszystko łagodnie i cicho. Jeszcze pada nieco. Wyjdę pod drzewa. Boso, by nie splamić obuwia.

Deszcz na wiosnę jest rozkoszny. Gałęzie obarczone wilgotnymi kwiaty mają woń, która mnie odurza. Widać lśniącą w słońcu delikatną skórę kory.

Niestety! Ileż kwiecia na ziemi! Miejcie litość dla opadłych kwiatów. Nie trzeba ich zmiatać i mieszać z błotem; lecz zachować je dla pszczół.

Chrząszcze i ślimaki chodzą drogą wśród kałuż wody; nie chcę stąpać po nich, ni straszyć tej złotej jaszczurki, która wyciąga się mrużąc powieki.


rys. Krzysztof Tyszkiewicz

Kwiaty

Nimfy lasów i źródeł, przyjaciółki dobroczynne, oto tu jestem. Nie kryjcie się, lecz przyjdźcie mi pomóc, gdyż nie mogę dać rady tylu zerwanym kwiatom.

Chcę wybrać z całego lasu biedną hamadryjadę o wzniesionych ramionach i w jej włosy barwy listowia wetknę najcięższą swą różę.

Spójrzcie: zebrałam ich tyle na polach, że nie będę mogła ich donieść, jeśli mi z nich nie zrobicie bukietu. Jeśli odmówicie, strzeżcie się!

Gdyż widziałam, jak tę z was, która ma włosy barwy pomarańczy, posiadł wczoraj, jak zwierzę, satyr Lamprosathes i zdradzę bezwstydną.

przekład
LEOPOLD STAFF

Karel Čapek

ATTYLA

Rano przyniósł posłaniec ze skraju lasu wiadomość, że na południowym wschodzie gorzała w nocy ognista łuna. Tego dnia znowu siąpiło, mokre polana nie chciały się palić; trzej ludzie z gromady ukrytej w wąwozie zmarli na krwawą biegunkę. Ponieważ już nie było co jeść, dwaj mężczyźni wyprawili się do pasterzy w zalesiu; wrócili późnym popołudniem, przemoknięci i śmiertelnie zmęczeni. Ledwo z nich wydobyto, że jest źle: owce padają, a krowy dostają wzdęcia; pasterze rzucili się na nich z kijami i nożami, kiedy jeden z nich chciał odprowadzić swoją własną jałówkę, którą im powierzył przed ucieczką w lasy.

– Módlmy się – powiedział proboszcz cierpiący na biegunkę. – Pan się zlituje.

– *Chryste elejson* – zaczęła chórem znękana gromada.

W tejże chwili wśród kobiet wybuchła wrzaskliwa kłótnia o jakąś tam wełnianą szmatę.

– A cóż tam znowu, przeklęte baby – wrzasnął wójt i skoczył okładać kobiety batem.

Od razu zelżało bezradne napięcie, mężczyźni poczuli się znów mężczyznami.

– Tutaj się ta dzicz nie dostanie – rzucił jakiś wąsacz. – Gdzieżby, do tego wąwozu, tutaj, przez te zarośla! – Podobno mają konie małe i nędzne jak kozy.

– Ja bym powiedział – sprzeciwił się jakiś zdenerwowany człowieczyna – żeśmy powinni byli zostać w mieście. Tyleśmy się napłacili na te umocnienia... za taką forsę mogłyby być wały obronne jak diabli, no nie?

– No pewnie – szydził z niego suchotniczy bakałarz. – Za tyle forsy mogły być wały z kołaczów. Idź, ugryź se troszkę, dużo ludzi się tym, chłopysiu, obżarło, może tam zbyło coś i dla ciebie.

Wójt ostrzegawczo sapnął; ta rozmowa była tu widocznie nie na miejscu.

– Ja bym powiedział – trwał przy swoim rozdrażniony obywatel – że kawaleria przeciw takim umocnieniom... Nie wpuścić ich do miasta, i koniec. Mogliśmy siedzieć w suchym i bezpiecznym miejscu.

– Więc wróć do miasta i wleź pod pierzynę – radził mu wąsacz.

– Cóż bym tam sam robił? – odciął się rozdrażniony człowiek. – Mówię tylko, żeśmy powinni byli zostać w mieście i bronić się... Chyba mam prawo powiedzieć, że się popełniło błąd, nie? Tyle nas te umocnienia kosztowały, a potem się mówi, że są do niczego. No proszę!

– Czy tak, czy owak – powiedział proboszcz – musimy przecież wierzyć w pomoc bożą. Ludzie, toć ten Attyla to tylko poganin.

– Bicz boży – odezwał się mnich szczękający zębami z zimna. – Kara boża.

Mężczyźni rozdrażnieni zamilkli; ten gorliwy mnich tylko by wciąż prawił kazania, a nawet nie należy do gminy. Od czego mamy swego proboszcza? – myśleli mężczyźni. Ten jest nasz, trzyma z nami i nie wymyśla tak na nasze grzechy. Jakbyśmy to znowu tyle nagrzeszyli – myśleli mężczyźni markotnie.

Deszcz ustał, ale ciężkie krople wciąż jeszcze szeleściły w koronach drzew.

Boże, Boże, Boże – stękał proboszcz, trapiony swą chorobą.

Pod wieczór straże przywlokły zmizerowanego wyrostka, ponoć uciekiniera ze wschodu, z zajętego kraju.

Wójt się napuszył i zaczął uciekiniera przesłuchiwać; uważał snadź, że tak urzędową sprawę musi się załatwić jak najdokładniej.

Tak, mówił chłopak, Hunowie są już tylko jakieś jedenaście mil stąd i posuwają się powoli naprzód. Zajęli jego miasto, widział ich; nie, Attyli nie – widział jednak innego generała, takiego grubasa. Czy miasto spalili? Nie, nie spalili, ich generał wydał proklamację, że się cywilnej ludności nic nie stanie, ale że miasto musi dostarczyć spyży, paszy i czegoś tam jeszcze. I że się obywatele muszą powstrzymać od wszelkich wrogich wystąpień przeciw Hunom, bo w przeciwnym razie zastosuje najsurowsze represje.

– Ale ci poganie przecież mordują nawet kobiety i dzieci – twierdził z przekonaniem wąsacz.

Chyba nie, rzekł chłopak. U nich w mieście nie. On sam wlazł w słomę, ale gdy mu mama powiedziała, że ponoć Hunowie mają brać młodych mężczyzn na poganiaczy stad, uciekł nocą. To chyba wszystko, co wie.

Mężczyźni byli niezadowoleni.

– Przecież wiadomo – oświadczył jeden – że ucinają niemowlętom ręce, a co robią z kobietami, to trudno opisać.

– Ja o niczym takim nie wiem – rzekł chłopak, jakby się usprawiedliwiał. W każdym razie u nich chyba nie było tak źle. A ilu tych Hunów jest? Może około dwustu, więcej ich nie będzie.

– Łżesz! – krzyknął wąsacz. – Wszyscy przecież wiedzą, że jest ich ponad pięćset tysięcy. I gdzie przyjdą, wszystko mordują i palą.

– Zamykają ludzi do stodół i tam ich palą – rzekł drugi.

– A dzieci nadziewają na kopie – wtrącił trzeci w podnieceniu.

– I pieką je nad ogniem – dodał czwarty, pociągając zakatarzonym nosem. – Przeklęte pogany!

– Boże, Boże – jęczał proboszcz – Boże, zmiłuj się nad nami!

– Ty mi się wydajesz jakiś dziwny – powiedział wąsacz, spoglądając podejrzliwie na młodzika. – Jak możesz mówić, żeś widział Hunów, gdyś był schowany w słomie?

– Mama ich widziała – wyjąkał młodzik – i nosiła mi na strych jedzenie.

– Łżesz – zagrzmiał wąsacz. – My przecież wiemy, że gdzie Hunowie przyjdą, tam wyżrą wszystko jak szarańcza. Ani liście na drzewach po nich nie zostają, rozumiesz?

– Boże na niebie, Boże na niebie – zaczął histerycznie płakać zdenerwowany obywatel. – I dlaczego, dlaczego się tak dzieje? Kto temu winien? Kto ich tu wpuścił? Myśmy się tyle napłacili na wojsko... Boże na niebie!

– Kto ich tu wpuścił? – odezwał się drwiąco bakałarz. – Ty nie wiesz? Zapytaj się pana cesarza bizantyjskiego, kto tu ściągnął te żółte małpy! Dziś już każdy wie, synku, kto płaci za wędrówkę ludów! Nazywa się to pięknie wielka polityka; jasne?

Wójt sapnął z powagą.

– Bzdury. Sprawa wygląda zupełnie inaczej. Oni, ci Hunowie, pewnie w domu zdychali z głodu... leniwa banda.... Pracować to nie umie... cywilizacji żadnej to nie ma... a chcą się nażreć! Dlatego walą na nas... aby nam.. tego... owoce naszej pracy. Tylko kraść, rozdzielić łupy... i znów ciągnąć dalej, łajdaki!

– To są nieoświeceni poganie – powiedział proboszcz. – Dziki i niewykształcony lud. Pan nas jedynie tak doświadcza; módlmy się i składajmy dzięki, a znów będzie dobrze.

– Bicz boży – zaczął w podnieceniu kazać rozgorączkowany mnich. – Bóg was karze za wasze grzechy, Bóg prowadzi Hunów i zgładzi was jak mieszkańców Sodomy. Za waszą rozpustę i bluźnierstwa, za zatwardziałość i bezbożność waszych serc, za wasze łakomstwo i obżarstwo, za wasz grzeszny dobrobyt i mamonę Bóg was odepchnął i wydał w ręce nieprzyjaciół!

Wójt huknął groźnie:

– Stul pysk, domine; nie jesteś w kościele, zrozumiano? Przyszli się nażreć. Te głodomory, dranie, hołota...

– To jest polityka – obstawał przy swoim bakałarz. – W tym palce macza Bizancjum.

Wtem odezwał się zapalczywie czarniawy człowiek, z zawodu konwisarz:

– Wcale nie Bizancjum; kotlarze to spowodowali i nikt inny! Przed trzema laty był tutaj włóczęga kotlarz i miał właśnie takiego małego i nędznego konia, jak mają Hunowie.

– Więc co z tego? – spytał wójt.

– To przecież jasne – krzyczał czarniawy człowiek. – Ci kotlarze szli naprzód, aby wypatrzeć, co gdzie jest... to byli szpiedzy... Tylko kotlarze to uknuli! Wie to kto, skąd przyszli? I czego tu w ogóle chcieli? Co, co... po co, gdy jest w mieście osiadły konwisarz? Tylko nam interes psuć... i szpiegować. Jak żyją, nie chodzili do kościoła... czarowali, zaklinali bydło, kury za sobą ciągnęli... Wszystko przez tych kotlarzy.

– Coś w tym jest – zastanowił się wąsacz. – Kotlarze są dziwni, pono żrą nawet surowe mięso.

– Złodziejska banda! – przytwierdził wójt. – Kradną kury i w ogóle.

Konwisarz uniósł się sprawiedliwym gniewem:

– Widzicie więc. Mówi się Attyla, a to tymczasem kotlarze... Za wszystkim, za wszystkim kryją się ci przeklęci kotlarze. Zaczarowali nam bydło... zesłali na nas krwawą biegunkę... wszystko kotlarze! Powinniście ich byli wieszać, gdy się tylko pokazali! Cóż to, nie wiecie... nie wiecie o kotłach piekielnych? I nie słyszeliście, że ci Hunowie w marszu biją w kotły? Każde dziecko musi pojąć ten związek! To kotlarze ściągnęli na nas wojnę... Kotlarze są wszystkiemu winni... I ty – krzyknął z pianą na ustach, wskazując na obcego chłopaka – tyś także kotlarz, jesteś sprzymierzeńcem i szpiegiem kotlarzy! Po toś przyszedł... i chciałeś nas zbałamucić, ty kotlarzu, chciałeś nas wydać kotlarzom!

– Powiesić go! – zawołał piskliwie rozdrażniony człowieczek.

– Zaczekajcie, sąsiedzie – przekrzykiwał wrzawę wójt. – Trzeba zrobić śledztwo... Cicho!

Zaczęły się zbiegać i kobiety.

Tej nocy gorzała łuna na północnym zachodzie. Chwilami padał przelotny deszcz. Pięciu ludzi z gromady umarło na krwawą biegunkę i z zaziębienia.

Chłopaka po dłuższych torturach powiesili.

Przełożyła
HELENA GRUSZCZYŃSKA-DĘBSKA

KRZYSZTOF WESOŁOWSKI

Arcydzieła i przestępcy

TAJEMNICE PIĘKNEGO UŚMIECHU

,,Jeśli chcecie poznać tajemnicę jej uśmiechu, jeśli chcecie wiedzieć, kim ona jest naprawdę, jeżeli wreszcie pragniecie uznać swą pomyłkę, przeczytajcie moją książkę. Ta, na którą patrzycie od wieków, nie jest tą, za którą ją uważacie!!'' Tak można by zareklamować książkę, która ukazała się w roku 1967 i wywołała jedną z potężnych burz, jakie od czasu do czasu wstrząsają światem historyków i miłośników sztuki.

Z powodu interesującego nas dziś dzieła takie burze wybuchały dwukrotnie: raz w roku 1911, a raz właśnie w 1967. Ale czas wreszcie wyjaśnić, o czyj uśmiech i czyją tajemnicę chodzi. Pomoże nam w tym piękny opis dzieła dokonany przez Giorgio Vasariego, włoskiego malarza, architekta i rzeźbiarza, urodzonego w roku 1511, czyli 8 lat przed śmiercią genialnego Leonarda da Vinci. Vasari był twórcą fresków i obrazów sztalugowych, zaprojektował Palazzo degli Uffizi, przebudował Palazzo Vecchio, ale przede wszystkim zasłynął jako twórca pierwszej w dziejach ludzkości historii sztuki. W niej właśnie znajdujemy taki oto opis interesującego nas dzieła:

,,Ktokolwiek chce wiedzieć, jak sztuka zdolna jest naśladować naturę, tutaj dojrzy to bez trudności. Albowiem najmniejsze szczegóły oddane są z możliwą delikatnością. Oczy mają blask i wilgotność żywych. Wokół oczu dają się zauważyć czerwono-niebieskie żyłki i brwi, jakie tylko z największą lekkością można wykonać. Widać rzęsy wyrastające z powiek, rzadkie i wygięte, które nie mogą być namalowane naturalniej. Nos, ze wszystkimi swoimi pięknymi cieniami, różowymi i miękkimi, wydaje się być żywy. Usta w kątach i zaokrągleniu, tam gdzie czerwień warg łączy się z kolorem twarzy, zdają się być prawdziwe jak ciało i krew. Kto dobrze przypatrzy się wgłębieniu szyi, zobaczy uderzenie pulsu. Naprawdę portret ten każdego wybitnego artystę musi zdumieć i zachwycić.''

Czy ktoś ma jeszcze najmniejsze wątpliwości, o jaki obraz chodzi? Myślę, że nie, ale gdyby tak jednak było, wyjaśnię, że ten piękny opis Vasariego dotyczy cudownego dzieła Leonarda da Vinci, ,,Mony Lisy''. Niewielu jest ludzi na świecie, którzy nie znają dzieła mistrza. Jeżeli nie widzieli oryginału, to bez wątpienia zetknęli się z jedną z milionów reprodukcji i to niekoniecznie umieszczoną w jakimś albumie. Wizerunki tajemniczo uśmiechniętej damy zdobiły i zdobią: torby reklamowe, zapałki, witryny antykwariatów i sklepów z pietruszką, znaczki, pocztówki, piórniki, zapalniczki, puszki z piwem, butelki musującego wina i setki tysięcy innych przedmiotów.

,,Mona Lisa'', będąc genialnym dziełem, stała się jednocześnie najlepszą formą reklamy. Jej spokojna twarz ozdobiona intrygującym uśmiechem budzi pożądanie i zaufanie. Nie ma w tym najmniejszej przesady. O pożądaniu jeszcze opowiemy, a o zaufaniu wiedzą już dawno specjaliści od reklamy na całym świecie.

Pięknu uwiecznionej przez mistrza damy, a zwłaszcza jej tajemniczemu uśmiechowi, poświęcono tysiące stron poezji i prozy, wiele kilometrów taśmy filmowej, dziesiątki kilogramów farb, za pomocą których malarze, fałszerze i kopiści próbowali zbliżyć się do boskiego oryginału.

Pełen zachwytu opis Vasariego pochodzi z XVI wieku, ale w ciągu czterech stuleci ten zachwyt nie tylko nie stopniał, ale jeszcze spotężniał i umocnił się. Aby nie być gołosłownym, przytoczmy jeszcze jeden opis portretu, tym razej jak najbardziej współczesny, bo pochodzący z roku 1980. Jego autorem jest historyk sztuki Ernst Ullman: ,,Fascynujący uśmiech Mony Lisy zdaje się dopiero pojawiać na jej ustach. Jest niespotykany. Artysta oryginalnie sprostał obowiązującej konwencji malowania uśmiechu jako wyrazu czaru modnych dam. Z obrazu emanuje łagodny nastrój. Mona Lisa – zarys jej ciała tworzy kompozycyjny trójkąt – spokojnie i dumnie zwraca się ku patrzącemu. Karnacja twarzy i biustu lśni przy ciemnych szatach na tle pejzażu o zmierzchu.''

Ale Mona Lisa ma nie tylko urok, czar i tajemniczy uśmiech. W jej oczach kryją się jeszcze inne, nie wyjaśnione do dziś sekrety i zagadki.

Po raz pierwszy, jak już wpominaliśmy, dały one o sobie znać na początku stulecia, ale do tego jeszcze wrócimy. Po raz drugi tajemnica ,,Mony Lisy'' odżyła w roku 1967 w Londynie, który z cudowną włoską damą nie ma nic wspólnego. Czy rzeczywiście? Joseph Pulitzer jako pierwszy dziennikarz wprowadził do gazety duże tytuły, komiksy, a przede wszystkim obszerne artykuły sensacyjne. Henry Pulitzer, angielski antykwariusz, poszedł śladem swego słynnego imiennika z przełomu XIX i XX wieku i w roku 1967 opublikował w Londynie bulwersującą i sensacyjną książkę, w której stwierdził ni mniej, ni więcej: ,,Mona Lisa z Paryża nie jest falsyfikatem i nikt nie pomylił się co do nazwiska autora. Malował obraz istotnie Leonardo da Vinci. Natomiast jest rzeczą pewną, że istnieją prawie identyczne dwa oryginalne portrety – jeden w Luwrze, a drugi mój. I jeżeli mam być dokładny, to właśnie mój portret jest Mony Lisy.''. Innymi słowy Pulitzer stwierdził, że portret Mony Lisy pędzla Leonarda da Vinci nie znajduje się w Luwrze, ale w sejfie jednego z londyńskich banków.

Czyż trzeba dodawać, jak wielką wywołało to sensację? Historycy sztuki nie mieli zamiaru uwierzyć na słowo, wszak londyński antykwariusz nie był pierwszym, który przyznawał się do posiadania prawdziwej Mony Lisy. Przed nim czyniło to już wielu żądnych sensacji maniaków, ale Pulitzer był pierwszym, który twierdząc, że jest właścicielem ,,Mony Lisy'', nie negował jednocześnie autentyczności paryskiego obrazu. Jak to możliwe? Wszak ,,Mona Lisa'' jest tylko jedna, więc albo posiada ją paryski Luwr i wtedy Pulitzer jest zwykłym oszustem, albo rzeczywiście on jest właścicielem dzieła, które ukrywa, a portret wiszący w Luwrze jest wszystkim innym tylko nie portretem Mony Lisy.

Ta druga hipoteza wydaje się być zupełnie nieprawdopodobna, ale Pulitzer ani na jotę nie miał zamiaru ustąpić. Poczęto, po raz nie wiadomo który, przewracać życiorys Leonarda do góry nogami. Niezależnie jednak od interpretacji, faktom nie dało się zaprzeczyć, a fakty były następujące. Pod koniec roku 1516 lub na początku 1517 Leonardo da Vinci przybył na dwór króla Francji, Franciszka I na jego

osobiste zaproszenie. We Francji pozostawał do momentu swej śmierci. Czy w tym czasie stworzył coś interesującego? Raczej zabawnego. Skonstruował bowiem lwa, który sam się poruszał, a gdy zbliżył się do tronu króla, łapą otworzył sobie pierś, a w niej tkwił bukiet białych lilii. Jak na wielkiego artystę to raczej niewiele, ale pamiętajmy, że Leonardo miał już wówczas ponad sześćdziesiąt lat. Pod koniec 1517 roku artystę odwiedził kardynał Luigi d'Aragona, którego sekretarz tak opisał w swym dzienniku wizytę w pracowni artysty: „Dnia 10 października 1517 roku monsigniore odwiedził w towarzystwie wszystkich, na jednym z przedmieść Amboise, Florentczyka Leonarda da Vinci, starca powyżej 70 lat, największego malarza naszych czasów. Ten pokazał kardynałowi trzy obrazy: jeden namalowany z natury na zlecenie zmarłego Magnifico, Giuliana de'Medici, przedstawiał pewną florencką damę, drugi świętego Jana Chrzciciela jako młodzieńca, a trzeci Madonnę z Dzieciątkiem umieszczoną na kolanach świętej Anny, i wszystkie trzy nad wyraz doskonałe; lecz z powodu jakiegoś paraliżu, który obezwładnił mu prawą rękę, zaiste nie należy się już po nim spodziewać żadnych pięknych dzieł. Wyszkolił sobie ucznia Mediolańczyka, który pracuje wcale dobrze; i chociaż wspomniany Messer Leonardo nie może już malować z tym samym wdziękiem, z którego jest znany, zajmuje się jednak szkicowaniem kompozycji i udziela wskazówek".

Sekretarz kardynała popełnił dwa niewielkie błędy. Źle ocenił wiek mistrza – w roku 1517 miał on 65 lat, a po drugie nie zauważył, że ów paraliż obezwładniający prawą rękę mistrza nie mógł mu w niczym przeszkadzać, jako że Leonardo był mańkutem. Niezależnie od tego, ocena możliwości twórczych starzejącego się artysty jest jak najbardziej słuszna, a oglądane przez kardynała obrazy, to bez wątpienia: „Święty Jan Chrzciciel", „Święta Anna Samotrzecia", „Mona Lisa". Dla nas jest to stwierdzenie szalenie istotne, było ono także nie lada argumentem w przełomowych latach dziejów paryskiej „Mony Lisy", to znaczy w latach 1911 i 1967.

Po śmierci Leonarda w roku 1519 dzieło kupił za 12 tysięcy złotych skudów, jak chcą jedni, lub 12 tysięcy franków, jak twierdzą drudzy, w każdym razie kupił je król Franciszek I. Płótno zwężono po osiem centymetrów z każdego boku i przemalowano nieco partie sukni, szala, prawej dłoni i nieba. Te poprawki były konieczne, jako że dzieło nie zostało nigdy przez mistrza skończone z przyczyn nieznanych nam do dziś. Poprawioną „Monę Lisę" umieszczono najpierw w Fontainebleau, a następnie w Paryżu, gdzie wisi do dziś. Czegóż więc ten bezczelny Anglik chce? Na jakiej podstawie śmie twierdzić, że to on jest właścicielem prawdziwej „Mony Lisy"? Gdy emocje nieco opadły, sprawę zaczęto badać dokładniej.

Przede wszystkim zainteresowano się, skąd Pulitzer wziął swoją „Monę Lisę". Napisał on w książce, a co ważniejsze potrafił to także udowodnić, że „Monę Lisę" kupił od niejakiego Hugha Blakera. To on był poprzednim właścicielem dzieła i w roku 1936 wystawił je na licytację. Pulitzer dał najwięcej i tak stał się właścicielem portretu. Natychmiast zapytano go o powody, dla których on sam, a przede wszystkim Blaker ukrywali przed światem fakt posiadania prawdziwej „Mony Lisy". Przecież o tym, że uznane przez cały świat za autentyczne dzieło znajduje się w Luwrze, obaj doskonale wiedzieli. Pulitzer nie potrafił wyjaśnić milczenia nieżyjącego już pod koniec lat sześćdziesiątych Blakera, zaś własne tłumaczył studiami nad historią obrazu, jakie prowadził przez dwadzieścia sześć lat. Nie zależało mu, jak twierdził, na taniej sensacji i fakt posiadania prawdziwej „Mony Lisy" ogłosił dopiero wtedy, gdy był absolutnie pewien swoich racji. Niewielu znalazło się takich, którzy daliby wiarę w tę opowieść tym bardziej, że rezultaty studiów, prowadzonych przez londyńskiego antykwariusza, nie okazały się specjalnie rewelacyjne.

Już na samym ich początku natykamy się na bardzo poważną wątpliwość, która stawia pod ogromnym znakiem zapytania wszystkie dalsze wywody. Oto Pulitzer na podstawie swych badań stwierdza, że Leonardo da Vinci namalował „Monę Lisę" w roku 1500, podczas gdy wszyscy biografowie geniusza i to zarówno ci szesnastowieczni, jak Vasari, i ci nam współcześni, zgodnym chórem twierdzą coś wręcz przeciwnego. Zajrzyjmy do kalendarium życia i twórczości mistrza, zestawionego przez wspomnianego już Ernesta Ullmana. W kalendarium czytamy: „Rok 1501. W lutym Leonardo rysuje w Mantui portret margrabiny Isabelli d'Este. Marzec, w Wenecji przedstawia projekty umocnień obronnych przed Turkami. 24 kwietnia wraca do Florencji; pracuje nad traktatem o locie ptaków." Ani słowa o „Monie Lisie", ale Pulitzer zastrzegł się, że Leonardo mógł stworzyć dzieło także w roku następnym, a zatem czytajmy dalej: „Rok 1501. Wielkanoc, Leonardo wystawia karton obrazu „Święta Anna Samotrzecia". Pracuje nad „Madonną z kołowrotkiem". I znowu ani słowa o „Monie Lisie". W roku 1502 nie powstaje żadne dzieło malarskie. Mistrz niemal nie bierze pędzla do ręki zajęty pracami inżynieryjnymi i kartograficznymi. Dopiero rok następny... „1503. 4 marca powrót do Florencji. Plany zmiany koryta rzeki Arno. 8 października artysta ponownie wstępuje do florenckiego Bractwa św. Łukasza. Signiora zleca mu namalowanie „Bitwy pod Anghiari". Rozpoczyna „Monę Lisę" i prace przygotowawcze do pierwszej wersji „Ledy". Tak więc punkt zdobywają przeciwnicy Pulitzera, nie sposób bowiem uznać, że mylą się wszyscy dotychczasowi biografowie Leonarda.

Gwoli sprawiedliwości musimy przyznać, że życie wielkiego mistrza kryje jeszcze w sobie niejedną tajemnicę, a przynajmniej wątpliwość. Tuż po pierwszej natykamy się na następną. Pierwszy, jeszcze szesnastowieczny, biograf artysty zanotował, że Leonardo portretował niejakiego Francesca Pietra del Giocondo – patrycjusza z Ferrary. Giorgio Vasari zdecydowanie temu zaprzeczył, pisząc: „Leonardo namalował portret pani Lisy, jego żony, i choć spędził przy tej pracy 4 lata, obraz pozostał nie wykończony." Wydaje się zatem, że przeciwnicy Henry Pulitzera zdobywają kolejne punkty. Przywieziony przez mistrza do Paryża obraz był rzeczywiście nie wykończony, a trzeba także przypomnieć, że paryski portret nosi podtytuł „La Gioconda", zatem i nazwisko się zgadza. Uparty Anglik jednak nie zrezygnował. Odszukał on tekst napisany przez jednego z wielbicieli Leonarda, Paula Lomazzo, i ten tekst uczynił podstawą swych rewelacji. Lomazzo napisał, że Leonardo namalował dwa portrety: Giocondy i Mony Lisy!!! To już było coś. Zgodnie z tą teorią powinny istnieć dwa, podobne do siebie, ale jednak różne portrety, a bohaterką jednego z nich byłaby, a właściwie jest nią na pewno, Mona Lisa, córka Antonia Marii di Noldo Gherardini, urodzona w roku 1487 i poślubiona w szesnaście lat później przez Francesca di Bartolomeo di Zanobi dei Giocondo. Potwierdza to między innymi Vasari, który tak oto opisuje powstawanie portretu: „... chociaż pani Lisa była bardzo piękna, Leonardo szukał dodatkowych podniet z dziedzin sztuki. W czasie gdy pozowała, zawsze ktoś grał i śpiewał; sprowadzał nawet różnych trefnisiów, aby ją rozśmieszali. Szukał, jak odsunąć melancholię, którą tak często w portretach ukazuje malarstwo. Tymczasem w portrecie Leonarda znalazł się tak czarujący uśmiech, że wydaje się być bardziej niebiański, niż ludzki. Obraz uważany jest za dzieło najwspanialsze, niemal żywe."

Wszystko bardzo ładnie, tylko że Pulitzer z uporem maniaka twierdzi, iż opis ten nie dotyczy obrazu umieszczonego w Luwrze, lecz tego, którego jest właścicielem. Jak to możliwe? Ano po prostu Anglik jest przekonany, że dama ukazana na paryskim portrecie nie jest Moną Lisą! A zatem kim? Według niego jest to Constanza d'Alvos, kochanka Giuliana de

Medici. Gdy miłość Giuliana do Constanzy była u szczytu, bogaty kochanek zamówił u mistrza portret swej wybranki. Mistrz pracował wolno, zaś Giuliano szybko zmieniał obiekty swoich uczuć i gdy obraz był gotowy, były kochanek świeżo zawarł związek małżeński z młodziutką Filibertą. Nie chcąc robić żonie przykrości, nie odebrał portretu kochanki i chcąc nie chcąc, Leonardo stał się jego właścicielem i przywiózł go ze sobą do Francji.

Przeciwnicy Pulitzera zadali mu natychmiast kolejne pytanie: Co stało się z właściwym, według niego, portretem Mony Lisy? Anglik odparł, że wisiał on w domu Giocondów we Florencji, skąd został w połowie XVIII wieku, w nie wyjaśnionych okolicznościach, przewieziony do Anglii i umieszczony w zamku Somerset. W czasie I Wojny Światowej wywieziono go do USA, skąd powrócił po zakończeniu działań wojennych i został zarejestrowany jako ,,Mona Lisa z Isleworth''. W tej miejscowości mieszkał bowiem Hugh Blaker, poprzedni właściciel dzieła.

No i kto tu ma rację? Na poparcie swej teorii Pulitzer przytacza wyniki badań radiograficznych i chemicznych, które mają potwierdzić autentyczność posiadanego przez niego dzieła. Samego dzieła jednak nie udostępnił. Lomazzo jest jedynym biografem Leonarda, który pisze o dwu modelkach i dwu portretach. Inni, łącznie z Vasarim, nawet o tym nie wspominają. W datowaniu różnych dzieł mistrza, a nawet dokładnym określeniu wydarzeń jego życia zauważamy sporo rozbieżności u jego biografów. Aby sprawę już całkowicie zagmatwać, przypomniano sobie o wydarzeniach, jakie miały miejsce w Paryżu 21 sierpnia 1911 roku i konsekwencjach, jakie za sobą pociągnęły. Opis tych wydarzeń możemy znaleźć we wznowionej niedawno na naszym rynku wydawniczym książce Wifreda Löschburga ,,Kradzież Mony Lisy''. Tytuł nie jest w niczym przesadzony. Rzeczywiście 21 sierpnia 1911 roku z Luwru zniknęła ,,Mona Lisa'' Leonarda da Vinci. Przez dłuższy czas nikt nie mógł w to uwierzyć. Któż śmiałby porwać się na ten najbardziej znany obraz świata? Po co? A przede wszystkim, jak mogło do tego dojść? Okazało się, że w tym najsłynniejszym muzeum świata panuje najzwyklejszy pod słońcem bałagan, a złodziej wyniósł bezcenne dzieło w biały dzień. Przebieg kradzieży i śledztwa opisał już Winfred Löschburg, nie będę więc tego robił. Powiedzmy jedynie, że tej nieprawdopodobnej kradzieży dokonał 32-letni Włoch, Vincenzo Perugia i zrobił to tak skutecznie, że przez dwa lata policja francuska i współpracujące z nią policje kilku krajów nie mogły wpaść na jego trop. I może nigdy by nie wpadły, gdyby Perugia nie ujawnił się sam. W pierwszych dniach grudnia 1913 roku nadesłał on na ręce florenckiego marszanda Alfreda Geri list, w którym pisał: ,,Szanowny Panie! Nie podaję swojego nazwiska, gdyż nic ono Panu nie powie. Jestem Pańskim rodakiem i mam dla Pana pewną propozycję. Myślę, że nadszedł już czas, aby nasza ojczyzna odzyskała dzieło, które ponad sto lat temu zrabował jej Napoleon. I dlatego chcę Panu zaproponować kupno ,,Mony Lisy'' Leonarda da Vinci. Jeśli uzna Pan tę propozycję za interesującą, proszę odpowiedzieć na poste restante, Paryż, Plac Republiki.

Z tego listu widać wyraźnie, że Vincenzo Perugia nie znał dziejów życia Leonarda da Vinci i nie czytał dziennika sekretarza kardynała Luigi d'Aragona. Gdyby wpadł mu w ręce, wiedziałby, że Napoleon, choć był znanym miłośnikiem i grabieżcą dzieł sztuki, nie mógł ukraść Włochom ,,Mony Lisy'', bo od kilku wieków znajdowała się ona w Paryżu. Ale wracajmy do propozycji złożonej Alfredowi Geri. Z początku nie potraktował on jej poważnie, nieraz miał już do czynienia z różnego rodzaju maniakami i oszustami. Sprawę jednak zgłosił policji i ta skłoniła go do podjęcia pertraktacji. W ich wyniku ,,Mona Lisa'' została odzyskana, a Vincenzo Perugia znalazł się w więzieniu, z którego jednak wyszedł niemal bezpośrednio po procesie. Gdy w czasie śledztwa pytano go o motywy, powtarzał z uporem: ,,Często stawałem przed portretem Mony Lisy, w którym znajduje świetny wyraz nasza piękna, niedościgniona sztuka włoska. Odczuwałem upokorzenie na myśl, że obraz ten wywieziono z naszego kraju jako zdobycz wojenną i że muszę to arcydzieło oglądać na francuskiej ziemi. Obrażał mnie fakt, że obraz ten obecnie przysparza chwały Francji. Pewnego więc dnia, gdy stanąłem przed obrazem, obudziła się we mnie myśl, że zwrócenie Włochom tego arcydzieła byłoby pięknym czynem.'' Nikomu nie udało się go przekonać, że jest w błędzie, że dzieło jest własnością Francji, że nie miał powodów, by je kraść. Perugia był uparty, a czas zrobił się gorący – wojna światowa wisiała na włosku. ,,Mona Lisa'' wróciła do Luwru, Perugia został skazany i Europa zwróciła swą uwagę w zupełnie inną stronę. Ale pozostały konsekwencje czynu szaleńca. Przypomniano sobie o nich przy okazji sporów z Pulitzerem. Otóż w roku 1927 w Paryżu rozeszła się pogłoska, jakoby odzyskany w grudniu 1913 roku portret Giocondy był... falsyfikatem! Plotka nie znalazła potwierdzenia, ale zasiała cały szereg wątpliwości i stworzyła wiele możliwości dla ludzi pożądających dzieła i chcących zrobić szybką i łatwą karierę. Co kilka lat objawia się bowiem kolejny właściciel ,,z całą pewnością autentycznego'' portretu Mony Lisy. Ogłasza to światu, jest bohaterem przez kilka dni, nieco zarobi na wywiadach prasowych, radiowych i telewizyjnych i sprawa ucicha. Zdarzyło się jednak już kilkakrotnie, że osobą przyznającą się do posiadania ,,Mony Lisy'' nie był wariat czy mitoman, ale człowiek poważny, szanowany i mający jakieś podstawy do tego typu sensacji. Takim człowiekiem był niewątpliwie Henry Pulitzer, choć jego rewelacyjne oświadczenie nie zostało do dziś potwierdzone lub obalone. Podobny los spotkał także Amerykanina Raymonda Hekkinga, który pięć lat przed Pulitzerem przyznał się do posiadania prawdziwej ,,Giocondy''. Sprawy nie traktowano poważnie i tym razem chyba słusznie. Ale w roku 1981 Symour Reut wysunął nie mniej sensacyjną, niż dotychczas, hipotezę. W publikacji ,,Dzień, w którym skradziono Monę Lisę'', napisał, że po kradzieży dzieła z Luwru w roku 1911 wykonano wiele falsyfikatów. Jeden z nich Perugia zwrócił, czy też został mu on odebrany. Reszta kopii rozeszła się gdzieś po świecie, a oryginał znajduje się w Stanach Zjednoczonych. Reut ustosunkował się także do rewelacji Pulitzera. Stwierdził z całym spokojem, że prezentowany przez niego obraz jest jedną z... czterech (!!!) wersji, stworzonych przez samego Leonarda, bądź przez jego uczniów.

I teraz już wiemy wszystko, czyli nic. Czy ktoś jest bowiem w stanie odpowiedzieć jednoznacznie: Ile portretów Mony Lisy namalował Leonardo da Vinci? Jeden, dwa czy cztery? Ile fałszywych portretów tajemniczo uśmiechniętej damy kursuje po świecie? Czy paryska ,,Mona Lisa'' jest rzeczywiście Moną Lisą, czy zupełnie kimś innym? Itd. itp...

W jednym ze swych dzieł Leonardo da Vinci pisał: ,,Jeśli masz podwórze, daj je pokryć wedle swej możliwości naciągniętym płótnem; będziesz miał dobre światło. Albo jeśli chcesz portretować kogoś, rysuj go przy chmurnej pogodzie lub pod wieczór i umieść swego modela plecami do jednej ze ścian tego podwórza. Zwróć uwagę na ulicy o zmierzchu, w dzień chmurny, na twarze mężczyzn i kobiet, ileż wdzięku mają wówczas takie oblicza. Ty więc, malarzu, miej stosowne podwórze, ze ścianami czarno pomalowanymi, częściowo tylko pokryte dachem. I niech będzie szerokie na dziesięć łokci, długie na dwadzieścia, a na dziesięć wysokie, i rozciągnij nad nim zasłonę. A maluj swe dzieła o zmierzchu albo w dzień chmurny i mglisty; jest to bowiem doskonałe oświetlenie.'' Leonardo sam stosował te zasady i dzięki temu osiągnął efekt oglądania Mony Lisy przez zacierającą wyrazistość konturu mgłę. Teraz ta niewinna mgiełka nabrała zupełnie innego znaczenia. Czy kiedykolwiek uda się ją rozwiać?

KRZYSZTOF WESOŁOWSKI

J.JOSEPH RENAUD

Na pokładzie jachtu Dafne

Tego wieczoru, gdy trafiłem na ulicę Causeway w Limehouse, azjatyckiej dzielnicy Londynu, usłyszałem w mroku żałosną skargę człowieka. Ktoś niespodziewanie zawołał do mnie po francusku.

– Proszę powiedzieć mi, gdzie znajduje się jacht ,,Dafne''?

Pytanie było tak nieoczekiwane, tak dziwne tutaj, w tych miejscach przypominających raczej Batawię, Szanghaj czy Bombaj,że sądziłem, iż we mgle wydobywającej się z Tamizy nie dosłyszałem słów wybełkotanych po angielsku przez jakiegoś azjatyckiego majtka.

Lecz wyraźny, płaczliwy głos powtórzył:

– Proszę powiedzieć mi, gdzie znajduje się jacht ,,Dafne''?

Dochodził chyba z podłużnego okna nad chińską restauracją dla kulisów. Na zakurzonych szybach tej smażalni ryb widniał na wpół zatarty chiński napis.

Kto to mógł być? Z pewnością Francuz. Zwlekałem jednak z odpowiedzią. W Limehouse nocą myśli się tylko o sobie. Whitechapel jest hałaśliwym i niegroźnym gettem, ale bardziej na wschód, poczynając od okolic West India Dock opuszczamy Europę, by znaleźć się w Azji. W dzień widać tu niskie domy z chińskimi napisami, a w nocy nad nimi odgadnąć można morze masztów, olbrzymie kominy statków, zwoje lin. W ponurej ciszy mija się już tylko Hindusów, Malajów, Japończyków, Chińczyków.W tym mało gościnnym Limehouse trzeba iść szybko, z laską gotową do obrony, nie oglądając się na nikogo. Spotka się tu bowiem Azjatów gotowych na wszystko dla dziesięciu szylingów. Zaspokoją za nie narkotyczny głód w palarni opium na tyłach sklepiku mojego przyjaciela Wah Tonga, za pierwszym skrętem ulicy Causeway. Albo trafić można na nieokiełznaną załogę, która właśnie wczoraj zeszła na ląd i z dalekiej podróży przywiozła wraz z sobą dzikość wysp zamieszkanych przez ludożerców.

Jednak Francuz powtórzył tym samym żebrzącym tonem:

– Proszę powiedzieć mi, gdzie znajduje się jacht ,,Dafne''?

Jak mógł on oczekiwać, że ktoś go tutaj zrozumie, w tej anglo-azjatyckiej portowej dzielnicy? Podszedłem bliżej. Tak, głos dochodził z okna nad restauracją.

– Czy rodak może coś dla pana zrobić? – zawołałem, patrząc do góry.

W słabo oświetlonym oknie nie było widać nikogo. Lecz wkrótce odpowiedział mi drżący głos:

– Francuz, tutaj? Nareszcie. Proszę pana, czy wie pan, gdzie znajduje się jacht ,,Dafne''?

– Nie, ale podejmę poszukiwania, jeśli to może panu pomóc...

– Och! Proszę, niech pan szybko wejdzie, porozmawiamy. Proszę przejść przez garkuchnię żółtków. W głębi są drewniane schody.

Azjaci nie lubią, gdy Europejczycy zaglądają im do domów. Ale restauracja jest restauracją, więc otworzyłem drzwi. Kilku tłustych chińskich majtków, w wełnianych czapkach z daszkiem jadło głośno pałeczkami ichniejsze chop-suey, inni grali w fantana. Odór cebuli smażonej na oleju nie zabił całkowicie zapachu opium zatruwającego powietrze wszystkich domów przy Causeway.

Szef, spasiony Chińczyk rodem z Kantonu, ubrany w starą bluzę koloru khaki miał głowę przypominającą kulę z namalowanymi oczami, brwiami, gęstymi włosami i zmarszczkami starej kobiety. Zapytał, czego sobie życzy szanowny dżentelmen.

– Chciałbym porozmawiać z Francuzem.

Czarne przecinki pomiędzy fałdami tłuszczu w starej azjatyckiej twarzy nabrały dziwnego wyrazu. Gruby Chińczyk wyraźnie wahał się. Wysączył jednak:

– Szanowny dżentelmen chciałby porozmawiać z Francuzem?... Bardzo dobrze... Bardzo dobrze... Proszę tędy!... I poprowadził mnie, cały w ukłonach wzdłuż czerwonawych, niegdyś pomalowanych w złote smoki na srebrnym polu z hebanu. Za nimi znajdowały się wąskie schody.

Pozostali Chińczycy nie raczyli mnie nawet zauważyć.

Po omacku dostałem się na piętro. Pchnąłem drzwi i usłyszałem głos:

– Tędy! Tędy.

W skromnie umeblowanym pokoju, gorączkowo dopytujący się o jacht ,,Dafne'' Francuz siedział na poskładanych, zużytych dywanikach. Głowę miał okrągłą, łysą, twarz obrzękłą, bez zarostu, z rzadkimi kępkami zszarzałych wąsów. Cerę o zielonym odcieniu jak chory na malarię.

Ubrany był w obszerny płaszcz zakrywający skrzyżowane, podciągnięte pod siebie nogi i skrzyżowane na piersiach ręce, które chował w rękawach jak mnich.

– Dzień dobry panu, zechce pan usiąść i proszę wybaczyć, że nie podałem ręki, ale jestem kaleką – powiedział nie poruszając się, nieruchomy niczym posąg bóstwa.

Jego sylwetka, zachowanie, świętobliwa fizjonomia, zielonkawa cera czyniły go podobnym do... do kogo? do czego? O tym miałem się dowiedzieć później...

– W czym mogę panu pomóc? Nie wiem, gdzie jest ten jacht, ale spróbuję, być może, się dowiedzieć...

– Uratowałby mnie pan! Ach! To straszna historia... Czy mogę zapytać o pańskie nazwisko? Wydaje się pan, proszę wybaczyć, przyzwoitym człowiekiem... ale czy ma pan przy sobie paszport?

Miałem paszport. Przysunąłem go do jego twarzy, nie poruszał się bowiem nadal, a ręce trzymał ciągle w rękawach.

– Dziękuję panu i przepraszam... Dowie się pan... Ale czy będzie pan najpierw tak uprzejmy i zamknie to okienko? Dziękuję. Teraz niech pan słucha!...

Zniżył głos. Po chwili mówił już urywanym szeptem:

– Tak więc pochodzę z Paryża. Urodziłem się przy ulicy des Archives. Lubiłem przygody i podróże, być może z powodu lektur... Verne'go, Boussenarda, Mayne-Reida i innych. Jak doszło do tego, że rzuciłem szkołę i zaciągnąłem się na statek, nie ma znaczenia, ale w wieku 17 lat, zamiast uczyć się gramatyki, wylądowałem w Zanzibarze i za utrzymanie wyładowywałem wraz z czarnymi statki pływające z Europy przez Przylądek. Od tego czasu opłynąłem cały świat i żyłem jak umiałem, to znaczy według zasad obowiązujących w danym kraju, a więc nie zawsze uczciwie, proszę pana, ... bywałem niekiedy bardzo bogaty, ale to nie trwało długo. Płukałem złoty piasek na Alasce, byłem nurkiem w Vancouverze, właścicielem szulerni w El Paso, kucharzem w Caracas, plantatorem w Hawanie, w Limie aktorem w teatrze lalek, lichwiarzem w Santiago-de-Chile. Mówię siedmioma językami i dziesiątką dialektów. Siedziałem w więzieniu. Przeszedłem febrę, tyfus, żółtaczkę. Na stu prowadzących takie życie, dziewięćdziesięciu dziewięciu nie zdąży się zestarzeć. Ja jestem tym setnym!

Wreszcie przez ostatnie dziesięć lat, aż do ubiegłego roku, krążyłem po Oceanii. Zna pan tamtejsze wyspy? Płonące oślepiającym światłem na niebieskim morzu, intensywnymi, papuzimi kolorami. Prawdziwy raj, proszę pana. Ale zbyt rozkoszny, nie chce się pracować. Zasmakowałem tam w szybkim zarabianiu pieniędzy, co udawało mi się aż nazbyt dobrze.Musiałem pospiesznie opuścić Hawaje. Policja pojawiła się akurat w chwili, gdy odbijaliśmy od brzegu. Kapitan jedną ręką dał znak, że nie zgadza się na opuszczenie kładki, a drugą ręką włożył do kieszeni plik moich dolarów. Zatrzymałem się dopiero na Jawie... Jawa to upał, czuć tu równik i albo od razu człowiek się wykończy, albo przyzwyczai i stanie się otępiały jak tubylcy...

Zająłem się poławianiem pereł obok Jayapury. Interes kręcił się całkiem nieźle. Z większym kapitałem do zainwestowania można było zrobić majątek. I to wielki. Chciałem zaciągnąć pożyczkę w bankach holenderskich. Zebrano na mój temat informacje i zagrożono mi, że jeśli będę nalegał, przekażą je miejscowej policji. Więcej nie nalegałem.

To wtedy zawinął do portu angielski jacht „Dafne", wielki jak statek. Jego właściciel, stary Szkot, niejaki Digby, zyskał szybko wśród tubylców i licznych tu Holendrów i Chińczyków reputację narwańca. Płacił fantastyczne sumy za paskudne posążki z tamtejszych stron, przedstawiające na ogół dawne bóstwa, wie pan bowiem, że zanim na Jawie pojawił się mahometanizm i gdzieniegdzie buddyzm panowało tam bałwochwalstwo. Jeśli takie diabelstwo z drzewa czy kamienia przypadło mu do gustu, oczy nabiegały mu krwią, a na usta występowała piana.

Pewnego popołudnia sączyłem advogad w towarzystwie ładnej Metyski, nazywanej Frisco Kid, w chłodnym holu hotelu Oceanic, kiedy zza przepierzenia z połyskującego jedwabiu wyłoniła się nagle stara, ogorzała, o spiętych rysach twarz owego Digby.

Skierował się prosto do mnie. Jednym gestem odsunął Frisco Kid i brutalnie powiedział cichym głosem, trzymając ręce w kieszeniach:

– W bankach Thurkoma i Limburga dowiedziałem się, że potrzebuje pan pieniędzy... Dowiedziałem się jeszcze czegoś... Niech pan przyjdzie do mnie na jacht „Dafne", porozmawiamy, dziś wieczór o dziewiątej.

Frisco powiedziała mi:

– On kolekcjonuje bożki... Ja wyglądam jak małe bóstwo, kiedy jestem naga... pozwól mi iść zamiast siebie...

Powinienem był jej usłuchać, a nie przyłożyć jej w twarz.

I w kilka godzin później wchodziłem na ten przeklęty jacht „Dafne" przy przerażającym, olbrzymim, iskrzącym niskie grzbiety fal zatoki księżycu, który tylko tam tak wygląda.

Czekał na mnie steward. Przypatrzył mi się, wypytał i w końcu zaprowadził do dużego salonu wyglądającego na muzeum. Wzdłuż ścian, w puzderkach z jaspisu i kości słoniowej oraz pośrodku, na postumentach, ustawione były setki posążków bóstw, pochądzących z całego świata, wyrzeźbionych w metalach, kamieniu czy drzewie. Niektóre były miniaturowe, inne wielkości człowieka. Twarze ich były straszne, tępe, wykrzywione w grymasie. Wydobywał się z tych zbiorów dziwny zapach. Pachniało zarazem chatą czarownika i bagnem.

Digby siedział. Nie poprosił, abym usiadł i powiedział do mnie:

Gdyby tutejsza policja wiedziała o tobie tyle, co bankierzy Thurkom i Limburg, wpakowałaby ciebie do ładowni pierwszego odpływającego statku. Nie, nie doniosę na ciebie. Jeśli nie jesteś skończonym głupcem, zarobisz u mnie dziesięć tysięcy funtów za jeden połów.

Dziesięć tysięcy funtów! Nie pokazałem po sobie, jakie to na mnie zrobiło wrażenie i ani drgnąłem, jakby chodziło o dziesięć piastrów. Grywałem przecież w niedobieranego pokera w Klondike.

– Za te pieniądze dostarczysz mi tylko przed upływem tygodnia Buddę z Tgawahi..

– Tylko tyle? Nic więcej? Jest pan nienasycony, mister! Czyżby pan nie wiedział, że świątynia Tgawahi znajduje się na nizinach, daleko stąd, pośrodku bezkresnych plantacji betelu, imbiru, trzciny cukrowej, gdzie pracują sami Chińczycy, którzy pocięliby na kawałki każdego kręcącego się w pobliżu poganina. Piękny posąg Buddy z zielonego jaspisu ustawiony jest na specjalnym ołtarzu, oddzielonym od reszty świątyni stawem, w którym pływają kajmany, święte, ale żarłoczne. Tylko mnisi wiedzą jak się tam dostać. Dziękuję bardzo, wolę już ładownię statku. Chyba że powie pan piętnaście tysięcy funtów, mister... przysięgając na Biblię.

Targował się, ale w końcu obiecał, klnąc się na Świętą Księgę, a żaden Szkot raczej takiej przysięgi nie złamie.

Znałem świątynię jedynie z opowiadań. Frisco Kid poszła się dowiedzieć czegoś więcej. Ale informacje, które zebrała, przeraziły ją. Błagała, abym odstąpił od tak niebezpiecznego zamysłu. Była mi bowiem na swój sposób oddana.

– Sądzisz więc, że boję się krokodyli?

– Nie, to nie strach, ale krokodyle zjedzą cię. Frisco prosi zaniechać. Frisco zostanie z tobą, nawet gdy biedny..

Udałem, że zrezygnowałem z przedsięwzięcia... Ale w trzy noce później, prowadzony przez Malajczyka mahometanina dotarłem do świątyni. Włamałem się do środka i przeszedłem przez pierwszą salę. Nie było to przyjemne. Mroczne sklepienia, posągi, zapach zwiędłych kwiatów, wygasłych kadzideł..., jakby echo głosów ludzkich powtarzające najmniejszy hałas... Oblał mnie zimny pot... W końcu znalazłem się nad stawem z krokodylami. Czarna woda błyszczała w świetle księżyca, pod otwartą kopułą... Tu już nie słychać było żadnych głosów. Czuć było bagnem, piżmem. Przejął mnie wstręt. Przez środek stawu

prowadził drewniany most. Na równym poziomie z wodą. Och! raczej wąska kładka, na wodzie, bez balustrady! Jedyne przejście! Nie sposób było przedostać się brzegiem, ani z prawej, ani z lewej strony. Woda dochodziła aż do stromych murów. A na tej kładce leżały dwa nieruchome kajmany. W wodzie pływało ich więcej. Widziałem węszące, czujne, przerażające nozdrza.

Ale znam się na krokodylach, wiem, jak obchodzić się z tymi obrzydliwymi bydlakami. Ciągnąłem za sobą dwa powiązane koźlęta. Rozwiązałem jednego i wrzuciłem do wody. Szamotał się becząc. Zaraz rozciągnięte na kładce dwa olbrzymie jaszczury ruszyły. Ze wszystkich stron wredne nozdrza pruły wodę w kierunku ofiary. Zrobił się potworny ruch. Wyzyskałem tę chwilę na przejście. Ależ nie, panie, z mniejszym pośpiechem niż pan myśli. Kiedy potrafi się wygrać w jackpotax z parą piątek można się nie spieszyć.

Ołtarz stał tuż obok. Zdjąłem bóstwo. Było ciężkie. Wróciłem nad staw. Krokodyle poczuły drugie koźlę. Ich nozdrza krążyły wokół mnie, pojawiały się, znikały. Odstawiły prawdziwy taniec... Rzuciłem zwierzę jak najdalej od kładki i gdy jaszczury runęły na żer, przeszedłem po moście. Lepkie drewno uginało się pod ciężarem posągu, miałem więc nogi w wodzie... Gdybym się poślizgnął!

O świcie, z Buddą owiniętym w maty dodtarłem do łódki spuszczonej z ,,Dafne'' czekającej na mnie już od kilkunastu godzin. Wtedy pojawiła się Frisco Kid.

– Ja opuścić ciebie. Strach. Przeklęty, kto podnosi rękę na bóstwo... Strach! Ty miły dla mnie, przyjazny... Dziękuję z serca... ale ja zbyt przestraszona przekleństwem...

Pchnąłem ją pięścią na piasek... Och! proszę się nie oburzać. W tropikach kobieta nie liczy się. Stary oczekiwał mnie w swoim salonie-muzeum.

Sam mi pomógł, cały drżąc i śliniąc się, ustawić Buddę na cokole.

I wtedy, niech mnie pan uważnie słucha! Gdy przeliczał gorączkowo banknoty, wydało mi się nagle, że wszystkie posągi w tym wspaniałym salonie, słabo oświetlonym blaskiem świtu, poruszyły się, otworzyły oczy, groziły mi. I po raz pierwszy przyjrzałem się uważnie Buddzie.

Kucał jak krawiec dopasowujący ubranie, ręce miał złożone na brzuchu, jedna na drugiej, paznokcie długie na dziesięć centymetrów... Patrzył na mnie! Tak samo wyraźnie jak ja na pana. I usłyszałem, jak powiedział do mnie, nie poruszając wargami: ,,Ty także!'' Przysięgam panu, że tak mi powiedział! We mnie jakby piorun trzasnął! Stałem otępiały przed bóstwem. Wszystko inne przestało istnieć. Tylko je widziałem. W odległości dwóch metrów przede mną poruszało się, rosło, groziło. I poczułem jak zawładnęło moim ciałem, tak jak podobno duchy biorą w posiadanie ciało medium. Jego ramiona były moimi ramionami. Mój tors był jego torsem. Stanowiliśmy jedno. Byłem z jaspisu..

Obudził mnie głos starego szaleńca.

– Halo, zabieraj swoje pieniądze i więcej się nie pokazuj!

Wsunąłem banknoty za koszulę i uciekłem. Jacht ,,Dafne'' odpłynął w godzinę później. Gdy stanowił już tylko małą plamkę na horyzoncie, ogarnęła mnie bezdenna, dziwna rozpacz. Szlochałem. Nie byłem sobą. Czułem, że jestem kim innym. Na próżno szukałem Frisco Kid. Zniknęła. Sekretarz hotelu ,,Oceanic'', pracujący w końcu dla tamtejszej policji, nie umiał powiedzieć, gdzie jej szukać. Według niego wsiadła na statek towarowy, który odpłynął o brzasku w kierunku Borneo. Położyłem się. Cierpiałem. W końcu usnąłem. I zaczęła się moja niedola. Nazajutrz nie byłem w stanie się podnieść. Mogłem tylko siedzieć w kucki jak Budda. Jestem energiczny i silny, panie. Ale moje wysiłki na nic się nie zdały. Po dwóch dniach nie czułem się wcale lepiej, pomimo środków stosowanych przez tubylców. Lekarz portowy obejrzał mnie i powiedział po holendersku słowo oznaczające paraliż. Roześmiałem mu się w nos, ale w tydzień później dotknęło to i ramion, które ułożyły mi się jak u bóstwa i znieruchomiały. Paznokcie urosły i nie można ich obciąć. Nożyczki sprawiają mi taki ból, jakby cięły żywe mięso. Stałem się czymś obrzydliwym. Proszę rozchylić mój płaszcz, panie!

Podniosłem poły płaszcza. Olbrzymi brzuch spoczywał na dwóch przeraźliwie chudych, w stanie zaniku nogach. Podciągnąłem rękawy. Ręce wydłużone, proste, ułożone równolegle, dłonie jedna na drugiej, też w zaniku, o nienaturalnie długich paznokciach. Mężczyzna był na wpół żywym, monstrualnym Buddą. Nawet jego twarz – dziwaczne, rzadkie, sterczące na boki wąsy, poduszki tłuszczu na kościach policzkowych, zielonkawa cera – miała obojętny, brutalny wyraz azjatyckiego bóstwa jaspisowego Buddy. Mówił dalej:

– Tak więc, panie, statek przywiózł mnie tutaj, do doków. Za cztery funty tygodniowo dba o mnie uczciwie żółtek z dołu. A oto moja prośba. Jestem pewien, że wyzdrowieję, jeśli ujrzę na nowo skradziony przeze mnie posąg i będę go prosił o przebaczenie. Wiem o tym, czuję to. Wyzdrowieję! Ale biorą mnie za wariata. Wołam przez okno, co tydzień w innym języku. Nikt nigdy mi nie odpowiedział. Pan jest pierwszy! Czy zechciałby pan podjąć poszukiwania i dowiedzieć się gdzie jest jacht ,,Dafne''?

W obliczu takiej potworności zdjął mnie nieodparty wstręt, w którym niewiele było z miłości bliźniego. W mężczyźnie tym nie widziałem już rodaka, bliskiego mi Europejczyka, czy w końcu człowieka, ale kreaturę z koszmaru, nieprawdopodobną, zwierze z ksiąg buddyjskich, ledwie wpisane w byt materialny... Przyrzekłem rozpocząć poszukiwania natychmiast i zszedłem na dół z pośpiechem, który później sobie wyrzucałem.

Otyły Chińczyk odprowadził mnie do drzwi cały w ukłonach mrucząc:

– Francuz na górze...rozwalony w drobny mak!

Z radością zanurzyłem się we mgłę Causeway. Ocierałem się o pomykających ukradkiem Azjatów. Mijałem chińskie sklepiki, skąd dolatywały śpiewane nosowym głosem melodie. Nazajutrz posłałem do kaleki specjalistę z Harley Street. Jego diagnoza brzmiała:

,,Paraliż spowodowany być może sugestią, którego dziwna forma podtrzymywana jest w każdym razie przez autosugestię...''.

W morskiej agencji Lloyda poinformowano mnie, że jacht ,,Dafne'', należący do niejakiego Digby, starego ekscentryka, nie pojawił się w krajach cywilizowanych od dwóch lat. Zatonął? Zaginął? Z pewnością nie, ponieważ widziano go w tym czasie na Markizach, na południu Tasmanii i blisko Wysp Wielkanocnych. Przekazanie mu jakiejkolwiek wiadomości było sprawą beznadziejną. Gdyby się nawet udało, nie byłoby żadnej odpowiedzi, znając obrzydliwy charakter pana Digby, starego maniaka.

Dziwne rzeczy docierają czasami do doków Londynu wraz ze statkami z mórz południowych..

przełożyła EWA KOLASIŃSKA

MIROSŁAWA SĘDZIKOWSKA

WRÓBELKA



rys. Ryszard Bojarski

Tego sierpniowego dnia w domku czarodzieja było – jak zwykle – cicho i spokojnie. Kurz złocił się w smugach słońca, a ciszę zakłócało tylko bzyczenie much i szelest przewracanych kartek. Gospodarz, wygodnie rozparty w fotelu, pogryzając jabłko, z przyjemnością, ale i z pewnym nostalgicznym dystansem śledził krwawe przygody bohaterów „Demona Walki". Tę interesującą lekturę czarodziej otrzymał od swojego młodego przyjaciela Adasia Baska, nad wiek rozwiniętego ucznia drugiej klasy. Dzieło było mocno sfatygowane, z licznymi śladami namiętnej, współtwórczej działalności Adasia, dowodzącymi jeżeli nie talentu, to w każdym razie niekonwencjonalnej wyobraźni tego sympatycznego młodzieńca. Księga została oddana czarodziejowi, gdyż w domu Basków nieustannie była zagrożona konfiskatą.

Tak więc słonko świeciło, muchy bzykały, a czarodziej czytał i zamierzał czytać do wieczora. Los miał jednak wobec niego całkiem inne plany.

Pukanie do drzwi rozległo się akurat w tym momencie, kiedy Demon Walki prężył grzbiet do skoku na kolejną ofiarę.

– Nie ma mnie w domu – skłamał czarodziej, bo nie chciał porzucać Demona w tak – przyznajmy to – fascynującej chwili.

Pukanie ucichło, widocznie gość domyślił się, że nie jest to najlepsza pora na składanie wizyt.

Tymczasem Demon zdążył dopaść ofiary i poczynał sobie z nią tak śmiało, że nawet bywałemu czarodziejowi dostarczył wielu wrażeń, już nie wspominając o kilku rewelacjach z zakresu anatomii i fizjologii człowieka.

– A skórczy... – sapnął czarodziej czując, że jego wyobraźnia nie nadąża za inwencją autora. Nagle rozległ się huk i łomot, jakby trąba powietrzna wpadła do mieszkania.

Czarodziej podskoczył i omal nie udławił się jabłkiem, bo przez jedną okropną chwilę miał wrażenie, że to sam Demon Walki wyleciał z kart powieści, by rzucić mu się do gardła.

Ale osoba, która narobiła tyle zamętu swym nagłym wtargnięciem, nie była, rzecz jasna, żadnym baśniowym potworem, tylko zwykłą wiedźmą z krwi i kości, o potarganych włosach i niepewnym wejrzeniu zielonkawych oczek.

Odstawiła miotłę i zamknęła okno udając, że nie dostrzega rozrzuconego na podłodze szkła z rozbitych szyb.

– Cześć, tato – rzekła buńczucznie, ale głosem mocno schrypniętym z zakłopotania. – Pomyślałam, że w tak ważnej dla mnie życiowej chwili... ehe... powinnam cię odwiedzić – dodała niejasno, a rumieniec na chudych policzkach zdradzał, że przybyła w żaden sposób nie może uporać się z ostrym atakiem tremy.

Czarodziej w osłupieniu zamrugał oczami. Dość mętnie przypominał sobie urocze straszydełko, które kiedyś, dawno temu, huśtał na kolanach.

(... Trzeba przyznać, wyrosło na spore straszydło.)

– Wróbelka...? – zapytał z niedowierzaniem. O ile pamiętał, sam tak nazwał córkę, w owym czasie rozkoszne maleństwo, podobne do ptaszka. Teraz dysonans między rzeczywistością językową a materialną był tak ostry, że nieszczęsnego czarodzieja przyprawił o zawrót głowy i pogrążył w beznadziejnej otchłani zwątpienia.

– Cieszę się, że mnie poznajesz – ponuro rzekła Wróbelka i z hałasem wytarła nos – nie było to w końcu takie pewne, biorąc pod uwagę, że przez ostatnie pół wieku nie interesowałeś się ani mną, ani moją biedną mamą. – Nie to, żebym ci robiła wyrzuty... – dodała prędko, z fałszywą nutą rezygnacji i pokory w głosie – nawet nie chciałam cię odwiedzać, ale akurat tędy przelatywałam...

– Zaraz, może usiądziesz – zaproponował czarodziej, bo odnosił dziwne wrażenie, że córka jakoś z góry na niego patrzy. Sam zdążył już wstać, ale wobec wzrostu Wróbelki niewiele zmieniło to sytuację.

– Dziękuję, postoję – oświadczyła Wróbelka i chwilę gapiła się w przestrzeń, usiłując odnaleźć zgubione słowa wykutego monologu.

(– Chyba nie jest zbyt rozgarnięta – zmartwił się czarodziej.)

– Akurat tędy przelatywałam – z roztargnieniem powtórzyła Wróbelka i znowu utknęła.

– To się zdarza – powiedział czarodziej.

– Co?

– Przelatywanie.

– Aha. Można zapalić? – nie czekając na pozwolenie wyciągnęła papierosa.

– Jeżeli musisz... – powiedział czarodziej, który właśnie się odzwyczajał.

– Muszę – rzekła Wróbelka – mam nie zaspokojony instynkt ssania i podświadomie tęsknię do kobiecej piersi.

Czarodzieja zatkało. W popłochu pomyślał, jakie go jeszcze rewelacje czekają.

Tymczasem budzące litość zakłopotanie Wróbelki niepostrzeżenie osiągnęło punkt kulminacyjny i przeszło w fazę ponurej determinacji. Rumieniec znikł z oblicza ujawniając właściwy mu sinawy kolorek, ogryzione do krwi paznokcie zyskały chwilę wytchnienia, a w rozkojarzonym spojrzeniu zielonkawych oczek pojawiły się twarde błyski.

– Wychodzę za mąż – oznajmiła Wróbelka, rezygnując ze wstępu, którego i tak nie mogła sobie przypomnieć.

– Już? – z fałszywym zdumieniem wykrzyknął czarodziej (chyba zaczynał tracić głowę) – a pamiętam, jak cię na kolanach huśtałem.

– Też pamiętam – posępnie rzekła Wróbelka.

Zapadła krępująca cisza, nabrzmiała wstydliwymi echami przeszłości. Wróbelka ciągnęła papierosa jakoś zajadle i z ponurą miną. W czarodzieju już-już miały się odezwać okropne wyrzuty sumienia, ale w porę przypomniał sobie, jak straszną wiedźmą była matka Wróbelki, więc dał temu spokój.

– A narzeczony – chrząknął czarodziej – z pewnością przystojny chłop.

Wprost przeciwnie – rzekła Wróbelka z dziwnym błyskiem w oku – kulawy i garbaty, z ospowatą gębą. Oczywiście nie mówiłabym ci tego, bo co cię moje nieważne sprawy mogą obchodzić, ale jeżeli sam pytasz, więc... Z pewnością nie można powiedzieć, że jest przystojny, skoro to kulawy garbus i sięga mi do łokcia, ani też piękny, o, co to, to nie, bo ta ospa, wiesz, dziób przy dziobie, mówiąc krótko: jest brzydki jak noc.

– Uroda to nie wszystko – ostrożnie rzekł czarodziej, usiłując dojść do porozumienia z wizerunkiem przyszłego zięcia – u mężczyzny liczy się charakter.

– O jego charakterze można długo opowiadać – krzyknęła Wróbelka – gdybym nie wiedziała, jak wygląda, powiedziałabym, że najgorszy w nim jest charakter. To człowiek okrutny, tchórzliwy, głupi i z gruntu zły. Jego ulubioną rozrywką jest dręczenie zwierząt, zwłaszcza żab i kotów. Żaby nadmuchuje (wiesz, nawet w okrucieństwie nie przejawia twórczej wyobraźni), a kotom rozpruwa brzuszki.

Czarodziej zbladł i zrobiło mu się niedobrze. Tymczasem Wróbelka najwyraźniej kwitła. Oczy jej rozbłysły, rumieniec wrócił na policzki, tajemniczy uśmiech rozchylił usta. Wyglądała z tym prawie ładnie, jeżeli oczywiście nie zwracać uwagi na całą resztę. W dodatku z pewnością nie sprawiała wrażenia osoby nierozgarniętej.

– Twój narzeczony ma chyba jakieś

zalety – bezradnie zapytał czarodziej.

– Nie ma żadnych zalet – stanowczo rzekła Wróbelka. Wiem, o czym myślisz: o łóżku – (czarodziejowi nic takiego w głowie nie zaświtało), ale tu też kiepsko. On niby wie, jak to się robi, ale chyba do końca nie jest o tym przekonany. Jeżeli chcesz znać szczegóły...

– Nie chcę znać! – ryknął rozgniewany czarodziej. Usiłował zebrać myśli, co było trudne, bo stare poczucie winy mąciło mu w głowie. W dodatku doprawdy nie mógł zrozumieć, co takiego zobaczyła jego córka w typie, który nie miał tyle przyzwoitości, aby zaletami charakteru zrekompensować paskudny wygląd. W końcu, to nawet nie kwestia zasad, ale dobrego smaku.

Zdenerwowany czarodziej chciał zapalić papierosa, ale zaraz się do tego zniechęcił, pomyślawszy o odruchu ssania i tęsknocie do kobiecych piersi (nie czuł tęsknoty), więc tylko pożarł jabłko razem z ogryzkiem i popił wodą.

– Sprawa wygląda tak – powiedział zgnębiony – twojemu narzeczonemu mogę wyprostować plecy i wydłużyć nogę (ewentualnie skrócić drugą), na gębę każesz mu sypać puder, aby zakrył dzioby. Co do charakteru, poddamy go przymusowej reedukacji. Chociaż przyznam ci, moja droga, że zachodu z tym co niemiara i prościej byś uczyniła rozglądając się za mniej wybrakowanym egzemplarzem. Jak dobrze pomyśleć, rzecz cała sprowadza się do kilku, dość znaczących drobiazgów: chodzi o to, aby twój przyszły mąż miał proste plecy, nogi tej samej długości i trzymał się z daleka od kotów i żab. Mimo ogólnego upadku obyczajów nie sądzę, aby sprawna, dobrze zorganizowana wiedźma miała duże trudności ze znalezieniem osobnika odpowiadającego tym, dość przeciętnym parametrom.

– Nie chcę! – wybuchnęła Wróbelka tupiąc nogą – Nie chcę! Ma być ten, żaden inny i to bez twoich poprawek.

Czarodziejowi opadły ręce.

– Miłość – powiedział z rezygnacją, ale nie bez szacunku – jaką siłą magiczną jest miłość...

– I tu dochodzimy do sedna tragedii – drżąc z podniecenia rzekła Wróbelka – wcale go nie kocham – teraz rozumiesz, jakie męczarnie mnie czekają?

Ale nieszczęsny czarodziej niczego nie rozumiał. Pomyślał, że zwariował i to już wtedy, kiedy do obcej, wyrośniętej wiedźmy zaczął mówić: Wróbelka.

– Czeka mnie całe pasmo udręk – zapewniła Wróbelka, nareszcie odprężona, bo dobiła do mety swych skomplikowanych wyznań. – Ach, jaki on brutalny, a w dodatku kretyn. Wyobrażasz sobie, że goni mnie z pogrzebaczem za każdym razem, kiedy czytam mu fragmenty moich pamiętników? ...Psychoanaliza do niego nie przemawia.

– A chcesz wiedzieć, co robi, kiedy przypalę owsiankę?

– Nie chcę wiedzieć.

– Przywiązuje mnie do nogi od stołu – z triumfem wykrzyknęła Wróbelka. W ogóle, kiedy pomyślę, że wychodzę za mężczyznę stojącego o tyle niżej ode mnie... o, to jest tragiczna świadomość. Ale nie mogę mu siebie odmawiać. Zresztą i tak jestem typem ofiary.

– Czym ...?

– Typem ofiary. Poświęcenie jest istotą mej natury. Poświęcę się i nadam sens jego podłemu życiu.

– Z czystej dobroci dla zwierząt nie można dać się zjeść – nieśmiało zaoponował czarodziej.

– Już mówiłam, że jestem typem ofiary. (Moje pamiętniki dałyby ci do myślenia!) Muszę się poświęcić. To silniejsze ode mnie.

Czarodziej milczał w osłupieniu, podczas gdy Wróbelka rozgadała się na dobre, popadając w coraz gorsze brednie i bez umiaru rozsnuwając wizje swoich przyszłych cierpień.

(– A najstraszniejsze, że to prawda – z przebłyskiem intuicji pomyślał czarodziej – będzie cierpiała i napisze mnóstwo listów z błaganiem o pomoc i radę, nie mając oczywiście zamiaru skorzystać ani z rady, ani z pomocy... W dodatku – czarodziejowi z przerażenia resztki włosów na głowie stanęły – ta okropna parka będzie miała dzieci. A te dzieci – o tak, można się tego po nich spodziewać – będą wołały do niego dziadku!

... A potem ten podły typ ich porzuci. Porzuci dla samej przyjemności zrobienia świństwa – i pozwoli się poświęcać innej biednej wariatce. Tym sposobem Wróbelka nie będzie musiała dłużej znosić jego obrzydłej obecności, ale nie ma co liczyć, że przyjmie to z godnością i męstwem. Będzie się za nim włóczyła i żebrała, aby wrócił. Będzie pisała listy, łykała środki uspokajające i na długie godziny zamykała się w ubikacji. Przeprowadzi się do matki. Ucieknie od matki, bo stwierdzi, że matka jej nie rozumie... A przez ten czas dzieci się wykoleją, wyrosną na bandytów i zboczeńców.)

Czarodziej ze smutkiem przyglądał się córce. Rozczochrana, z ogryzionymi do krwi paznokciami, na zmianę sentymentalna i głupio wyrachowana, sprawiała zdecydowanie przykre wrażenie. Czarodziej znowu przypomniał sobie słodkie straszydełko, które huśtał na kolanach i głęboka litość zalała mu serce. Pomyślał też, że gdyby swego czasu więcej interesował się córką, to pewnie teraz nie byłaby ona typem ofiary z niezdrowymi skłonnościami do kulawych garbusów.

– Wróbelko – zawołał udręczony wyrzutami sumienia – ja ci pomogę!

Ale Wróbelka właśnie doszła do wniosku, że wizyta dobiegła końca. Po kilku nieudanych próbach dosiadła miotły i wyleciała za próg.

– Żegnaj, tato! – krzyknęła z lekką zadyszką. Kołowała nisko nad polną drogą, duża i niezgrabna, rozpaczliwie uczepiona miotły.

– Córeczko, zaczekaj! – z przejęciem zawołał czarodziej, bo w jednym błysku najgłębszego i najtkliwszego zrozumienia pojął, co może uczynić. – Uratuję cię! Specjalnie dla ciebie sprowadzę smoka, przysięgam! Wróbelko, słuchaj mnie, jestem twoim ojcem!

Tymczasem na górze zapanowało małe zamieszanie, bo Wróbelka uwikłała się w gałęzie rozłożystej lipy.

– To będzie smok najgorszy ze wszystkich! Poszarpie cię na części, obedrze ze skóry, zgruchocze kości – obiecywał czarodziej, bez wątpienia czerpiąc natchnienie z „Demona Walki" – ugotuje w smole! Utopi! Spali! Zeżre!

...Załatwię ci tego smoka, możesz na mnie polegać. W końcu jestem twoim ojcem!

A ponieważ zaklęcia czarodziejów mają swoją moc nawet wówczas, gdy są wypowiadane w chwilach podniecenia i frustracji, już wkrótce zza horyzontu wynurzył się smok może nie tak imponujący, jakby życzył sobie tego obdarzony bujną wyobraźnią autor „Demona Walki", ale i tak dość spory, a w dodatku bardzo, bardzo głodny.

MIROSŁAWA SĘDZIKOWSKA

ADAM GOCEL

Bez cudów

Gdzie jak gdzie, ale w Telewizji trudno jest znaleźć wierzącego w cuda. Wśród dziennikarzy wielu jest takich, co z niejednego pieca chleb jedli i nic ich chyba nie zaskoczy. Wśród pracowników administracji wiadomo od lat, że błyskawiczne kariery czy niecodzienne sukcesy związane są z rodzinnymi albo przyjacielskimi powiązaniami. I nikt w tym specjalnych cudów nie widzi. Najtrudniej chyba byłoby znaleźć wierzącego w cuda wśród ludzi związanych z telewizyjną techniką. Komputer na komputerze, sygnał z i do satelitów. Wszystko najprecyzyjniej w świecie, obliczone i sprawdzone. Nawet „cudowne" pojawianie się czy znikanie ludzi na ekranie to przecież żaden cud. Po prostu jedna z wielu możliwości technicznych...

Nie było się więc specjalnie czemu dziwić, że Jurek – szef zmiany montażystów magnetowidowych – wściekł się „do oporu". Jego podwładny i kolega tłumaczył mu bowiem nerwowo, że mimo pracy zgodnej z przepisami i umiejętnościami nie udało mu się zmontować bardzo ważnego i co gorsza bardzo pilnego programu.

– I jeszcze pier... – wrzeszczał na całe gardło – że jemu maszyna nie wchodzi w zapis!

- A Wojtek to mógł skończyć?! – darł się dalej. – A jemu to może wchodzić, a tobie palancie nie!

Szef stał purpurowy przed pobladłym panem Zbyszkiem i pukał się w czoło. Rozglądał się wkoło. Sprawdzał, czy wszyscy to słyszeli i widzieli.

Gdyby pan Zbyszek, sprawca nerwówki i awantury, mógł wzrokiem zabijać, szef zmiany padłby już kilka minut temu. Ale widocznie nie mógł, skoro – także nieludzko zdenerwowany – rozglądał się tylko, rozkładał ręce i sycząc z wściekłości powtarzał..

– Mówiłem ci, ty wale, że ta maszyna mnie nie chce słuchać! Mówiłem ci, ty ciemniaku, żebyś mnie na nią nie dawał!

Z tym ciemniakiem to trochę przesadził. Nawet przyjaciele pana Zbyszka tym razem trzymali stronę szefa...

– A siedemdziesiątka trójka chce cię słuchać? – dla zgrywy zapytał jeszcze na koniec szef zmiany i nie czekając na odpowiedź pokazał panu Zbyszkowi drzwi palcem..

– Wypieprzaj na nią do roboty, opierdalaczu!

Spieszyło mi się bardzo z montażem programu, ale pan Zbyszek był tak wściekły, że specjalnie opóźniałem rozpoczecie pracy. Kilka minut mnie nie zbawiało, a montażysta mógł się trochę rozładować... Wściekły trzydziestolatek siedział tylko w fotelu i jak w malignie powtarzał:

– Jeszcze raz tak pogra i krew mnie zaleje! Ale jego nagły pieron strzeli, zobaczysz! Ty...!!

– Różne dziwne rzeczy na świecie się zdarzają – powiedziałem jakby do siebie, ale przecież tylko po to, żeby rozluźnić pana Zbyszka.

Zainteresowało go, co miałem na myśli. Opowiedziałem więc o mojej znajomej Rumunce, pochodzącej ponoć z jakiegoś starego cygańskiego rodu, która wróżyła z fusów od kawy. Na dnie filiżanki widziała lepiej i wiedziała więcej o osobie, która kawę piła, niż najbliżsi jej ludzie.

Opowiedziałem, jak byłem zaszokowany, kiedy moim znajomym dopiero co przybyłym z Polski do Maroka, przypomniała, że przeszli już ciężkie chwile. Z fusów od kawy dowiedziała się, że moja rodaczka poroniła bliźniaki, a mój kolega walczy z nowotworem. Nie byłoby nic dziwnego w tym, gdyby nie fakt, że oboje przybyli tryskali zdrowiem i imponowali humorem aż do momentu rozpoczęcia wróżby. Potem oboje płakali. On wiedział o poronieniu, ale ona nie wiedziała o nowotworze u męża!

– Sam mam też jakieś takie momenty – ciągnąłem, a pan Zbyszek z zaciekawieniem słuchał. – Wydaje mi się czasem, że tę sytuację już przeżywałem, że tu, gdzie jestem, już byłem, że wiem, jak zakończy się sprawa już podczas jej powstawania..

Wyraźnie widać było, że pan Zbyszek wreszcie odżył. Aż skóra policzków mu się trzęsła tak szybko i z przejęciem zaczął opowiadać..

– A tych, co dali w kalendarz, pan łapie...? – spytał półgłosem. – No tych, co się przekręcili, co umarli? – dodał, kiedy nie bardzo rozumiałem, co miał na myśli.

Nie łapałem. On łapał!!!

– Wczoraj była u mnie ciotka – pochylił się nad stołem, żeby inni w pomieszczeniu obok nie słyszeli. – Zmarła trzy lata temu. Leżę sobie, tuż przed snem, i nagle ją poczułem. Nie widziałem, czułem tylko jej obecność w pokoju! Miał pan coś takiego?

Pokręciłem głową. Pilna robota zrobiła się jakby mniej pilna.

– Jeszcze w szkole podstawowej wiedziałem, że coś jest nie tak! – kontynuował. – Dwa, trzy dni przedtem, zanim ktoś miał wykorkować, już mnie nachodziło. Widziałem po twarzy i po ruchach, że fajrant... Mało kota nie dostałem, jak zobaczyłem, że coś z matką... niewyraźnie... Teraz już tego nie mam – wyjaśnił spokojnie – od jej pogrzebu jakby ręką odjął. Ale inne zostały..

Wściekły szef pana Zbyszka co jakiś czas zaglądał do pokoju, ale uspokajałem go i sam mówiłem, że co trzeba w porę zmontujemy...

Potem przypomniał mi się nasz ksiądz proboszcz, którego kolega mógł wzrokiem spowodować spadanie obrazów, a czasem dla draki spódnicy czy spodni...

– Eh – machnął ręką pan Zbyszek. – To ja już dwóch ludzi załatwiłem! Niechcąco! Przy pierwszym nie wiedziałem, że mam coś takiego! To było jeszcze w wojsku. Przypieprzył się do mnie kapral. Raz jemu się mój mundur nie podobał, innym razem zasłanie łóżka! Raz buty były za mało błyszczące, raz lufa zbyt ciemna! Jak on mnie kiedyś wkurwił! – oczy pana Zbyszka zmieniły się zupełnie, kiedy to mówił.

Wpatrywał się we mnie z taką wściekłością, że aż mnie ciarki przechodziły. Policzki mu poczerwieniały, wściekłość pojawiła się w oczach.

– Z dziesięć razy ten h... – zaczął machać rękami pan Zbyszek – z dziesięć razy kazał mi czyścić CKM, bo lufa wciąż była brudna. Ja pucowałem, on sprawdzał. Moja

szmatka była bieluteńka, a jego ciągle się brudziła. I wie pan co? – pan Zbyszek trzymał mnie mocno za ramię – ta bladź miała dwie chusteczki! Jak mi kazał przytrzymać lufę do światła, czy odkręcić tłumik – zamieniał chusteczki!

Wydawało mi się, że znów miałem małe szanse na to, żeby program zmontować na czas. Pan Zbyszek był tak rozwścieczony, że prawie iskry sypały się z jego oczu. Było coś niesamowitego w tym spojrzeniu. Pomyślałem sobie, że gdyby oczy mogły zabijać...!

Po kilkunastu sekundach nastąpiła jednak gwałtowna zmiana. Opanował się zupełnie i spokojnie zakończył tę opowieść...

– Wtedy po raz pierwszy przekonałem się o tym. Stałem przed tym... i myślałem tylko o jednym... Żeby cię krew zalała! Ty... Żeby cię... – znów gwałtownie się zmieniał, kiedy to opowiadał. Spoważniał, posmutniał, jakby z niego powietrze uszło – Trzy razy tak powtórzyłem – mówił cicho pan Zbyszek. – Jakbyśmy się oczami za bary złapali. Patrzyłem na niego jak kobra na ofiarę, a on, nie wiadomo dlaczego, stał zdziwiony i tylko pytał: co wam szeregowy, co wam?

Znów pan Zbyszek pobladł jak papier. Wyłączył się jakby z otoczenia.

– Za dwa dni zmarł na zawał! – mówił znów cicho. – Dwadzieścia osiem lat tylko miał! Nigdy podobno nie chorował, zdrowy jak byk!

Pan Zbyszek jakby się znów obudził. Jak atleta przed podnoszeniem ciężarów przytrzymał przez chwilę w górze dwa ciężkie pudła z taśmami magnetycznymi i błyskawicznie je założył na maszyny montujące, znów był gotów do roboty.

Poleciało nam jak z płatka. Jeszcze zostało parę minut, żeby pogadać.

– Tylko wie pan – położył palec w poprzek ust – panu to tylko mówię... sam pan widzi. Na tej maszynie zapieprzam ekspresem, a tamta nie chce widocznie ze mną pracować. Albo moje prądy, czy coś takiego, powodują przekłamania komputera. Trzeba by zbadać... Tylko kto w to uwierzy! I to jeszcze tutaj, w technice! Z tym kapralem to coś przeczuwałem – wrócił do poprzedniej rozmowy pan Zbyszek. – Za szybko się zabrał, żeby to było normalne. I po oczach wiedziałem, że się bardzo przestraszył, jak tak na niego patrzyłem...

– Potem, z nauczycielem, byłem już pewny! Nie mogę się wściec do dechy! To niebezpieczne. Serce mi wali, pocę się i coś takiego czuję... jakby spięcie w przewodzie. Między tym, na którego bluźnię i mną... Albo tym czymś co we mnie... Przy nauczycielu w technikum elektronicznym już wiedziałem na pewno!

Okazało się, że po wojsku trafił znów do szkoły. Uczniowie byli o parę lat młodsi. Wiedział, że nie będzie lekko, ale jak opowiadał, nie spodziewał się aż takich problemów. Elektronik traktował uczniów jak gówniarzy, jak ostatnie szmaty. Ci, co się buntowali, przepadali szybko. Pan Zbyszek, póki co, siedział cicho, ale kiedy nauczyciel posunął się do tego, że ubliżył mu na lekcji, musiał go ostrzec.

– Powiedziałem mu w cztery oczy, żeby się odpieprzył, że nie jestem łepek, że nadrobię szybko braki i wszystko pozdaję... – pan Zbyszek jakby znów się wyłączył z obiegu. – Jemu się nie podobało, że byle jak się ubieram, że jestem za tęgi, że mówię jak kurpś, że matka miała tylko jedną krowę i nie mogła mnie wychować na salonowca. Dla tego waca elektronik to coś nadzwyczajnego... Ja mu widocznie do tego nie pasowałem... Ale ja wiedziałem już, że będę tu pracował, że skończę szkołę. Widziałem to kiedyś, tak jak wczoraj czułem, że ciotka do nas przyszła.

I stało się tak, jak musiało się stać w takiej nienormalnej sytuacji. Pan Zbyszek nadrobił zaległości, ale nie dał sobą pomiatać. Przystąpił do matury. Nie zmienił się także nauczyciel.

– Patrzył na mnie i na moje nie najświeższe ubranie z pogardą – zaczął refleksyjnie pan Zbyszek. – Po teście miałem ,,trzy plus''. Czego ten palant nie wymyślał, żeby mnie oblać! I oblał... bez powodu! Gorsi zdawali! wiele gorsi... ale bardziej błyskotliwi, eleganccy...

Znów mój kolega z firmy jakby podłączył się do jednego z tysięcy przewodów. Znów był nadpobudliwy, krew mało nie trysnęła z jego policzków. Podniósł się powoli ze zdezelowanego krzesła i stanął nade mną.

– Stanąłem nad nim tak jak teraz – zaczął jak w transie – on mówił właśnie, że mu przykro, a ja patrzyłem mu tylko prosto w oczy i mówiłem sam do siebie: żeby cię nagła krew zalała... żeby cię...

Aż mnie samego ciarki przeleciały. Wolałem przed nim nie stać!!! Nim skończył, pochyliłem się, aby zabrać taśmy... pan Zbyszek jakby trochę ochłonął.

– Pan się nie boi – uśmiechnął się smutno – to nie do pana. Przypomniał mi się tylko ten sukinsyn... elegant. Nawet nie poszedłem na pogrzeb. Miastowi bardzo go żałowali. Taki młody jeszcze i już pierwszy zawał go zniszczył...

Potem przez kilka tygodni nie miałem okazji spotkać pana Zbyszka. Najpierw dożynki, potem Turniej Gmin, potem obóz sportowy i urlop. Jego opowieść jednak nie dawała mi spokoju. Nie mogłem zapomnieć wyrazu jego twarzy, jego oczu, kiedy opowiadał swoje przeżycia. Nie zapomniałem też o danym mu słowie. Miałem nikomu o tym nie opowiadać.

Pisałem coś na maszynie w redakcji, kiedy do pokoju wpadł roztrzęsiony szef pana Zbyszka.

– Była tu ta k...? – rzucił nazwisko swojego kolegi i pracownika.

Nie odpowiedziałem, już zamykał drzwi. Z tego, co zdołał wyrzucić z siebie po drodze, wiedziałem jedno. Kierownik zmiany znów wyznaczył panu Zbyszkowi maszynę, której nie lubił. Pan Zbyszek znów nie mógł na niej zmontować programu... Jeszcze na schodach słyszałem, co kierownik zrobi z nim, jak go znajdzie i co myśli o cudach z komputerową maszyną...

Poleciałem za nim schodami. Wolałem, żeby się zatrzymał. Wściekłość mu pewnie nie pozwoliła... Miałem nadzieję, że jeszcze uda mi się uratować kierownikowi życie, ale kiedy dobiegłem, było już prawie po wszystkim. Kierownik stał nad siedzącym w fotelu panem Zbyszkiem i ,,jechał równo''.

– To się k... zwolnij, cyrkowcu! To wytłumacz ,,sześćdziesiątce dwójce'', żeby chciała z tobą pracować... Nie rób ze mnie h... taką gadką! Jak ci się robić nie chce. To nie ja jestem wac, że nie wierzę, to ty, że takie pierdoły opowiadasz...

Złapałem kierownika za rękę, ale nie dał się odciągnąć. Jak terier na dzika nacierał na pana Zbyszka. Stanąłem między nimi, ale pan Zbyszek zaczął powoli wstawać i stanowczo przesunął mnie na bok. Znów jakby był pod prądem. Jakby coś w niego wstąpiło. Widać było, że walczy ze sobą, że stara się opanować. Ale właśnie wtedy, na nieszczęście, kierownik splunął mu pod nogi... Jak przekupka podparł się pod boki i darł się na całe gardło...

– Artysta się znalazł! Nadczłowiek! Tfu!!

Pokazał jeszcze, dokąd ma pana Zbyszka on i koledzy i już nic nie dało się zrobić. Siny i mokry pan Zbyszek nie mówił nic. Patrzył tylko na szefa jak badacz na preparat. Takim wzrokiem, że gdyby mógł...

Pogrzeb szefa zmiany był skromny. Najbliższa rodzina, młoda żona, malutka córeczka, kilku najbliższych kolegów z montażu. Inni nie mogli pożegnać szefa i kolegi, bo bez ich pracy nie byłoby programu... A program to rzecz święta. Czy ktoś umarł, czy nie, musi być nadany. Cudów nie ma!

Nawet jak ,,sześćdziesiątka dwójka'' znów nawali panu Zbyszkowi...

ADAM GOCEL

HOROSKOP KREOLSKI

ŻÓŁTY - marzec

Totem roślinny - liście tytoniu
Totem zwierzęcy - żółw
Talizman - turmalin

Kolor żółty jest symbolem oryginalności myśli i zachowań, niezależności, uduchowienia, postępowości, tolerancji a także ekscentryczności, fanatyzmu i nieobliczalności.

Ludzie urodzeni w marcu to typowi, przysłowiowi artyści. Nie przywiązują większego znaczenia do spraw praktycznych, obchodzą ich tylko zagadnienia wyższej wagi - idee, poglądy, zagadki bytu i niebytu.

Własne życie potrafią poświęcić w imię walki o wolność, sprawiedliwość i postęp.

Ta wzniosłość celów, tak trudnych, a często niemożliwych do osiągnięcia sprawia, że rzadko kiedy są naprawdę szczęśliwi, zadowoleni z siebie, weseli i odprężeni. Staje się raczej przyczyną pewnego niezrównoważenia. Ich nastrój psychiczny podlega ciągłym wahaniom. Od żarliwego entuzjazmu i radości w jednej chwili przechodzą do niechętnego sceptyzmu i czarnej rozpaczy.

Są niezależni wewnętrznie i nie ulegają żadnym presjom; ani intelektualnym, ani materialnym. Nie można ich do niczego zmusić, ani niczym zastraszyć. To zdeklarowani indywidualiści odrzucający, jeżeli im nie odpowiadają, przyjęte normy obyczajowe, poglądy, doktryny. Jedyną dla nich normą, wzorem i drogowskazem, jest własny kodeks moralny, którym się kierują przez całe życie.

Stali w poglądach i odważni nie wahają się bronić własnego zdania, ale jest to walka honorowa. Jedyną bronią, jakiej używają, jest intelekt i siła przekonań. Starają się przedstawić własny punkt widzenia, przekonać do własnego obrazu świata. W najgorszym przypadku, kiedy żadne ich argumenty nie znajdują zrozumienia, a przeciwnik nie przestaje atakować, jak ich totem - żółw chowają się do wnętrza skorupy i odcinają do siebie dostęp. Nigdy nie są agresywni i narzucający własne zdanie; mimo różnicy poglądów nie pogardzają ani nie wyśmiewają oponentów. Są niezwykle tolerancyjni i wielkoduszni, uważają bowiem, że wiele jest dróg prowadzących do prawdy i każdy ma prawo wybrać sobie własną. Obrażeni, skrzywdzeni, poniżeni, nigdy się nie mszczą, łatwo również wybaczają urazy. Każdego człowieka traktują z powagą i szacunkiem, obce im są rozgrywki personalne, chęć wykorzystania cudzych błędów, plotki i intrygi.

Ludzie urodzeni w marcu odznaczają się wybitnym intelektem i oryginalnością sądów. Wynika to z ich niekonwencjonalnego widzenia świata. Nie znoszą schematyzmu, utartych formułek, banałów towarzyskich. W każdą dziedzinę życia wnoszą powiew nowości, świeżości, odkrywania nieznanego. Dodatkowego waloru ich sposobowi życia i myślenia dodaje właściwe im uduchowienie, oderwanie od przyziemności, od dosłownie pojętego materializmu. Trzy cechy charakteru: uduchowienie, wybitna inteligencja i oryginalność sprawiają, że wśród urodzonych w marcu często można spotkać obdarzonych charyzmą przywódców ideowych, wybitnych myślicieli, awangardowych artystów, odkrywców i wynalazców. Niezwykle jest jednak ważne, aby ich niezależność w myśleniu i działaniu nie była ograniczana. Każde zniewolenie, brak możliwości dysponowania własnym czasem, wykazania inwencji i wyobraźni odbija się zdecydowanie niekorzystnie na wynikach ich pracy. Najlepiej, jeśli wybiorą wolny zawód, chociaż w pracy zespołowej są również nieocenieni ze względu na umiejętność inspirowania innych, pomysłowość i niekonwencjonalność. Przy pracy zespołowej należy jednak pamiętać, że urodzony w marcu będzie dobrze współpracował wyłącznie z ludźmi, którym bezwzględnie ufa. Jeżeli jego zaufanie zostanie nadużyte, zamknie się w sobie i jego wielkie możliwości pozostaną niewykorzystane.

Zasada zaufania i szczerości obowiązuje również w kontaktach towarzyskich. Urodzeni w marcu są niezawodnymi, wiernymi kolegami i przyjaciółmi, pod warunkiem, że druga strona umie to docenić i odwzajemnić. Bardzo dużą wagę przykładają do wzajemnego zrozumienia, wspólnoty poglądów i zainteresowań.

Odmienne kryteria przyjmują w sprawach sercowych. Romantyczni, tajemniczy, nieprzeniknieni żądają w miłości stałej świeżości uczuć, zagadkowości i niedopowiedzeń. Kiedy więc po pierwszym okresie gorącej namiętności uczucie powszednieje, tajemnice wydają się przeniknięte, a niezbadane - zbadane, zmieniają oni obiekt zainteresowań. Zakochują się zresztą łatwo i nie zawsze fortunnie, ponieważ dają się bez trudu oczarować i zafascynować kazdej, nawet pozornej nowości. Nie można jednak zarzucać im nadużycia zaufania, ponieważ nigdy nikogo nie okłamują, przyznają się otwarcie do zmiany uczuć, a sami w stosunku do partnera są niesłychanie liberalni, wyrozumiali i bez cienia zazdrości. Dobrzy kochankowie, niezbyt sprawdzają się w legalnych związkach małżeńskich. Nie przywiązują zresztą wagi do spraw formalnych i czesto zyją w wolnych związkach albo nie wiążą się z nikim na stałe.

Mimo ogromnej potrzeby niezależności i wolności, nie powinni jednak wybierać samotności jako modelu życia. Często bowiem podlegają różnego rodzaju stresom, zarówno zawodowym, jak i osobistym, prowadzącym w krańcowych przypadkach do załamania nerwowego. A ponieważ są skryci, ich udrękę może przeniknąć i pomóc jedynie ktoś naprawdę kochający i bliski.

Wymagają również pomocy w sprawach praktycznych. Chociaż hojnie wyposażeni w rozliczne talenty, nie chcą ani nie potrafią wyciągnąć z tego osobistych korzyści. Nie chwalą się swoimi osiągnięciami, nie dbają o zaszczyty i nagrody. Mało ich obchodzi byt materialny.

Jak i w poprzednich miesiącach, tak i w marcu zdarzają się ludzie, u których wszystkie wyżej opisane zalety zmieniają się, jak w krzywym zwierciadle, w wady. Niezależność staje się samowolą, uduchowienie przynosi fanatyzm, tolerancja prowadzi do wynaturzeń, a oryginalność staje się ekscentrycznością. Tacy nieszczęśnicy ratunku szukają w dewiacjach seksualnych, alkoholizmie i narkomanii. Nierzadko przeżywają depresje, załamania psychiczne, uciekają przed światem zewnętrznym w świat fantazji i ułudy.

Spis treści

Redaguje zespół:
Anna Brzezińska, Mirosław Chrzanowski, Anna Grobicka,
Piotr Halbersztat, Ewa Kolasińska, Mirosław Pokora,
Barbara Siwińska, Anna Susicka

„Fikcje i Fakty” 00-679 Warszawa ul. Wilcza 46
tel. 29-51-43 oraz centr. 28-64-81 wew. 224, 225

Opracowanie graficzne
Andrzej Arcimowicz

Opracowanie techniczne
Teresa Kowalicka

Ilustracja na pierwszej i czwartej stronie okładki
Marek Płoza-Doliński

Korekta
Barbara Czechowicz

Uwaga! Tekstów nie zamówionych redakcja nie zwraca



Krajowa Agencja Wydawnicza
RSW „Prasa-Książka-Ruch” Warszawa 1989
Wydanie I. Nakład 200 000+350 egz.
Objętość: ark. wyd. 13,30; ark. druk. 10,25
Skład: Fotoskład KAW — Warszawa.
Druk: Białostockie Zakłady Graficzne, Al. 1000-lecia PP 2
Nr prod. X-13/1167/88. Zam. 574/89. A-100

ISBN 83-03-02750-6

zł 450,—


FIKCJE I FAKTY



ISBN 83-03-02750-6

zł 450,—